

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Prawnicy oceniają Obajtka
- Najlepsze z górskich książek
- PiS kontra Ukraina: to jest na serio
- Twardoch: O czym zapomniała Agnieszka Holland



WYSOKIE OBCASY
Agnieszka Dygant
Mam udawać młodszą?
Irlandczycy wcale nie
zrobili apostazji

GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Donald Tusk

Nie mam wątpliwości.
Razem wygramy

FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Wojna
secesyjna**
wcale się
nie skończyła

**Jacques
Brel**
Z taką gębą
nie masz szans



**Składak Wigry
i arrasy**
Byliśmy w Muzeum
Historii Polski

**Każdy
wykopuje norę,**
czyli cywilizacja
Słowian



Były telefony z zaproszeniem na Nowogrodzką na „rozmowę o Polsce”, propozycje ministerialnej teki i ostrzeżenia, że ceną będzie kariera kogoś z mojej rodziny. Do ojca, dawnego pracownika ABW, przyjeżdżał codziennie funkcjonariusz, żeby „gówniarz zmienił decyzję”

MICHAŁ WYPIJ

kandydat KO do Sejmu, o odejściu ze Zjednoczonej Prawicy

• Rozmowa ► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

88

PROC. OBYWATELI

• ocenia zdecydowanie negatywnie wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. zaostrzający prawo aborcyjne. Raczej negatywnie – kolejne 21 proc. 87 proc. jest za prawem kobiety do przerwania ciąży, gdy zagraża jej zdrowiu lub życiu

3

TYS. ZŁ NAGRODY

• mają dostać przed wyborami asystenci, kuratorzy i inni pracownicy sądów. Bonusy otrzymali już sędziowie i prokuratorzy (po mniej więcej 2 tys.) oraz pracownicy prokuratur (to kwoty rzędu 900 zł), a prokuratorzy jeszcze „specjalny dodatek motywacyjny”

40

PROC. KOBIET

• deklaruje się jako „lewicowe” według danych CBOS. W 2019 r. – 19 proc. U mężczyzn taka identyfikacja wzrosła z 15 do 22 proc.

• Więcej o światopoglądzie wyborców w raporcie Kamila Fejfera ► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nawet osoby deklarujące głosowanie na Konfederację są za liberalizacją aborcji, małżeństwami jedнопłciowymi i adopcją dzieci przez pary nieheteronormatywne, a rozdział państwa od Kościoła jest na czwartym miejscu postulatów idealnej partii

ZUZANNA SZYBISTY

współautorka raportu „Debiutanci ’23”
o przedwyborczych nastrojach wśród młodych

Podsumowujemy tydzień kampanii

Naprawdę każdy głos się liczy

Wielowieyska



Wypatrujemy wciąż nowych sondaży, każda ze stron szuka z nadzieją tych, które dają zwycięstwo jej faworytom. Ale czy sondaże są miarodajne i rzeczywiście dobrze prognozują wynik wyborów?

Obie strony – PiS z Konfederacją z jednej, opozycja demokratyczna z drugiej – mogą sprawować władzę w Polsce. Szanse są pół na pół. Badania pokazują, że każdy z obozów może mieć około 220–240 mandatów. Dlatego tak wiele zależy od wyników w poszczególnych okręgach oraz od mobilizacji wyborców.

Ale też do sondaży trzeba podchodzić z dużą ostrożnością, szczególnie gdy spojrzemy, jak wyglądały badania tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. Praktycznie wszystkie pracownie tuż przed głosowaniem – jeśli chodzi o notowania konkretnych partii – myliły się nawet o kilka punktów procentowych. I tak np. sondaż IBRiS-u z 9 października przewidywał, że Koalicja Obywatelska będzie miała 22,5 proc. A dostała ponad 27 proc.

W październiku 2019 r. prognozowane wyniki PiS przewyższały zazwyczaj sondażowne pracujące dla braci Karnowskich i dla „Do Rzeczy”. Z kolei Kantar Public dla „Wyborczej” i TOK FM dobrze oszacował poparcie partii z jednym wyjątkiem – zaniżył notowania PSL o ponad 4 punkty.

Onet przeprowadził analizę ówczesnych październikowych sondaży, by sprawdzić, który był najbliższy prawdziwych wyników. Wziął pod uwagę tylko zdecydowanych wyborców (to ważne zastrzeżenie, bo zazwyczaj oglądamy wyniki łącznie z wyborcami niezdecydowanymi) i obliczył zbiorowy błąd. Okazało się, że najbliższy był Kantar dla „Faktów” TVN, ale i tak zsumowany błąd wyniósł ponad 3 proc. Na drugim miejscu był Pollster dla „Super Expressu” z dwa razy większym błędem. Ipsos w tym zestawieniu nie było, bo nie robił badania w październiku. Robił w sierpniu i tu PSL też miał zaniżony wynik. Ale przy ocenie wszystkich sondaży trzeba również brać pod uwagę to, że wielu wyborców podejmuje decyzję w ostatniej chwili. I że sondaże pokazują jedynie ogólny obraz i trendy.

W ostatnim sondażu Kantar Public dla „Faktów” dystans KO do PiS w porównaniu z poprzednim badaniem zmniejszył się z 6 pkt proc. do 4. Widać to także w innych badaniach. Koalicja Obywatelska już wcześniej twierdziła, że w jej częstych pomiarach trend jest dla niej pozytywny. KO nawet liczy na mijankę, a więc przeskoczenie partii rządzącej wskutek dobrego dla niej trendu. W sondażu Kantara wzmocniła się też Lewica, a po przeliczeniu głosów na mandaty opozycja demokratyczna miała by większość. Ale w tych przeliczeniach łatwo o błąd, bo wszystko zależy od rozkładu głosów w konkretnych okręgach. W Kantarze około 5 proc. badanych stwierdziło, że nie wie jeszcze, na kogo zgłasuje. Ale też im bliżej wyborów, w tym większym stopniu bierze się pod uwagę wyborców zdecy-

dowanych, a niezdecydowanych w analizie pomija.

Wniosek ogólny: w ostatnich tygodniach średnia z sondaży wskazuje, że różnica w notowaniach KO i PiS jest mniejsza, a Trzecia Droga ewidentnie przekracza próg, choć w wakacje w niektórych badaniach lądowała za burtą. Dla wyborców opozycji nadzieją jest to, że dwie trzecie badanych przez Kantar stwierdziło, iż po ośmiu latach rządów PiS czas na zmianę władzy.

Ciekawa jest też wymiana zdań pomiędzy byłym szefem sztabu PiS Tomaszem Porębą a członkiem obecnego sztabu Adamem Bielemanem. Bieleman wypowiedział publicznie jakieś neutralne zdanie o zmianach personalnych w sztabie, a Poręba napisał: „To chyba

Dwie trzecie badanych stwierdziło, że po ośmiu latach rządów PiS czas na zmianę władzy. W sztabie Kaczyńskiego już rozpoczęły się podchody, kto odpowie za słaby wynik

nie najlepszy czas na twoje kłamliwe, puszczone brudnym tłustym paluchem spiny? Skoncentruj się chłopie na kampanii, bo już niejedną położyłeś, a po Smoleńsku zostawiłeś PiS. Przypadek? Wątpię. Powiedzieć piątą kolumna to w twoim przypadku, nic nie powiedzieć”. PiS-olodzy interpretują to jednoznacznie: już rozpoczęły się rozliczenia, kto będzie odpowiedzialny za słaby wynik partii w wyborach.

A strategia opozycji demokratycznej polega na demonstrowaniu jedności i na deklaracji o tworzeniu wspólnego rządu. KO, Trzecia Droga i Lewica stawiają na przekaz dotyczący przyszłości i pomysłów na rządzenie. Chodzi o to, by przekonać niezdecydowanych wyborców, że ta ekipa jest poukładana i chaosu po wyborach nie będzie, jeśli uzyska większość w Sejmie. ●

Dominika Wielowieyska

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl**



W nas nie ma nienawiści do ludzi PiS.
Jesteśmy przeciw złu, a to co innego

WIEMY, JAK SKLEIĆ POLSKĘ



Z **DONALDEM TUSKIEM** ROZMAWIA
WICENACZELNY „WYBORCZEJ”
BARTOSZ T. WIELIŃSKI

Gdzie pana właśnie złapałem?

– Byłem dzisiaj w Zgierzu, przy toksycznym składowisku śmieci, które stanowi zagrożenie dla mieszkańców. W Łęczycy odwiedziłem firmę transportową, bo wszyscy przedsiębiorcy w Polsce potrzebują wsparcia i oddechu, a branża transportowa ma dodatkowo swoje specyficzne problemy.

A teraz właśnie wracam z Konina. Wspaniałe spotkanie w hali Rondo, przyszły ponad trzy tysiące osób. Było wiele ciekawych głosów, to naprawdę budujące, kiedy spotyka się takich rewelacyjnych ludzi.

Szczególnie wzruszyła mnie Pola. Chodzi dopiero do trzeciej klasy szkoły podstawowej, ale przyszła, żeby powiedzieć, że chce żyć w szczęśliwej Polsce, załamał jej się głos, po policzkach popłynęły łzy. W takich momentach wstępuje w człowieka nowa siła, znika zmęczenie i wszystko staje się niezwykle proste i jasne. Dla Poli, dla innych dzieci musimy walczyć i wygrać. Nie mamy innego wyjścia.

Ale z Marszem Miliona Serc to pan ostro zaliczował. Do niedzielnego południa nie było pewności, czy do Warszawy przyjdzie tylu ludzi co 4 czerwca.

– Nie miałem wątpliwości, że ludzie przyjdą. Ja ich dobrze znam. Wiem, że tak jak ja chcieli tego marszu. Dlatego w najgłębszym sensie był nasz wspólny.

Słyszę na własne uszy, co mówią rodacy, bo rozmawiam z nimi bezpośrednio i na co dzień. Trudno policzyć wszystkie spotkania. Bez przerwy jeżdżę po Polsce. O wiele częściej jestem w trasie niż w domu. Ludzie przychodzą, mówią, co myślą, ja mówię, co myślę.

A marsz to było wielkie wyzwanie organizacyjne, nawet pan sobie nie zdaje sprawy, o ile szczegółów trzeba zadbać i jaką robotę odwalili nasz zespół. Ale o frekwencję w ogóle się nie obawiałem.

I jakie są efekty? Czy na spotkaniach z wyborcami, w których uczestniczy pan i pana koleżanki, koledzy, widać jakąś zmianę?

*Nie mam wątpliwości,
że powstanie dobry rząd.
Możemy różnić się co
do niuansów programowych,
ale łączą nas potrzeba normalności,
przywrócenia Polakom
bezpieczeństwa, odzyskania
przyszłości dla najmłodszych*

*Gdy wygramy, odbudujemy pozycję
Polski bardzo szybko.
Europa na nas czeka.
Unia chce, żebyśmy brali udział
w przywództwie*

*Proszę mi wierzyć, że właśnie
na słowa o pojednaniu ludzie
reagują najbardziej żywiołowo,
a to są przecież często osoby skrajnie
krytyczne wobec PiS*

– Milion ludzi robi wrażenie. Polacy poczuili swoją siłę. Wszyscy już muszą przyjąć do wiadomości, że to, co zrobiliśmy razem w czerwcu, to nie był incydent. Wróciliśmy dwa razy liczniejsi. Jesteśmy zjednoczeni i zdeterminowani. Na całym świecie to jedyny sposób na mafię. Jeśli jesteś sam, można cię zastraszyć, można ci wmówić, że tak już musi być, bo ze złem nikt nie wygra. Ale jeśli dobrzy ludzie zorganizują się i staną razem, solidarni i odważni, to okazuje się, że są potęgą, bandyci uciekają i oczywiste się staje, że świat może być lepszy.

To piękne uczucie. Trochę przypomina ducha pierwszej „Solidarności”, i proszę mi wierzyć, tego uczucia nie zapomina się do końca życia.

Podczas marszu przemawiali liderzy Lewicy, a pan bardzo ciepło mówił o politykach Trzeciej Drogi. Wiemy, że partie demokratyczne zawarły pewne nieformalne porozumienia. A czy wykuwa się już wspólny rząd?

– Przede wszystkim wykuł się już wspólny cel. Ja to nazywam odrodzeniem Polski. Wszyscy czujemy, że zmiana jest konieczna i pilna. Nie mam wątpliwości, że powstanie dobry rząd. Możemy różnić się co do taktyki czy niuansów programowych, ale łączy nas to, co najważniejsze – potrzeba normalności, przywrócenia Polakom bezpieczeństwa, odzyskania przyszłości dla najmłodszych.

Kiedy rozmawiają ze sobą ludzie przyzwoici, racjonalni i uczciwi, to naprawdę można bardzo dużo ustalić, a praca może ruszyć z kopyta – i ruszy. Jestem tego pewien.

Prawdziwą ofiarą kampanii wyborczej obozu władzy jest nie opozycja, ale społeczeństwo. Politolodzy strategię PiS określają jako polaryzowanie elektoratu, socjolodzy i psychologowie społeczni mówią dosadniej – że chodzi o szczucie Polaków na siebie. Podzielonym, skłóconym krajem nie da się rządzić. Jak pan zamierza skleić Polskę?

– W moim ślubowaniu po zapowiedzi, że zwyciężymy, rozliczymy, naprawimy krzywdy, pada też – pojednamy.

Pytał pan o atmosferę na spotkaniach. Proszę mi wierzyć, że właśnie na słowa o pojednaniu ludzie re-

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



agują najbardziej żywiołowo, a to są przecież często osoby skrajnie krytyczne wobec PiS. W nas nie ma nienawiści do ludzi, jesteśmy przeciw złu, a to co innego.

Najlepszym sposobem na pojednanie jest prawda. Ktoś, kto dał się okłamać, nie jest winny. Winny jest tylko i wyłącznie ten, kto kłamie. Jeśli ludzie poznają prawdę, skończy się nienawiść. Ci, którzy są skazani na kłamstwa TVP, to w istocie ofiary brutalnej socjotechnicznej manipulacji. Ta nienawiść nie

bierze się z nich, ona jest sztucznie kreowana. Z naszych kieszeni co roku PiS wyciąga miliardy złotych, żeby ta machina mogła profesjonalnie szczuć i dzielić. W swojej ponurej skuteczności dorównali poziomem telewizji putinowskiej.

Partia Jarosława Kaczyńskiego oplotła Polskę pajęczyną. Dojone spółki skarbu państwa, państwowe instytucje podporządkowane partii, absolutna bezkarność ludzi władzy – to wszystko jest na

porządku dziennym. Co czeka funkcjonariuszy państwa PiS? Nadużycia z okresu pierwszego rządu Kaczyńskiego nie zostały rozliczone...

– Nie będzie żadnej grubej kreski. Będzie prokuratura, niezależny sąd, wyroki karne, przepadek zagrabionych łupów i Trybunał Stanu. Tym razem sprawy zaszły za daleko. Kaczyński już nawet nie kryje, że z premedytacją zmienia ustrój państwa, a na to jest paragraf.

Zachodnią demokrację zastępuje wschodnią satrapią, w której niezależne instytucje wypiera się oligarchów i kacyków. Kradzież publicznych pieniędzy staje się normą, jeśli dostanie się na nią polityczną koncesję. Kłamstwo, bezwstydną podłość i korupcja stały się nowym zawodem, intratną działalnością. Podstawy ładu społecznego zostały zakazone i podważone. Czegoś takiego nie leczy się jedynie objawowo. Musi być adekwatna kara, żeby już nigdy nikomu nie przyszło do głowy, by niszczyć Polskę.

Tematem, którego w kampanii praktycznie nie ma, jest Europa. PiS nieustannie atakuje Unię Europejską, wrogiem są już nie tylko Niemcy, ale również Ukraina, którą Polska tak ofiarnie wspierała podczas wojny. Zastanawiam się, czy szkody wyrządzone polskiej polityce zagranicznej da się w ogóle naprawić.

– Da się, ale tylko teraz. Konkretnie 15 października. Gdy wygramy, odbudujemy pozycję Polski bardzo szybko. Europa na nas czeka. Unia chce, żebyśmy brali udział w przywództwie.

Trzeba jasno powiedzieć, jaka jest stawka tych wyborów. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że gdyby Kaczyński jednak wygrał, to przed kolejnymi wyborami wyprowadzi Polskę z Unii Europejskiej i wtedy faktycznie naprawić się już nic nie da. Zresztą proszę zobaczyć, co się już dzieje, pieniędzy europejskich nie bierze, granice z naszymi sąsiadami, przyjaciółmi zaczynają zamykać, tylko patrzeć, jak zaraz spyta: „A po co w ogóle ta Unia?”

Powodów, żeby wygrać, mamy wiele, ale musi nam się udać właśnie z tego jednego – bo nasze wnuki i historia tego pisowskiego szaleństwa nam nie wybaczą.

Przed nami ostatni tydzień kampanii. Czego możemy się spodziewać po PiS? A co będzie robić Koalicja Obywatelska?

– My do ostatniego dnia będziemy walczyć i zaskakiwać. I bez przerwy spotykać się z ludźmi, bo to wszystko jest o nich i dla nich.

Co do PiS, to już zapowiedzieli, że kłamstwo i agresję podniosą na jeszcze wyższy, niespotykany dotąd poziom. Myślałem, że gorzej się nie da, ale w to akurat im wierzę. Tylko że ludzie mają już tego dosyć, coraz więcej osób nawet wśród zwolenników prawicy czuje, że PiS obraża ich inteligencję. Te kłamstwa już dawno osiągnęły poziom groteski. Każdy, kto nie jest skazany jedynie na TVP, już to widzi. Jestem więc spokojny. Wierzę w ludzi. ●

OGŁOSZENIE

Polityka imigracyjna

**Wczytaj się i nie daj sobą manipulować.
Subskrybuj Wyborcza.pl**

 **wyborcza.pl**

FOT. RODRIGO ABD/AP



• Caracas, stolica Wenezueli, Carolina Moreno jako „Pani Sprawiedliwość” podczas protestu przeciwko autokratycznemu rządowi Maduro, następcy Chaveza

dę na wybory także dlatego, że nie chcę, aby PiS w kolejnej kadencji domknęło projekt mafijnego państwa, czyli takiego, jakie zafundowali obywatelom: Chávez i Maduro w Wenezueli, Putin w Rosji czy Orbán na Węgrzech.

Od ośmiu lat Polkom i Polakom aplikowany jest podobny model. Polska przeszła niewyobrażalną drogę dewastacji wartości demokratycznych oraz struktur państwa, które stały się partyjnym organem wykonawczym, przede wszystkim w instytucjach mogących gwarantować funkcjonariuszom władzy bezkarność. Według renomowanego szwedzkiego instytutu Varieties of Democracy (V-Dem), analizującego stan jakości demokracji na świecie, straciliśmy powyżej 40 proc. wartości demokratycznych i brakuje nam zaledwie 1 proc. do osunięcia się do kategorii państwa „wyborczej dyktatury” (Węgry już tam są), w której z demokracji istnieją już tylko wielopartyjne wybory, jednak przeprowadzane w tak dyskryminujących dla opozycji warunkach (finansowych, medialnych czy instytucjonalnych), że zwycięzcy zawsze okazują się rządzący. Na tym polega owa diabelska sztuczka, że zbyt często są kompromitujące władzę cuda nad urną wyborczą.

Najgorsze jest jednak to, że na takim etapie dewastacji państwa torujemy sobie drogę wprost do państwa typu mafijnego, czyli takiego kryminalnego przejęcia jego zasobów (np. naszych podatków), dzięki któremu kolejne rządy PiS zmieniają się do końca w rozbudowaną strukturę przestępczą czerpiącą prywatne i partyjne zyski ze społeczeństwa. To przecież dla takiego państwa niszczone w wielu krajach (i w Polsce): niezależne sądownictwo, profesjonalną prokuraturę, aparat urzędniczy czy samorządy lokalne. Dziś w przyszłość, jaka rysuje się przed nami, pozwalają zajrzeć afera wizowa (już na skalę światową), afera z respiratorami i handlarzem bronią, 7 mld na puste covidowe łóżka, 90 mln na tymczasowe puste szpitale, 70 mld na kopertowe wybory prezydenckie i setki milionów z naszych podatków, które poszły na wykupienie przez Orlen lokalnej prasy, a ostatnio na oddanie przez rząd polskich lotnisk (w tym Okęcia) do pisowskiej spółki CPK, tej, która nadzoruje ląki pod Baranowem. I która zapewne pomyśli wkrótce, komu udzielić wysprzedać – wtedy polska strategiczna infrastruktura przestanie być dobrem publicznym.

Rząd PiS obiecywał, że nie będzie podnosił podatków, tymczasem od 2022 r. między innymi wzrosła o 80 proc. składka zdrowotna (o całe 7 mld zł), opłata od deszczu (teraz dla nieruchomości od 600 m kw., było od 3 tys.), zlikwidowano odpis na amortyzację budynków i mieszkań, wzrósł abonament RTV oraz pojawiła się opłata od serwisów VOD. Wszędzie musieli i muszą nadal

BO NIE CHCĘ W POLSCE DRUGIEJ WENECJI

Partie Kaczyńskiego, Ziobry, Bielana i imperium Rydzka zawarły cyniczny sojusz w średniowiecznym stylu

Bartłomiej Nowotarski*

zarobić „swoi”. A teraz oni, tak wzbogaceni, „odwdzięczają się”, wypłacając na kampanię wyborczą rządzących. Tak wygląda czysta kwintesencja definicji „państwa mafijnego”.

Ale jest i druga strona takiego procederu. To bezpieczeństwo obywateli sprzedawane przez władzę jako biznes, a nie misja państwa. Trzeba tylko, po pierwsze, siać strach i kreować zagrożenia (nazywane przecież przez premiera politycznym złotem), po drugie, znaleźć kozła ofiarnego jako źródło społecznych lęków i zdemonizować go (imi-granci, uchodźcy, różne mniejszości, UE, Niemcy), po trzecie, mienić się jedynym wybawcą z gotowym planem działania. Wtedy można bezkarnie przejmować aktywa narodowe i wydawać nasze podatki. Od zwykłego gangsterstwa państwo mafijne różni się tylko masową skalą politycznego przedsięwzięcia.

W Europie mamy długą tego średniowieczną tradycję. Nauczyciel książąt Niccolò Machiavelli sugerował rządzenie strachem jako skuteczniejsze od rządzenia poprzez wzbudzanie sympatii. Ale autokratyczna władza zawsze bała się ludzi, stąd strach przed nią wzmacniał także innymi źródłami lęku. Tym bardziej że można było na tych lękach jeszcze zarobić. Kościół zarabiał na strachu przed śmiercią i Bogiem, a królowie i książęta na zagrożeniach (realnych lub urojonych): wojnami, plemiennymi najazdami, rycerzami rabusiami itp. Oferta uzbrojonych po zęby wojów – „ochrona za podatki” – była, szczególnie dla państwa, nie do odrzucenia i stała się podstawą feudalnych państw.

Od czasów Tudorów w Anglii oraz kardynała Richelieu i króla Ludwika XIII we Francji królowie zaczęli jednak monopolizować przemoc kosztem lokalnych lordów czy magnatów. Ostro zwalczano jednostki zdecentralizowane (jak dziś samorządy) i tworzone jedyne centralne armie jako gwarancję ochrony. Tak państwa kumulowały kapitał z eksploatacji poddanych. Państwo-wy monopol siły okazał się niezwykle ekonomiczny, gdyż wcześniejsza rywalizacja na tym polu wymuszała nakłady na taką ofertę. Na przykład władze weneckiej republiki z „renty ochronnej” wyciągały dla siebie dodatkowo nawet jedną trzecią kwot wpływów

podatkowych. Te sumy mogły być później transferowane do popleczników, a także do samych weneckich kupców, owej prowizji głównych płatników.

Pieniądże z eksploatacji ludzi za poczucie bezpieczeństwa szły przede wszystkim na wojny, na zwalczanie wewnętrznych rywali, w największej jednak mierze dla różnych klientów władzy – jak magnaci czy Kościół – na ich kooptację do grona popleczników. Dla „swoich” dodatkowo tworzone przychylną administrację, sterowane i zależne sądownictwo. Oferta „kasa za bezpieczeństwo” okazała się perpetuum mobile dla średniowiecznej władzy. To dlatego niektórzy współcześni nam uczeni powrót do podobnych praktyk w dzisiejszych czasach nazywają wprost refeudalizacją.

Choć w tamtym okresie były też wyjątki. Polska szlachta na sejmach odmówiła Zygmuntovi III Wazie dodatkowych pieniędzy na zaczepne wojny ze Szwedami i Turkami, nie zgadzając się z argumentacją za realnością zagrożeń w tamtym czasie.

PRL była państwem strategicznej masowej grabieży. Demokracja, szczególnie ta w wydaniu zachodnim, stłamsiła zjawisko mafijności państw dzięki autonomicznej i profesjonalnej administracji publicznej zarządzającej majątkiem narodowym. W Polsce już takiej nie ma. Nastąpiła kodyfikacja bezkarności władzy (bezkarność urzędnicza za okres pandemii), prokuratorzy odmawiają wszczęcia, umarzają lub zamrażają śledztwa. Nie widać efektów postępowań przeciw premierom Morawiec-kiemu i Sasinowi w sprawie marnotrawstwa pieniędzy na prezydenckie wybory koper-towe, przeciw ministrowi Cieszyńskiemu za pieniądze utopione w respiratory od handlarza bronią, w sprawie „dwóch wież” za kopertę od prezesa Kaczyńskiego dla księdza... Za rządów PiS chyba nie było ani jednego aktu oskarżenia przeciw politykowi obozu rządzącego. W obecnych wyborach kandydują wszyscy i to z jedynek. To typowe dla mafijnego państwa: pozostają nietykalni i najłatwiej awansują ci, którzy mają swoje za uszami, są na nich haki, wtedy są bardziej sterowalni. Do tego policja nierówno traktuje manifestujących, ewidentnie chcąc zastraszyć przyszłych manifestantów.

Tymczasem polskie podatki idą na: „swoich” („willa plus”, spółki skarbu państwa), na pozyskanie poparcia (TVP, 800 plus i związane z tym pikniki) oraz na walkę lub zwalczanie opozycji (TVP, Pegasus do inwigilowania, pieniądze na referendum).

W latach 90. wybory polityczne Polek i Polaków dyktowała zawartość portfeli. To była główna emocja – doścignąć materialnie Zachód. Ale i dziś najbardziej martwimy się: drożyzną (75 proc. Polaków), niszczeniem państwa (56 proc.) i tylko w 38 proc. szturmem imigrantów oraz w 26 proc. utratą suwerenności. PiS próbuje lęki te odwrócić, by osłabić dwa pierwsze. Straszy uchodźcami, imigrantami oraz dzielnie broni suwerenności, choć sam prawie do końca pozbawił suwerenności nasze strukturalne państwo.

Jako ludzie podejmujemy decyzje ideowe, w tym polityczne, na podstawie emocji (odpowiada za nie dopamina czy serotonina w mózgu), które współgrają z naszymi psychicznymi potrzebami. Nimi różni kanciarze polityczni mogą pomanipulować, ponieważ nasze rozumy – jak dowodzą prymatolodzy (czyli badacze człekokształtnych) oraz psycholodzy ewolucyjni – są przede wszystkim adwokatami naszych emocji, a nie zimnymi analitykami rzeczywistości. A podstawowe emocje wszystkich ssaków, bez których nie przeżyłby doboru naturalnego, to strach, lęk, potrzeba poczucia bezpieczeństwa. Stąd i u nas, ludzi, sianie strachu i szukanie winnych przynosi efekty nie tylko polityczne. Za bezpieczeństwo jesteśmy w stanie oddać wolność. Strach zmienia społeczeństwa w bardziej ksenofobiczne, zabobonne, pełne uprzedzeń, stereotypów, teorii spiskowych, mniej tolerancyjne, słowem – wprost konserwatywne (polecam książkę prof. Anny Siewierskiej-Chmaj „Polityka strachu”).

Potencjalni winni naszych lęków, czyli kozły ofiarne, muszą mieć jednak w miarę niejasne wpływy i być niedookreśleni, inaczej ludzie się połapią. Dlatego nieustannie straszono nas: gender (mało kto rozumie to zjawisko), siłami nastającymi na naszą suwerenność, lewactwem, układami. To pojęcia typowe dla słownika psychicznej paranoi, a jak pokazały badania prof. Krzysztofa Korzeniowskiego, rośnie w polskim społeczeństwie paranoiczne myślenie polityczne (w latach 90. – 30 proc. badanych, w 2010 r. – już 57 proc.). Oznacza to, że w coraz większym stopniu władza polityczna odpowiada za zdrowie psychiczne Polek i Polaków.

Najmocniejszą reakcją na strach i lęki jest – też odziedziczone po przodkach – poczucie wstrętu. To również emocja adaptacyjna, odrzucająca wszystko, co może nam bezpośrednio zaszkodzić (np. mocno zepsute jedzenie). W 64 r. Neron, pobudzając poczucie odrazy, oskarżył chrześcijan o bezeceństwa i podpalenie Rzymu. Francuski Filip IV oskarżał Żydów, że obyczajami hańbią chrześcijaństwo, a templariuszy o czczenie szatana. W XVII w. przedstawiciele hiszpańskiego Kościoła nazywali Żydów: skorpionami, świerzbami, chwastami oraz wprost trucizną. W nazistowskich Niemczech byli przedstawiani jako szczury i ludzie roznoszący tyfus. U nas LGBT+ nazywa się zbrojeńcami, imigranci mają roznosić pa-sożyty i być gwałcicielami kobiet, UE ma nas zmusić do jedzenia robactwa, a zoofilskie zdjęcia znad granicy z Białorusią (ludzi spółkujących ze zwierzętami) wyświetlone na konferencji ministrów rządu pokazała nawet Telewizja Trwam. To czysta kulturowa i symboliczna przemoc. Demonizowanie zagrożeń i wrogów jest skuteczne. W 2015 r. tylko 21 proc. Polaków było przeciw uchodźcom, w 2017 r. już ponad połowa. 11 mln ludzi zmieniło zdanie. Centrum Badań nad Uprzedzeniami sygnalizuje, że zaczęliśmy uchodźców uznawać za „gorszych gatunkowo” i „mniej rozwiniętych”. To prosta droga nawet do Holocaustu.

Strach – głównie przed śmiercią i Bogiem – i lęki stanowiły fundamenty średniowiecznych, bardzo konserwatywnych społeczeństw. Globalne okoliczności, w których my żyjemy, rodzą wiele niepewności. Zatem PiS-owi tym łatwiej wdrażać strategię budowy społeczeństwa mocno konserwatywnego, z małym marginesem dla liberalów, lewicy czy innych opcji. A mafijne państwo, dające ogromną dominację finansową i klientelistyczną nad opozycją, zmierza w tym samym kierunku.

Aby je zakorzenić, pomiędzy partiami Kaczyńskiego, Ziobry, Bielana i imperium Rydzyska powstały cyniczne sojusze grabienia. Czerpią garściami ze spółek państwowych, funduszu wyjętego spod kontroli parlamentu, lasów państwowych, a nawet z funduszy dla ofiar przestępstw i solidarnościowego – przeznaczonego dla niepełnosprawnych.

A w atmosferze strachu i niepewności zanika czujność społeczna wobec kontroli nad sensownością wydawania naszych podatków. Doświadczaliśmy tego w okresie pandemii, o czym świadczy ostatni raport NIK. Można wtedy bezkarnie wprowadzać stany wyjątkowe, jak przy granicy z Białorusią, i ukrywać związane z nimi wydatki, niejawnie zapożyczać się na zbrojenia armii (u Korańczyków), zbroić wewnętrzne siły opre-

W dwa lata 11 milionów Polaków zmieniło zdanie o uchodźcach. Zaczęliśmy ich uznawać wręcz za „gorszych gatunkowo” i „mniej rozwiniętych”

Dobór naturalny wytworzył w nas warunkową tylko zdolność do współpracy – kiedy nikt nas nie nabija w butelkę, nie oszukuje czy próbuje wykorzystywać. Natomiast boimy się i czujemy pogardę dla oszustów i gapowiczów, którzy chcą za darmo pojeździć na naszych plecach

sji, budować – naśladując pomysły Trumpa czy Orbána – mury na granicy. Konstrukcja mafijnego państwa jest instrumentem do robienia z bezpieczeństwa powszechnego prywatnego biznesu rządzących.

Rosja po upadku ZSRR dokonała największego transferu majątku państwowego do prywatnych rąk oligarchów. Ale Putin zaopiekował się tylko 20 z nich. Za bezpieczeństwo sponsorują wszystkie polityczne i gospodarcze życzenia patrona. Zerwanie takiego niepisanego kontraktu jest oczywiście niemożliwe. Oligarcha telewizyjny Berezowski popełnił na wygnaniu samobójstwo (?), Prigożyn spadł wraz z samolotem, pozostali więc razem handlują bronią, fałszują pieniądze i destabilizują zachodnie demokracje.

Chyba najdalej w mafijności poszła Wenezuela. Rozwinął się dyplomatyczny narkobiznes. Urzędnicy dyplomatyczni szmuglują narkotyki do Boliwii i na Kubę. Całe lata wojsko kontrolowało nielegalne kopalnie złota, gdzie zatrudniani na czarno wyrobnicy byli torturowani i zabijani. Potem za haracz oddało nadzór nad wydobywaniem w ręce kolumbijskich grup partyzantkich i mafijnych (ELN). W ich ręce dostała się cała infrastruktura handlowa i rozrywkowa. Prokuratura za każdym razem odmawia śledztw.

Do Wenezueli Polsce jest daleko, nie tylko geograficznie, ale do Węgier niekoniecznie. Budowę tamtejszego mafijnego państwa bezczelnie ogłoszono programem budowania kapitału narodowego Węgrów. Znacjonalizowano handel tytoniem, potem sprywatyzowano go dla rządowego poplecznika. Podobny los spotkał niektóre banki. Oligarchowie premiera przejęli branże: turystyczną, produkcji żywności, transportu publicznego, konstrukcyjną. Budapesztańskie Centrum Badania Korupcji podało, że wygrali 11 proc. podejrzanych o nierzetelność przetargów i przejęli w ten sposób więcej niż 4,5 proc. wszystkich publicznych wydatków państwa, a miliard euro w ogóle bez przetargów. Dodatkowo – a to raport z 2019 r. – aż 90 proc. środków z UE trafiło pod bezpośrednią kontrolę popleczników Orbána. Tak jak w przypadku słynnego przekreśtu z odbudową infrastruktury turystycznej w Keszthely nad Balatonem, gdzie wszystkie unijne środki powędrowały do kieszeni kolesiów premiera.

Mafijno-oligarchiczne państwo szczególnie wyzyskało okres covidowej pandemii. Na stanie wyjątkowym zaczęli korzystać ci sami biznesmeni. Po przetargach bez zachowania warunków konkurencji trafiło do nich 27 proc. środków publicznych przeznaczonych na przetargi organizowane między styczniem a kwietniem 2020 r. Mocą dekretu przeznaczono 5,4 mld dol. dla chińskiej spółki realizującej z węgierskimi oligarchami projekt linii kolejowej Budapeszt-Belgrad. Prokuratura we wszystkich tych przypadkach odmawia wszczynania śledztw. Bezkarnie, ponieważ Węgry nie podpisały aktu współpracy z prokuraturą UE. Polski rząd także odmówił takiej współpracy. Z tego powodu między innymi przez cztery lata, bez efektu, wciąż toczy się w polskiej pro-

kuraturze jedynie postępowanie wyjaśniające wobec europosła Czarneckiego w związku z wyludzeniem ok. 100 tys. euro za samochodowe podróże do Brukseli.

Gdy wiele lat temu profesorowie MIT oraz Harvardu Daron Acemoglu i James Robinson zadali sobie pytanie, dlaczego niektóre narody przegrywają i więdną, a inne rozkwitają, znaleźli odpowiedź, która brzmi: to z powodu właśnie renty politycznej, okradania, wyzysku społeczeństwa przez jego część – polityków i ich biznesowych partnerów. To z powodu konstytucyjnie, a zatem i moralnie upadłych państw o charakterze mafijnym, które koncentrują się na podziale łupów, a nie na wytwarzaniu dóbr, gdzie nie ma niezależnych i bezstronnych instytucji (sądów, prokuratury, autonomicznej biurokracji), panuje prawny chaos, a międzynarodowe traktaty respektuje się lub nie. W efekcie ci, którzy – w szerokim znaczeniu tego słowa – produkują, boją się, czy przypadkiem ich produkty nie zostaną zrabowane.

Znów sięgając do języka psychologii ewolucyjnej: podmywane są podwaliny kapitału społecznego, ponieważ dobór naturalny wytworzył w nas warunkową tylko zdolność do współpracy – kiedy nikt nas nie nabija w butelkę, nie oszukuje czy próbuje wykorzystywać. Natomiast boimy się i czujemy pogardę dla oszustów i gapowiczów, którzy chcą za darmo pojeździć na naszych plecach. Potwierdzenie znajdujemy nawet w badaniach „doraźnych” z perspektywy gatunku – raporty Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego o postawach Polaków pokazują, że nawet duża część wyborców PiS uważa 500 plus za niesprawiedliwe rozdawnictwo.

Dlatego – jako produkt uboczny doboru naturalnego – wykreowaliśmy religie, które zawsze napiętnowały ludzi nieuczciwych i społecznych naciągaczy, w czym wyspecjalizowała się szczególnie kiedyś gmina Jana Kalwina w Genewie. Po prostu bogowie (szczególnie ci wszechwładcy i mogący zsyłać zbiorowe kary) pomagali nam tłumić nadmierne indywidualne egoizmy. Dlatego na podstawowym, niezależnym od danej kultury poziomie wszelką moralność udaje się zdefiniować prosto: to normy, reguły, mechanizmy służące społecznej solidarności, wzajemności i współpracy, a pomagające niwelować aspołeczne samolubstwo jednostek.

W państwach mafijnych największymi gapowiczami są ci, którzy wykorzystują jego potencjał i nasze podatki na swoje prywatne czy partyjne cele, dodatkowo wyrządzając nam szkody niebezpośrednie, lecz w dłuższej perspektywie przekładające się na dobrobyt i dobrostan tak społeczności, jak obywatela jednostki. Na przykład narażając nasze bezpieczeństwo i perspektywę rozwoju przez antagonizującą sąsiadów – wcześniej Niemcy, teraz też Ukrainę – politykę międzynarodową.

A kto jest największym gapowiczem w Polsce? Wystarczy przeliczyć w złotychkach na głowę, jak wzbogacili się działacze i biznesmeni Zjednoczonej Prawicy, a jak każdy z nas – obywateli, pobierających 500 plus czy 13. i 14. świadczenia emerytalne. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Bartłomiej Nowotarski

• prawnik konstytucjonalista, politolog, prof. Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Uczestniczył w transformacjach demokratycznych Polski, Tunezji i Egiptu

Międzypokoleniowe spory trzęsą polityką od zawsze, ale w dobie intensywnych zmian demograficznych przybierają na sile.

W III RP emeryci skutecznie bronili swoich materialnych interesów, co poskutkowało wysokimi wydatkami na emerytury i renty, pozostawiając skierowane do młodych usługi publiczne w tyle. Dziś na wzmożeniu konfliktu o wspólne zasoby zyskują przede wszystkim PiS i Konfederacja. Co zrobić, żeby go załagodzić?

Kryzys goni kryzys, rzeczywistość zmienia się w mgnieniu oka, a świat staje się coraz bardziej złożony. Żeby tę złożoność ogarnąć, korzystamy z tego, co ekonomista Douglass North nazwał „modelami mentalnymi” – abstrakcji i prostych wzorców myślowych, które pozwalają wychwycić esencję okalających nas zmian.

W latach 60. taki model mentalny zaproponowali Stein Rokkan i Seymour Martin Lipset. Ich teoria podziałów (cleavage theory) dowodziła, że kształt systemów politycznych państw Zachodu jest wynikiem dwóch XIX-wiecznych rewolucji: narodowej, skupionej wokół Wiosny Ludów i wymierzonej w imperialne struktury władzy centralnej, oraz rozpoczętej w Wielkiej Brytanii rewolucji industrialnej. Pierwsza wyodrębniła polityczny podział na centrum i peryferie oraz na państwo i Kościół, natomiast druga – na miasto i wieś oraz na robotników i kapitał. Te podziały dały początek koalicjom klasowym i ruchom politycznym, które legły u podstaw powojennych, już XX-wiecznych, modeli państwa. Na przykład skandynawskie państwo opiekuńcze jest w tym ujęciu pokłosiem czerwono-zielonej koalicji, zawiązanej między partiami rolników i ruchami robotniczymi, a holenderski „filarowy” model polityczny – czarno-czerwonej koalicji między chrześcijańską demokracją a socjaldemokratami.

Lecz w XXI wieku teoria podziałów zdaje się coraz mniej trafnie tłumaczyć bieżącą politykę. Klasyczne ruchy polityczne, które przez dekady nadawały ton europejskim demokracjom, tracą zdolność pobudzania kolektywnej wyobraźni, o czym świadczy upadek włoskich chrześcijańskich demokratów czy kryzys tradycyjnych partii we Francji. Problem w tym, że nie bardzo wiadomo, gdzie przebiegają nowe osie podziału i jakie modele mentalne mogą je opisywać. Przykładowo, Ronald Inglehart wysunął tezę o „materialistach” i „postmaterialistach”. Argumentował, że dobrobyt, którego doświadczyło pokolenie złotej ery kapitalizmu lat powojennych, skłonił je do przykładania większej wagi do wartości niematerialnych, takich jak wolność wyrażania siebie, równouprawnienie czy ekologia. Ponadto niektórzy badacze wskazują na rosnący rozdział między „zwycięzcami” i „przegrzonymi” globalizacji.

Ale jednym z kluczowych trendów naszych czasów są też zmiany demograficzne. Zachodnie społeczeństwa starzeją się w zawrotnym tempie, a odsetek osób powyżej 65. roku życia rośnie. W Unii Europejskiej w 2015 r. na 100 osób w wieku pracującym przypadało ich około 30. Według projekcji w 2050 będzie to już niemal dwa razy więcej. Demograficzna struktura społeczeństwa, tradycyjna „piramida wieku”, gdzie starsze pokolenia były mniej liczne, stopniowo przekształca się w walec, gdzie różnice w liczebności między poszczególnymi kohortami są niewielkie.

Zmiany demograficzne to problem dla rynków pracy, systemów emerytalnych i ochrony zdrowia. Ale bezpośrednio przekładają się też na politykę.

BABCI SIĘ OPLACA

**Pokolenie powojenne zużywa zasoby,
które powinny być inwestowane
w przyszłość ich dzieci i wnuków**

Jan Bogusławski*

Badania pokazują, że seniorzy częściej od młodych chodzą na wybory, a więc stanowią bardziej zdyscyplinowany elektorat. Ten efekt potęguje ich rosnący odsetek. Częściej od młodych popierają też partie o charakterze konserwatywnym. Prawicowe siły rządzące w Polsce, na Węgrzech czy w Wielkiej Brytanii władzę zawdzięczają w dużej mierze właśnie poparciu wśród emerytów.

Jednak konserwatywny światopogląd to nie wszystko. Seniorzy naturalnie skłaniają się ku partiom, które efektywnie bronią ich materialnych interesów, nawet jeśli te interesy są w konflikcie z potrzebami młodszego pokolenia. Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski w nowej książce nazywają takich kierujących się materialnymi pobudkami wyborców PiS „cynicznymi” – ale efekt głosowania na partie, które pilnują naszego interesu, jest uniwersalnie widoczny w wyborczych statystykach także w wypadku innych sił politycznych. Zatem jaki jest interes seniorów?

Przed wszystkim starsi częściej mają mieszkania własnościowe. W efekcie dostęp do tanich mieszkań stoi nisko w hierarchii ich politycznych priorytetów, a na patologię wyeksponowani są głównie ludzie młodzi. Wzrost cen i finansjalizacja sektora mieszkaniowego jest zresztą właścicielom mieszkań na rękę, ponieważ wartość ich aktywów wzrasta. W Londynie roczny wzrost wartości nieruchomości niekiedy przekracza osiągane przez właścicieli dochody z pracy.

Podobne mechanizmy można zauważyć w przypadku rynku pracy – emeryci z zasady rzadziej doświadczają choćby patologii umów śmieciowych. Poparcie dla działań ograniczających skutki globalnego ocieplenia i dla transformacji energetycznej jest również domeną młodych.

Ale soczewką, w której międzypokoleniowe napięcie ogniskuje się najbardziej jaskrawo, jest polityka społeczna. Austriacki socjolog Rudolf Goldscheid napisał kiedyś, że „budżet jest szkieletem państwa odartym ze wszystkich zwodniczych ideologii”. W końcu to wybierani w powszechnych wyborach politycy decydują o tym, na co pójdą pieniądze z podatków, licząc, że ich decyzje przysporzą im popularności wśród wyborców. Ostateczny kształt budżetu jest poniekąd najlepszym wyznacznikiem tego, na których wyborcach i jakich ideach zależy im najbardziej.

A wydatki społeczne można podzielić na dwie kategorie. Z jednej strony państwo zapewnia obywatelom nieodpłatne usługi takie jak system opieki nad dziećmi, edukacji czy nawet „aktywne polityki rynku pracy” służące poprawie perspektyw zatrudnienia. Badacze określają takie wydatki mianem inwestycyjnych, ponieważ z definicji są zorientowane na przyszłość – lepiej wykształceni pracownicy i niskie bezrobocie przyczyniają się do wyższych płac i poprawy konkurencyjności całej gospodarki na dłużej.

Z drugiej strony mamy do czynienia z wydatkami konsumpcyjnymi – działającymi na zasadzie ubezpieczenia i pomagającymi radzić sobie z utratą dochodów z powodu starości (emerytury), zwolnienia z pracy (zasiłki) czy choroby (renty inwalidzkie i zwolnienia lekarskie z pracy, diagnostyka medyczna i terapia).

Obydwie kategorie są niezbędne, ale proporcje między nimi są funkcją politycznych decyzji i rywalizacji pomiędzy grupami o rozbieżnych interesach. Co zrozumiałe, emeryci są szczególnie wyczuleni na oferty polityczne skupiające się na zabezpieczeniu i waloryzacji środków na emerytury i renty, które stanowią też największe obciążenie dla budżetu państwa.

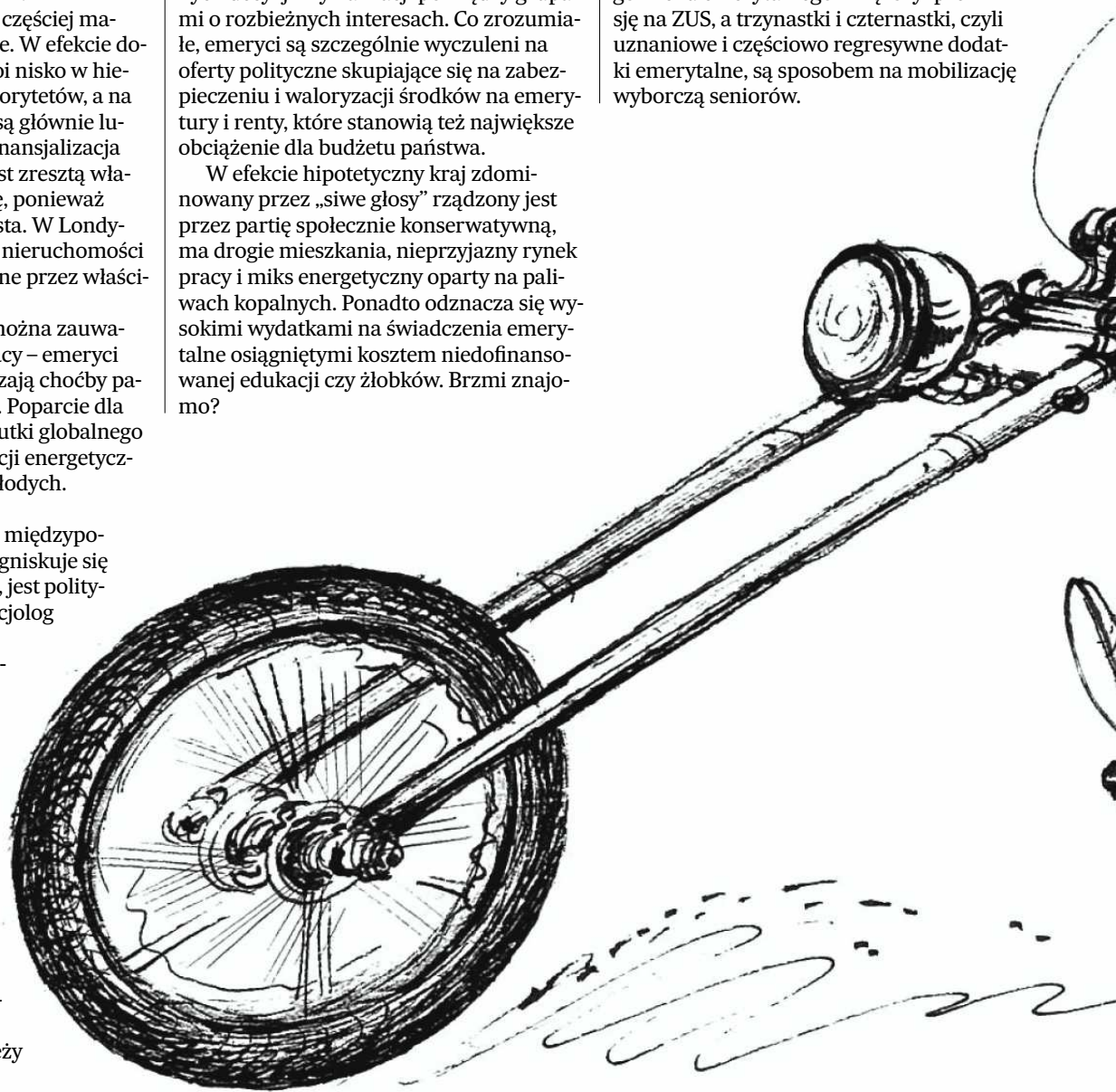
W efekcie hipotetyczny kraj zdominowany przez „siwe głasy” rządzony jest przez partię społecznie konserwatywną, ma drogie mieszkania, nieprzyjazny rynek pracy i miks energetyczny oparty na paliwach kopalnych. Ponadto odznacza się wysokimi wydatkami na świadczenia emerytalne osiągniętymi kosztem niedofinansowanej edukacji czy żłobków. Brzmi znajomo?

Na tle Europy Polska łoży na emerytury bardzo hojnie – wydajemy na nie ponad 11 proc. PKB, pozostawiając w tyle wszystkie kraje regionu i ustępując tylko starszym społeczeństwom z Zachodu. Biorąc poprawkę na odsetek seniorów w danym społeczeństwie, jesteśmy już w ścisłej unijnej czołówce emerytalnych wydatków, za Francją, Austrią i krajami Południa, z niekwestionowanymi liderami emerytalnej hojności, Włochami i Grekami. Sytuacja wygląda zgoła inaczej w przypadku publicznych funduszy na edukację – tutaj kręcimy się w okolicach unijnej średniej, a nakłady w odniesieniu do PKB od lat maleją, o czym boleśnie przekonują się nauczyciele i naukowcy.

Ale czas emerytalnej prosperity się kończy. Reforma z 1999 roku zmieniła mechanizm obliczania świadczeń, mając na uwadze zwiększenie odporności całego systemu na demograficzne wstrząsy. Zdefiniowane świadczenie zastąpiła zdefiniowana składka. W rezultacie, choć liczba emerytów wzrosła, prognozy sugerują, że wydatki emerytalne w porównaniu z PKB utrzymają się na stałym poziomie, a w dłuższej perspektywie zaczną nawet maleć. Oznacza to, że stopa zastąpienia, czyli stosunek emerytury do ostatniej pensji, wymiernie spadnie. Mimo rosnącej siły nabywczej przyszłe emerytury będą proporcjonalnie niższe od średnich zarobków, co zaostrzy konflikt o zasoby i zwiększy determinację starszych wyborców do poparcia partii dbających o ich interesy, nawet kosztem interesów młodszych pokoleń.

Wysokiej jakości usługi publiczne, jak opieka zdrowotna czy placówki opiekuńcze, mogłyby załagodzić skutki tej zmiany. Niestety, nakłady na nie pozostają niskie, prowadząc do ich pelzającej prywatyzacji. Mimo że Polska jest gospodarczym czempionem ostatniej dekady, owoce wzrostu nie zostały wykorzystane do poprawy jakości usług publicznych bez względu na to, czy mówimy o zdrowiu, edukacji, czy rynku pracy.

Rząd PiS bez wątpienia przyczynił się do obniżenia jakości usług publicznych i zwiększenia rozdziewku między konsumpcją a inwestycją. Powrót do starego wieku emerytalnego zwiększył presję na ZUS, a trzynastki i czternastki, czyli uznaniowe i częściowo regresywne dodatki emerytalne, są sposobem na mobilizację wyborczą seniorów.



Ale, jak dowodzą statystyki wydatków społecznych, orientacja na emerytury w polskiej polityce jest dużo starsza niż rząd PiS. Zatem dlaczego „siwe głosy” odniosły u nas taki sukces? Przecież na tle zachodnich sąsiadów polskie społeczeństwo jest wciąż stosunkowo młode.

Korzenie „państwa opiekuńczego emerytów”, jak nazywają Polskę badacze Pieter Vanhuysse i Jolanta Perek-Białas, sięgają czasów transformacji. Między 1989 a 1993 rokiem rynek pracy skurczył się z mniej więcej 17 do 14 milionów pracowników. Istotną część odchodzących przejął ZUS – liczba emerytów i rencistów w tym samym czasie urosła o niemal jedną czwartą. Już w latach 90. Polska stała się krajem młodych emerytów.

Za tą zmianą nie stała demografia, lecz polityka. Wczesne lata transformacji ustrojowej to głęboki kryzys gospodarczy, wysokie bezrobocie i zamykające się zakłady pracy. Aby walczyć ze społecznymi skutkami kryzysu i zmniejszyć skalę ludzkich dramatów, rząd Tadeusza Mazowieckiego zwrócił się do jednej z najstarszych i najważniejszych instytucji w Polsce – Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, wprowadzając liberalne przepisy ułatwiające rzeszom obywateli przejście na wcześniejszą emeryturę.

Te przeforsowane w dużej mierze przez Jacka Kuronia środki osłonowe odegrały ogromną rolę w łagodzeniu społecznych skutków kryzysu, ale ich długofalowym efektem był nagły wzrost liczby Polek i Polaków zależnych od państwa gotowych bronić swoich interesów przy urnie wyborczej. I tak dwa rządy, które podjęły się reform w dziedzinie emerytur – rząd AWS przy okazji wielkiej reformy z 1999 roku oraz rząd Platformy Obywatelskiej przy okazji podniesienia wieku emerytalnego – zostały za to wyborczo skarcone.

Kraj zdominowany przez „siwe głosy” rządzony jest przez partię społecznie konserwatywną, ma drogie mieszkania, nieprzyjazny rynek pracy, energetykę opartą na paliwach kopalnych oraz niedofinansowaną edukację. Brzmi znajomo?

Politycy nauczyli się, że z obecnymi i przyszłymi emerytami lepiej nie zadziierać. I cóż, że za wysokie wydatki emerytalne z ostatniej dekady płacą przede wszystkim młodzi: poprzez niedofinansowanie usług publicznych oraz niższe świadczenia w przyszłości. Do wypłacania czternastek rząd wykorzystuje środki zgromadzone w Funduszu Rezerwy Demograficznej, z definicji zaskórniaku na trudniejsze czasy dla przyszłych pokoleń. Mimo to niemal cała opozycja od lat w Sejmie głosuje za dodatkami emerytalnymi.

Z tego trendu wyłamuje się tylko jedno ugrupowanie. Zgadnicie które?

Konfederacja zyskuje poparcie, ponieważ jako jedyna siła opozycyjna potrafi zbijać polityczny kapitał na zyskującym na znaczeniu politycznym konflikcie międzypokoleniowym – nawet jeżeli bezpośrednio nie korzysta z retoryki „starzy kontra młodzi”. Fenomen poparcia młodych dla kapitalizmu w wersji *laissez-faire* jest dość uniwersalny, ale w Polsce pada na wyjątkowo podatny grunt.

Nasz system emerytalny jest oparty na idei solidarności międzypokoleniowej, co oznacza, że obecnie pracujący przekazują część dochodu na świadczenia emerytalne dla obecnych seniorów, licząc, że kie-

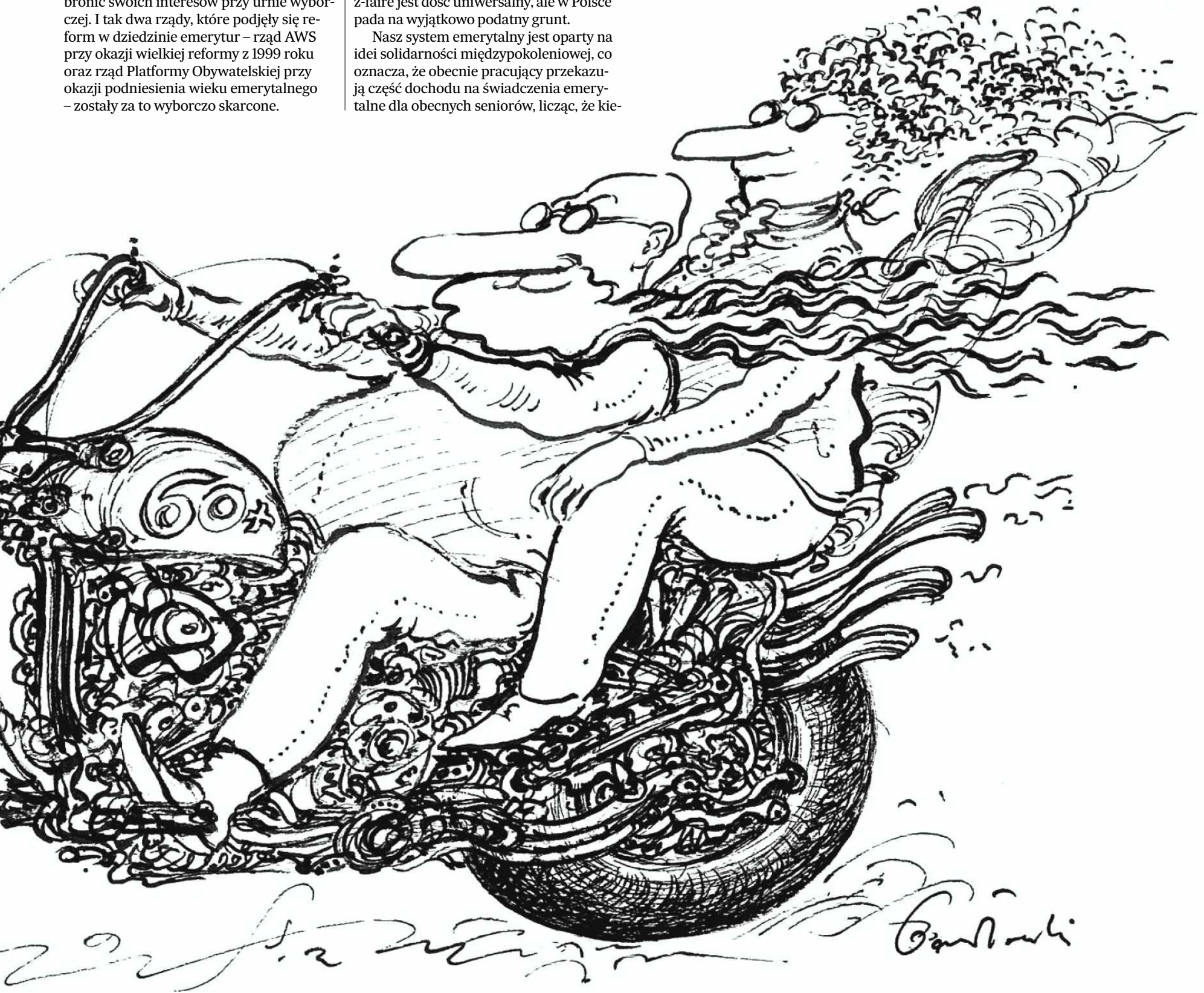
dy dołączą do ich szeregów, ich emerytury sfinansują następne pokolenia. Kłopot w tym, że w Polsce ta solidarność jest iluzoryczna – pokolenie powojenne zużywa zasoby, które powinny być inwestowane w przyszłość ich dzieci i wnuków, bo emerytury jutra będą niskie, a edukacja, ochrona zdrowia i rynek pracy stoją w miejscu. W tym sensie – z perspektywy młodych ludzi – oferowane przez Konfederację „wzwrócenie stolika” może wydawać się lepszym wyjściem niż pokojowa koabitacja, z której ma się 500 plus albo nic. Bo jaką ofertę ma państwo na przykład dla flagowego wyborcy Konfederacji, czyli młodego i samotnego mężczyzny z mniejszego ośrodka?

Głosowania w sprawie czternastek to szczegól, ale też smutny dowód na to, że w niektórych momentach Konfederacja bywa jedyną siłą polityczną stojącą po stronie

materialnego interesu młodych ludzi. Podczas gdy we wciąż zamożniejszej, zachodniej części Unii proces adaptacji do wartości postmaterialnych jest bardziej zaawansowany, w Polsce i innych krajach dawnego bloku wschodniego zasobów do podziału jest wciąż mniej. W rezultacie konflikt międzypokoleniowy o nie będzie jeszcze bardziej intensywny.

Aby przeciwdziałać konfederackim groźnym półśrodkom typu „zaoranie ZUS-u” i modzie na państwo minimum, musimy wypracować model mentalny, który ów konflikt uchwyci. Akceptując jego istnienie, łatwiej będzie go przynajmniej częściowo rozładować – za pomocą inwestycji w usługi publiczne, progresywnego systemu podatkowego i w efekcie budowy państwa opiekuńczego, które jest dla wszystkich, a nie tylko dla politycznych patronów tego czy tamtego rządu. ●

***Jan Bogusławski** – socjolog, ekonomista, pracownik naukowy paryskiej Sciences Po.



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

KAMPAANIA Z PRZESTEROWANYM BASEM

Oskarżam o symetryzm tych, którzy dziś decydują o kampanii. Może im te spoty jeden scenarzysta pisze? Bo są identyczne, łącznie z montażem i doborem muzyki

Z SEMIOTYKIEM KULTURY **MARCINEM NAPIÓRKOWSKIM** ROZMAWIA **KATARZYNA WĘŻYK**

Po co kampanii opowieść? Nie wystarczy silny lider, obietnice wpisujące się w interesy elektoratu i nienawiść do tych innych?

– Liderzy, obietnice i nawet nienawiść – to tylko rodzyнки. Nie jemy samych rodzynek, jemy je w cieście. W polityce ciastem są opowieści. Przyswajamy fakty tylko wtedy, gdy są połączone w sensowną opowieść.

Jakiś przykład tego ciasta?

– Jeszcze trzy lata temu w kampanii prezydenckiej kandydaci mieli wyraźnie przypisane archetypy. Andrzej Duda konsekwentnie wpisywał się w obraz dobrego władcy: objechał włości, opowiadał o tym, że jest dobrze, bo jest porządek i bezpieczeństwo, ale jeśli przegra, to wszystko się może zawalić. Przeciwnicy drwili, że wygląda to jak wizyty pierwszego sekretarza w PGR-ach, ale okazało się skuteczne. Trzaskowski z kolei miał opowieść w archetypie bohatera: wojownika, który jako jedyny może wyciągnąć miecz z kamienia i pokonać złego króla. Ich spotów nie dało się ze sobą pomylić. Postaci drugoplanowe też bardzo się od siebie różniły: inną opowieść miał „zwykły chłopak” Biedroń, inną „mędrzec” Kosiniak-Kamysz, inną „ludowy buntownik” Hołownia.

Dzisiejsze kampanijne narracje też chciałem przełożyć na gatunki, zobaczyć, która partia mówi do nas horrorem, a która komedią romantyczną. Analizuję pierwszą: klasyczny global conspiracy thriller. Jak u Toma Clancy’ego. Kolejne ugrupowanie: też global conspiracy thriller. Wszystkie polityczne opowieści brzmią dziś niemal tak samo. To jak efekt złych słuchawek.

Słuchawek?

– Słuchałeś kiedyś muzyki przez okropnie złe słuchawki? Takie, które podbijają tylko basy albo przepuszczają tylko środek? Wszystko zlewa się w jedną brzmieniową magmę. Na beznadziejnych słuchawkach wszystkie kawałki brzmią podobnie.

A najgorsze jest to, że twórcy dostosowują się do sprzętu. Gdy masowo zaczęliśmy słuchać muzyki w podróży, na słabej jakości sprzęcie, przemysł muzyczny nie miał innego wyjścia – podążył za zmianami technologicznymi i zaczął produkować coraz więcej utworów z niewielką dynamiką i stale podbitymi basami.

Obawiam się, że tak właśnie jest dziś z polityką. Brzmienia poszczególnych opowieści tak się do siebie upodobiły, że gdybym wyciął partyjne loga, trudno byłoby mi odgadnąć, czyj to właściwie spot wyborczy. To nie jest wyłącznie wina polityków ani ich doradców: coś bardzo złego się stało ze sprzętem, na którym słuchamy polityki, i polityka się do tego dostosowuje. Do naszych uszu przebija się tylko ostateczne zagrożenie.

„Te wybory będą najważniejsze dla naszego pokolenia”. I tak co cztery lata.



• Po pisowskim pikniku 800+. Lanckorona, 12 sierpnia 2023 r.

– Subtelności typu: kto jest bardziej lewicowy, a kto prawicowy, kto jest bardziej opiekuńczy, kto wolnorynkowy, nawet Polska solidarna i Polska liberalna – wszystko błędnie w porównaniu z ostatecznym zagrożeniem, z wrogiem, przed którym musimy się obronić.

Skąd ta awaria sprzętu?

– Z mediów społecznościowych. Algorytmy Facebooka czy Twittera znanego też jako X są zaprogramowane tak, żeby ten bas amplifikować. Dobrze pokazują to badania niedawno opublikowane w „Science”. W jednym z nich podzielono ochotników na dwie grupy. Jednej dano normalne media społecznościowe, a drugiej zhakowane, w których usunięto działanie algorytmu: wyświetlały im się w losowej kolejności informacje od wszystkich obserwowanych źródeł. Osoby, które dostały wersję bez algorytmów, widziały treści bardziej zróżnicowane, mniej agresywne i mniej polaryzujące. Niestety, spędzały kilkakrotnie mniej czasu na Instagramie czy X, bo to było po prostu nudne. Widzimy więc, dlaczego Muskowi i Zuckerbergowi tak zależy na tym, żeby algorytm utrzymać. One sprawiają, że nasze media – nie tylko social media, bo to się wszędzie

rozlewa – są fascynujące. Ciągłe gramy o najwyższą stawkę, o śmierć i życie, o przetrwanie. Ale niestety to ma swoją cenę. Jest nią czarno-biały obraz świata.

Przyjrzyjmy się bliżej opowieściom startujących w tych wyborach partii, może jakieś różnice znajdziemy. Zaczniemy od PiS.

– U PiS świat, w którym żyjemy, to oaza na pustyni albo łódź na wzburzonym oceanie. Najczęściej powtarzanym obrazem jest flaga powiewająca na tle sielskiego pejzażu. Swoją drogą to bardzo umiejętne wykorzystanie środków pozakampanijnych, bo Orlen i PGE mają identyczne kampanie o tym, jaka Polska jest bezpieczna i stabilna. Przypadek?

Kluczowym terminem jest bezpieczeństwo: Jarosław Kaczyński odmienia je przez wszystkie przypadki. Partia rządząca zostaje utożsamiona z państwem, a państwo z bezpieczeństwem. Jeśli zmienimy partię rządzącą, to rozpadnie się państwo oraz mur, symboliczny i dosłowny, który chroni nas przed wrogami, przed zalewem obcych.

Mamy tu dwie figury wroga. Pierwsza to imigrant – obcy, który chce nas zalać. Druga

to wróg zewnętrzny: albo pożyteczny idiota, albo osobnik zły, który chce naszą wspólną łódź rozszczełnić.

Jest to klasyczny thriller spiskowy. Opowieść o tym, jak grupa dzielnych propaństwotwórców odkrywa istnienie spisku, który ma obalić prawowitego prezydenta i zbурzyć nasze bezpieczeństwo. To widać nawet w wyśmiewanym spocie z telefonem do Kaczyńskiego – on jest zrobiony na granicy parodii filmów w rodzaju „Polowania na Czerwony Październik”.

Do kogo jest ta opowieść skierowana?

– Do nikogo. Przekaz PiS nie jest różnicowany, dostosowywany do różnych grup: jest dla wszystkich i dla nikogo. To luksus, na który może sobie pozwolić partia rządząca, ale nie ma tam ambicji wykreowania wartości, które ludzi porwą.

To dlaczego działa?

– Nie wiem, czy działa. Jeżeli celem byłoby rozszerzenie stanu posiadania, przekonanie osób, które nie zamierzają iść na wybory albo chcą głosować na inną partię, to ten przekaz nie działa. PiS z trudem broni stanu po-

siadania na zasadzie totalnego zabetonowania w polaryzacji. A to nie jest zdrowe.

W teorii negocjacji posługujemy się taką piramidą. Na dole są wartości – superważne, ale mało podatne na zmiany. Na kolejnym piętrze mamy rozmowy o celach i sposobach ich osiągnięcia: tu tworzy się pozytywny, zdrowy dyskurs polityczny. Możemy się nie zgadzać, ale tak długo, jak rozmawiamy, co jest najlepsze dla polskiego rolnictwa czy edukacji, jesteśmy w obszarze dobrze rozumianej polityki, gdzie eksplorujemy wartości i przekładamy je na twórczy spór. Na szczycie tej piramidy są z kolei opowieści dotyczące naszych przeciwników i historia sporu. Tu debata robi się destrukcyjna, tu mówimy: „a wy jesteście głupi”, „nie, wy jeszcze bardziej”.

Zdrowa kampania, taka, w której obie strony mają do zaproponowania coś więcej niż krytykę przeciwnika, utrzymuje się na

ny filtr, który nie przepuszcza merytorycznych komunikatów.

Czy najnowsza wersja opowieści PiS jest spójna z tym, co sprzedaje od 20 lat?

– Na korzyść PiS-u działa to, że ich opowieść od dawna pasuje do tego schematu. Od zawsze była budowana na obrazie wroga i obłożonej twierdzy, więc PiS nie musiał specjalnie adaptować swojej opowieści.

W tym duchu obiecuje „Bezpieczną przyszłość Polaków”.

– Bezpieczną, czyli bez zmian. Przyszłość według PiS to kontynuacja. Utrzymanie stanu posiadania: nie przyjdą ci inni i nam nie zabiorą. Zachowamy, odzyskamy, rozbudowujemy – to są PiS-owskie obietnice.

Afera wizowa, wydawaloby się, uderza w samo serce tej opowieści o zapewnieniu bezpieczeństwa.

– Tyle że trzeba się najpierw z tą informacją przebić do wyborców PiS. Nie widzę takiej możliwości. Najlepsze, na co próbuje grać opozycja, to ich demobilizacja: przekonanie elektoratu PiS, że wszyscy są równie źli, żeby ci nie poszli do urn. Na to dziś nastawione są spoty wyborcze.

A jak jesteśmy przy spotach opozycji: Kolicja Obywatelska. Hasło „Polska w naszych sercach”. Jaka jest ich narracja?

– Identyczna. Także global conspiracy thriller. Zobacz, jak naturalnie wypadł ich spot z Wołoszańskim mówiącym, że coraz więcej imigrantów wdziera się do Polski, i pytającym, czy Jarosław Kaczyński o tym wiedział. To ten sam ton, którym dziennikarz wcześniej opowiadał nam o tajemnicach Adolfa Hitlera. Podobnie jak spot Kaczyńskiego z telefonem – wygląda niemal jak parodia, ale jest tak blisko przekazu, który KO proponuje, że wstrzela się w niego perfekcyjnie.

Inny spot KO zaczyna się od głowy z makijażem czaszki z jakiejś technoimprezy – kto to jest, nie wiadomo, bo nie uchodźca ani nie polityk PiS – a potem dostajemy antychodźcze klisze. Wszystko po to, żeby pokazać, że PiS, który tyle mówi o ochronie przed uchodźcami, wpuścił tu 250 tysięcy – liczba powtórzona w spocie – osób „z Azji i Afryki”, co również zostaje powtórzone. W jeszcze innym nagraniu Donald Tusk wymienia te kraje, czytając pełne nazwy typu „Islamska Republika Pakistanu”.

To ten sam przekaz co u PiS-u. Znowu kluczowe jest bezpieczeństwo, ale tym razem cel jest odwrotny: przerwanie identyfikacji partii rządzącej z państwem, a przez to bezpieczeństwem. KO pokazuje, że państwo opanował rak, a naszym celem jest odkrycie wewnętrznego spisku, przez który bezpieczeństwo jest iluzją. Stąd używanie haseł takich jak „wydało się!”.

Ale przecież Platforma miała być taka europejska, progresywna, aborcję nawet dopuszcza. To skąd ten ruch?

– Obawiam się, że z mylnego przekonania osób doradających KO, że tylko w ten sposób można wygrać. Że to mniejsze zło, że żeby odsunąć PiS od władzy, musimy być przez chwilę równie cyniczni jak oni, bo jak będziemy frajerami, którzy budują pozytywny program, to przegramy. To jest godzenie się na ten przesterowany bas. Nawet dosłownie, bo jak posłuchamy spotów z uchodźcami, one mają tę samą ścieżkę dźwiękową. Dudniący bas zagłusza ewentualny pozytywny przekaz, sprowadzając kampanię do straszenia, nienawiści, polaryzacji.

Czyli co, KO też wychodzi z założenia, że tylko strach im wygra wybory?

– Wygląda na to, że KO chce mieć ciastko i zjeść ciastko. Chce nadal być proeuropejską partią broniącą praw człowieka – stąd przyjęcie za manifest „Zielonej granicy” Agnieszki Holland – a zarazem zdecydowała się skapitalizować lęk przed uchodźcami, który rzekomo jest czymś, co głęboko cechuje Polki i Polaków. Tymczasem żadne badania nie potwierdzają, żeby Polacy byli jakimś szczególnie nietolerancyjnym społeczeństwem. Przykład soli-

darności z Ukrainą wyraźnie pokazuje, że jeśli w polityce panuje szeroki konsensus, by nie wykorzystywać lęków i nieszczęścia, to możliwe jest u nas budowanie polityki opartej na empatii. Szkoda, że dziś żadna liderka nie spróbowała porwać elektoratu takim odważnym przekazem.

Barbara Nowacka i Roman Giertych na tej samej liście to też działanie z gatunku mieć ciastko i zjeść ciastko? Bo oni wybitnie nie są z jednej bajki.

– Niekoniecznie. Jeśli chcemy być big tent party, to bierzemy ludzi o różnych poglądach, bo różnorodność jest dla nas wartością. Ja chciałbym świata, w którym nawet Roman Giertych – ciężko mi to przez gardło przechodzi, ale niech będzie – zasiada z Barbarą Nowacką albo Frankiem Sterczewskim i rozmawiają o możliwych rozwiązaniach kluczowych problemów. Na tym polega demokracja. I nie widzę możliwości innego rozstrzygania sporów niż poprzez rozmowę i tworzenie zdrowej platformy do tej rozmowy.

Duży namiot jest akurat spójny z hasłem Donalda Tuska: „ich siłą była nasza bezsilność”. Poprzez marsze, najpierw 4 czerwca, teraz 1 października, Platforma pokazuje „jest nas wielu, nie boimy się, idziemy po was”.

No właśnie, tu nie ma jakiejś alternatywnej opowieści? Albo w stu konkretach?

– Jest. KO ma na pokładzie tyle ekspertek i ekspertów, że mogliby codziennie prezentować nowy element programu, który w przeciwieństwie do stu konkretów nie byłby od Sasa do lasa, tylko oferował jakąś spójną, atrakcyjną wizję Polski. PiS zresztą stać na to samo. Na przykład na debatę o tym, jak budować niezależność energetyczną Polski – bo przecież oprócz wpuszczania imigrantów wpuszczają też fotowoltaikę i wiatraki, a zaraz wpuszczą atom. Jest dużo punktów, w których partie mogłyby proponować ciekawe, odważne rozwiązania, ale niestety politycy dali się przekonać spin doktorom, że nikogo to nie interesuje.



PiS dotrzymał większości kampanijnych obietnic.

To, jak zmieniał edukację i naukę, prokuraturę, media, jak przejął kontrolę nad spółkami skarbu państwa, było realizacją tych obietnic

Dlaczego?

– Samospełniające się proroctwo. Jeżeli sprowadzamy kampanię do dudniącego basu, to sami stworzymy szum, w którym żadne konkretne treści się nie przebiją. W tej kampanii konkret faktycznie nie mają znaczenia, ale wcale nie dlatego, że wyborcy są głupi albo leniwi.

OK, to może chociaż mniejsze partie wprowadzają trochę koloru w ten czarno-biały obraz? Trzecia Droga reklamuje się hasłem „Dość klótni, do przodu”.

– To jest jedyna partia, która próbuje kontynuować przekaz liderów z kampanii prezydenckiej. Mamy tu elementy opowieści Szymona Hołowni, czyli odważny buntownik spoza polityki, i Władysława Kosiniaka-Kamysza, który mówi: „nie angażujemy się w polsko-polskie spory, trzymajmy się razem”. Świetnie wykorzystują też fakt posiadania dwóch liderów: jeśli my możemy się dogadać, to Polska też. Występowanie w tandemie im wychodzi, ale niestety poza tym niewiele się z tej kampanii przebijają.

Jaka jest ich opowieść o Polsce?

– Nie wiem. Nie udało mi się znaleźć żadnego spotu wyborczego Trzeciej Drogi, a ich billboardy się niczym nie wyróżniają. Być może też liderom brakuje wiarygodności – Kosiniak-

-Kamysz w poprzednich wyborach świetnie dogadywał z Kukizem, teraz startuje z Hołownią. Nie bardzo więc wiadomo, w jakim kierunku chciałby iść, ale, jak rozumiem, opowieść Trzeciej Drogi ma być bliska archetypowi mędrca: zróbmy krok wstecz, zamiast pędzić do przodu, porozmawiajmy, naradźmy się. To jest szkic, z którego dałoby się zbudować interesującą narrację, ale na razie jej nie widzę.

OK, to teraz Lewica. Hasło ma anatomiczne: „Serce mam po lewej”. Co ona nam sprzedaje?

– Dwie partie nie mogą się promować serduszkami. Wygra silniejszy, czyli KO. Przykro mi, ale na starcie minus jeden punkt.

Na uznanie zasługuje natomiast to, jak Lewica używa „my” inkluzywnego. Jak Donald Tusk mówi o „my”, to brzmi to jak „ja i moi ludzie z KO, którzy załatwimy wam pewne rzeczy”. Lewica ma w tym sporo naturalności i nieźle buduje przekaz „mamy wybory do wygrania”. I to „my” obejmuje też wyborców. To kapitał, na którym można budować.

Lewica to też partia, która nie straszy uchodźcami i tym się wyróżnia. Tyle że jej pozytywny przekaz na tym się kończy: wystarczy wejść np. na Twittera partii Razem i policzyć, jaki procent jej tweetów jest o Konfederacji. To jest odpowiednik wieszania billboardów z Kaczyńskim. Jeśli Lewica będzie budowała swój przekaz na tym, że nie jest Konfederacją, to wiele nie ugra.

Cała konwencja Lewicy była o tym. PiS niech się naparza z KO, a my dopilnujemy, żeby dzięki pomysłom Konfederacji nie weszły w życie.

– Czyli Lewica sama siebie przedstawia jako lustrzane odbicie Konfederacji, a Konfederację jako margines, na który rozsądny człowiek raczej nie zagłusuje. Nie wiem, czy to najlepsza strategia...

Lewica stawia na kobiety, nawet wstawiła je do przywództwa. Może w tym jest jakaś opowieść?

– Być może, choć szóstka liderów to już typowy dla lewicy chaos. W dodatku nie widzę, żeby towarzyszyła temu zupełnie nowa, kobieca opowieść o Polsce – co swoją drogą mogło być rewelacyjnym pomysłem. Niech kobiety napiszą spoty wyborcze, niech rzeczywiście przygotują inną, odważną kampanię i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Kobiety to połowa elektoratu. Jak uda się połowę z tej połowy przekonać, to mamy dużo więcej niż 15 procent, w które Lewica dziś celuje.

Wreszcie – Konfederacja i jej opowieść o Polsce.

– Jest identyczna jak PiS-u i Platformy. Oni też mają spoty z uchodźcami, tylko na koniec mówią, że zarówno Kaczyński, jak i Tusk są zagrożeniem dla Polski.

A co z obietnicą „dom, dwa samochody i wakacje”, na które jakoby będzie Polaków stać, jak się państwo od nich odczepi?

– Ta opowieść trafia do ludzi, którzy uważają, że mają olbrzymi potencjał i jeśli tylko pozwolą im się spokojnie rozwijać, to za 10 lat będą bogaci. Jeśli nie będą, to znaczy, że ktoś im ten potencjał sztucznie tłumi i trzeba te przeszkody usunąć. Osoby, które by najbardziej zyskały na progresywnych podatkach, bywają skrajnymi przeciwnikami wysokiego opodatkowania bogatych, bo widzą siebie za 10 lat jako płatników ograbianych przez państwo.

Konfederacja zagospodarowała elektorat antysystemowy. Od pierwszych wyborów prezydenckich w II RP za każdym razem pojawiał się Joker, który opowiadał dokładnie tę samą historię: cała reszta – komuchy i solidaruchy, prawica i lewica, PiS i PO – to jeden diabeł, zagłosujcie na zmianę. To jest elektorat Stana Tymińskiego, Ruchu Palikota i Kukiz'15, antysystemowe ruchome okienko – ruchome, bo się z niego wyrasta. Polska nie przesunęła w prawo i nie stała się bardziej brunatna. To są ci sami ludzie zagospodarowani przez kolejne partie antysystemowe.



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

tym środkowym poziomie. Tyle że z powodu uszkodzenia słuchawek dziś rozmowa o problemach i rozwiązaniach kompletnie się nie przebijają. Słychać tylko ten najwyższy poziom, poziom nawalanki.

Wszystkie partie mówią dziś więcej o swoich przeciwnikach niż o sobie. Powinno nam dać do myślenia, że Koalicja Obywatelska sfinansowała gigantyczną kampanię billboardową z twarzą Jarosława Kaczyńskiego. To jest polityka czysto negatywna pokazująca, że oni są tak wielkim zagrożeniem, że my, nawet jeśli będziemy pustym znaczącym, to i tak będziemy lepsi.

Odwrotność tego, co proponował kampanijnym strategom George Lakoff: zamiast „nie myśl o słońiu”, czyli narzucaj własną narrację, zamiast powtarzać narrację przeciwnika, mamy „myśl tylko o słońiu”. – Dokładnie tak! To jest polityka, która mówi: „myśli tylko o tym, jaki słoń jest straszny”. Lakoff pisał swoją książkę nie tak znowu dawno i wiele jego tez jest prawdziwych, ale wygląda na to, że w dobie mediów społecznościowych przestały być dobrymi radami dla partii politycznych. Bo dziś mamy bardzo sil-

Konfederacja to taki zły bliźniak Trzeciej Drogi. Trzecia Droga mówi: teraz przy stoliku siedzi dwóch zwaśnionych graczy, my posadzimy wszystkich i porozmawiamy. Konfederacja mówi: teraz przy stoliku siedzi dwóch zwaśnionych graczy, my przewrócimy stolik, wyrwiemy nogi i pobijemy wszystkich.

A jak się podoba ich hasło „Tak chcemy żyć”?

– Fajne, młodzieżowe. Nawiązanie do „tak trzeba żyć”. Pierwszy pomysł na kampanię, że Mentzen i Bosak pojadą w Polskę jako popularni guru, taka uboga wersja Jordana Petersona, i będą czarować młodzież, był niezły. Problem polega na tym, że nawet w takiej formule muszą padać jakieś konkrety.

No nie wiem. Niedawno na takim spotkaniu na scenę wbił się Ryszard Petru i zapytał publikę, czy chcą konkretów. Odpowiedzieli, że nie.

– Może tak być, ale umówmy się, przegrać w debacie z Ryszardem Petru...

Swoją drogą Konfederacja dostała pocałunek śmierci, bo przedwcześnie została namaszczona na czarnego konia, i tego brzemienia nie uniosła. Jej kampanijny rozpęd się skończył. Dalej emitują dużo spotów, ale np. w kwestii uchodźców mówią dziś to samo, co mówią Platforma i PiS. Dla małej partii to jest samobójstwo. Trudno się przebić w takim szumie.

du, bez kompleksów, Polskę, która mierzona jest miarą swoich sukcesów. To zresztą wciąż aktualny spór o to, czy miarą jakości państwa jest sukces najlepszych, czy poziom życia najsłabszych. Według lewicy o jakości państwa decyduje to, jak traktuje najsłabszych. To samo, do pewnego stopnia, mówił też kiedyś PiS. Według opowieści liberalno-konserwatywnej miarą jest sukces geniuszy czy start-upów – najlepszy wszystkich pociągną w górę. To ciekawy spór, ale dziś nie wybrzmiewa. Nawet Lewica ani Konfederacja nie są w stanie się z tym przekazać przebić.

W sumie to wyszło, że PiS, Platforma i Konfederacja mają ten sam przekaz. Jesteś symetrystą?

– Wręcz przeciwnie! Martwię się ujednoliceniem języka właśnie dlatego, że nie jest mi wszystko jedno! To jak ze zmianami klimatu albo szczepionkami. W swojej pracy badawczej analizuję pełną mapę narracji: tych za i tych przeciw. W miarę jak rośnie polaryzacja, opowieści często stają się do siebie bardzo podobne, wręcz symetryczne. To nie znaczy, że zwolennicy i przeciwnicy szczepionek mają tyle samo racji, bo tu decyduje nauka, a nie opowieści.

Nie wiem, czy to wystarczy, żeby nie dostać łatki symetrysty.

– Odbijam piłeczkę. Wysoki Sądzie, oskarżam o symetryzm tych, którzy dziś decydu-

Konfederacja to taki zły bliźniak Trzeciej Drogi.
Ona mówi: przy stoliku siedzi dwóch zwaśnionych graczy,
my posadzimy wszystkich i porozmawiamy.
Konfederacja mówi: my przewrócimy ten stolik,
wyrwiemy nogi i pobijemy wszystkich

Chciałam zapytać, która z tych opowieści wydaje się warsztatowo najlepsza, ale to chyba bezprzedmiotowe.

– Jestem rozzaczarowany, jako wyborca i jako badacz. To, że w gruncie rzeczy opowieści już nie ma, jest bardzo niepokojące. Opowieści są ważne, bo służą nie tylko do przekonywania innych do naszych racji, ale też do słuchania. Jeśli inni nie mówią nam swoich opowieści, to nie możemy zrozumieć, dlaczego podejmują takie, a nie inne wybory oraz czym ich przekonać. Narracje są też narzędziem introspekcji. Jeżeli nie zderzamy naszych opowieści z opowieściami innych, to nie możemy przemyśleć, czy to, jak widzimy Polskę, jest rzeczywiście dobre.

Wszystko to tracimy, rozpluwając się w masie dudniących basów. One są mobilizujące, podnoszą puls, podnoszą ciśnienie – ale co się stanie po wyborach? Albo będziemy musieli przekonywać społeczeństwo, że wciąż jesteśmy na granicy przewrotu, zamachu czy inwazji, albo z polityki uleci całe powietrze.

Ale czy obietnice bez pokrycia to nie kampanijny standard?

– Nie kupuję tej cynicznej wizji. PiS dotrzymał większości kampanijnych obietnic. Miał całociową wizję Polski otoczonej murem, która rozpoznaje to, co na zewnątrz, w tym Zachód, jako zagrożenie, i podejmuje kroki, by się obronić. To, jak PiS zmieniał edukację i naukę, prokuraturę, media, jak przejął kontrolę nad spółkami skarbu państwa, było realizacją tych obietnic. Możemy się nie zgadzać z kierunkiem, w którym ta zmiana idzie, ja na przykład się nie zgadzam, ale to pokazuje, że można było mieć program i ten program realizować.

Szum przykrył nawet ten tradycyjny podział: PiS to partia, która obiecuje wstanie z kolan, a PO – że w Polsce będzie normalnie, jak w Europie?

– Tak bym tego nie spłycał. PO też miała ciekawą propozycję: Polskę idącą do przo-

ją o kampanii. Nie wiem, może im te spoty jeden scenarzysta pisze? Bo naprawdę są identyczne, łącznie z montażem i doбором muzyki.

Bo niemal wychodzi na to, że skoro partie serwują to samo, to co to za różnica, na którą zagłosuję...

– Jest dokładnie odwrotnie! Gdybym tak uważał, że politycznych różnic nie ma, to bym powiedział: super, wszystko w porządku, wszyscy mają takie same spoty, bo mają te same propozycje dla Polski. Zamiast głosowania, zrobimy losowanie.

Nie, ja jestem głęboko przekonany, że potencjalne propozycje dla Polski tak naprawdę są bardzo różne i różne z nich wynikają dla nas możliwości. Ale w kampanii tych opowieści i związanych z nimi wartości po prostu nie ma. Nie dostajemy różnych ścieżek i ambitnych pomysłów. To może oznaczać dwie rzeczy: albo po wyborach partie nie będą miały odwagi realizować swoich wartości – mam nadzieję, że tak nie jest – albo że dziś nie mają odwagi o nich opowiadać.

To, że te narracje nie są dzisiaj różne, głośne, czyste, odważne, martwi mnie właśnie dlatego, że nie jest mi wszystko jedno. Osobiście byłbym zainteresowany zmianą władzy, ale, jak rozumiem, mój sobowtór z równoległego wszechświata, który lubi obecną partię rządzącą, ma taką samą frustrację. Pyta: gdzie jest opowieść mojego PiS-u? Gdzie jest odważne wyznaczenie kursu na przyszłość, a nie tylko obrona status quo i barykadowanie się przed uchodźcami i Platformą? Nie jest to silne państwo, które umiera ze strachu przed garstką ludzi marzących w lecie. Albo przed Donaldem Tuskiem. ●

Kaczyński nie gra w NBA, ale mógłby

Dla tej partii kłamstwo jest tak naturalnym środowiskiem jak dla ryby woda.

Marcin Matczak



•
Dyskusja, czy Marsz Miliona Serc był Marszem Sześćdziesięciu Tyśięcy, może wydawać się śmieszna, ale nie jest. Śmiejemy się z Patryka Jakiego, gdy porównuje zapelnioną aleję Jana Pawła II ze Stadionem Narodowym, a ktoś podsyła mu zdjęcie Księżyca i tegoż stadionu i tłumaczy, że jak coś ma ten sam rozmiar na zdjęciu, nie oznacza to, że jest takie samo.

Ale ten śmiech niewiele zmienia. Ludzie PiS, gdy widzą prawdę dla nich niekorzystną, rzucają się na nią jak pitbulle, żeby zagryźć. To ich agresja wobec prawdy zmienia nas i Polskę.

PiS uprawia kłamstwo geograficzne, matematyczne i biologiczne. Kadruje zdjęcia z marszu, jak kadrowali komuniści za czasów pielgrzymek papieża – by tłum wydawał się mały. Po raz kolejny udowadnia, że dla tej partii kłamstwo jest tak naturalnym środowiskiem jak dla ryby woda.

•
Doszli do władzy na kłamstwie smoleńskim, na urągającym rozumowi, bezczelnym oszustwie, które z prawdziwej tragedii zrobiło pełną fałszu farsę. To kłamstwo było totalne. Zaprzeczało nie tylko faktom, ale również prawom fizyki, a więc konstrukcji świata.

Potem przyszło kłamstwo z Woronicza. Zamiast finansować prawdziwe potrzeby, sfinansowali zorganizowaną grupę kłamliwą – ludzi, którzy za odpowiednie wynagrodzenie powiedzą, że Ziemia jest płaska, a Kaczyński tylko dlatego nie gra w NBA, że ma kontuzję kolana.

A potem było już z górką: u Orwella ignorancja stała się siłą, u nas przegrana 1:27 stała się zwycięstwem. PiS zbudował świat na opak, w którym nie ma nawet problemu z paradoksem kłamcy – bo oni nigdy nie mówią, że kłamią, więc nie trzeba się zastanawiać, czy choć wtedy nie kłamią. Zawsze oświadczają, że mówią prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. A ponieważ w państwie PiS wszystko jest na odwrót, wiemy, że mamia nas kłamstwem, tylko kłamstwem i totalnym kłamstwem.

Gdy mówią, że przywracają praworządność, jest jasne, że ją niszczą. Gdy mówią, że są prawdziwie chrześcijańscy, jest oczywiste, że są poganami. Kiedy powołują do Trybunału Konstytucyjnego „sędziów prawdziwie niezależnych”, jest jasne, że to polityczni funkcjonariusze. A teraz jeszcze premier się skarży, że wybory będą niesprawiedliwe, bo to opozycja ma potężne zasoby na kampanię wyborczą oraz ogromne wsparcie mediów.

I to kłamstwo dystrybutorowe, z kartkami informującymi o awarii, nie o braku paliwa. Na Polsce trzeba by wywiesić kartkę o awarii dystrybutora, którym władza ma podawać wyborcom prawdę o świecie. Bo z tego dystrybutora sączy się ściek załgania.

•
Kłamstwo PiS pada na przygotowany grunt. Weźmy atak na sądy. One mogą być arbitrem i szczególnie szkodliwego kłamstwa zakazać. Ale PiS pozbawia je zaufania przez ciągłe ataki, a jak nie ufa się sędziemu, to nie ma niko- go, kto kłamstwo może stwierdzić. Więc przestrzeń dla kłamstwa rośnie i rośnie bezkarnie

– wyrok zakazujący kłamstwa można zlekceważyć jako polityczny.

PiS zakłada głupotę okłamywanych i gardzi swoim elektoratem – uważa, że jest łatwy do zmanipulowania jak dziecko. Oszustwo staje się pomaganiem (Mejza), rozrzutność – zaradnością (respiratory), potępienie orgii – atakiem na Kościół (Dąbrowa Górnicza), znęcanie się nad ludźmi – obroną polskich wartości (granica białoruska), wydzieranie się – głosem rozsądku, a sztuczność – autentycznością (przemawiający Duda).

Politycy PiS wierzą, że gdy kłamią, by utrzymać się u władzy, kłamstwo jest usprawiedliwione. Podobnie gdy w tym celu kradną. Czy ta granica się nie przesunie? Czy zaczęną bić, by utrzymać się u władzy, i to też będzie usprawiedliwione? Wprawdzie kłamstwo i kradzież nawet w środowisku złodziejskim nie jest tym samym, co bicie, ale czy naprawdę, budując wielką Polskę, musimy pokładać nadzieję w tym, że PiS będzie się kierował złodziejskim kodeksem honorowym?

Oto wytworzył nam się model polityka, u którego zaletą jest czelność, by mówić, że nie jego jest ręka, którą złapano na gorącym uczynku. Kłamstwo jest dowodem sprytu, a zdolność do moralnego tarzania się w błocie staje się cnotą. A najgorszym efektem polskiej postprawdy jest, że ludzie kłamię uważają za twardziela, a prawdomównego za słabeusza. Gdy ktoś zaprzecza oczywistym faktom, uważają, że odważnie broni swojego stanowiska. A jeśli ktoś kłamie naprawdę wytrwale, to w tym kłamstwie musi być jakieś ziarno prawdy – bo przecież nie można być aż tak bezczelnym.

Pisał o tym już autor „Mein Kampf”: „w wielkim kłamstwie zawsze jest pewna siła wiarygodności (...), w prymitywnej prostocie ich umysłów [ludzie] łatwiej padają ofiarą wielkiego kłamstwa niż małego kłamstwa, ponieważ sami często kłamią w drobnych sprawach, ale wstydziliby się uciekać do kłamstw na dużą skalę. Nigdy nie przysłoby im do głowy, by sfabrykować kolosalne nieprawdy, i nie uwierzyliby, że inni mogą mieć czelność wypaczać prawdę w tak haniebny sposób”.

Kłamstwa PiS będą wpływać na nasze życie publiczne nawet wtedy, gdy odsunemy ich od władzy. Bo ludzie uwierzyli, że tak się gra w polityczną grę: nie umiesz kłamać, nie nadajesz się! Więc dla tych, którzy przyjdą po PiS, prawdomówność też nie będzie cnotą, lecz głupotą. W obliczu kłamstwa nie przynajmniej się do niego, skoro nawet ewidentne zbrodnie na ludzkiej uczciwości w przypadku PiS nikogo do tego nie zmusiły.

Dlatego w tych wyborach nie chodzi tylko o to, kto będzie rządził – to są wybory, które muszą udowodnić, że kłamstwo nie popłaca. Jedyny sposób na kłamców to pokazanie, że są słabi i przegrywają. Inaczej ludzie uwierzą, że można kłamstwem wygrywać. A to będzie przekleństwo, którego skutki poniesiemy wszyscy. Będzie z nami tak jak z Brytyjczykami i kłamstwem brexitowym. Ono im zaszkodziło sromotnie, ale teraz nie ma winnych.

Bo kłamcy polityczni są jak alimenciarze – do spłodzenia kłamstwa zawsze chętni, do ponoszenia kosztów, jakie ze sobą niesie, już nie. A alimenciarzy, jak mówi Ziobro, trzeba ścigać z całą surowością. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

JEDNAK SIĘ Z NIMI NIE BAWIMY

Początkowo ludzie w PiS
myśleli, że ataki
Morawieckiego i Dudy
na Zelenskiego to tylko taki
teatr na wybory.

Ale to nie jest teatr

Dominika Wielowieyska

Ody w kwietniu Wołodymyr Ze-
lenski spotkał się z Andrzejem
Dudą i Mateuszem Morawiec-
kim, był przekonany, że konflikt
wokół ukraińskiego zboża da się
rozwiązać. Sam Duda go o tym
zapewniał. Zaraz po tych roz-
mowach rząd PiS wprowadził
embargo, zanim zdecydowała
o tym Komisja Europejska.
Duda i Morawiecki prezydenta
Ukrainy o niczym nie uprzedzili.
Zelenski wyjechał z Warszawy
z poczuciem, że polscy partner-
zy zrobili z niego durnia.

Problem związany z ukraińskim zbo-
żem narastał przez długie miesiące, ale
PiS to lekcewał. – Jest wojna, jest bloka-
da portów, coraz więcej transportów idzie

z Ukrainy przez Polskę do innych kra-
jów, ale z punktu widzenia polskich rol-
ników oznacza to, że część tych zbóż bę-
dzie sprzedawana tutaj w Polsce po wy-
raźnie niższych cenach. To także powo-
duje, że opłacalność produkcji polskiego
rolnika może okazać się bardzo kłopotli-
wa – zauważył Donald Tusk w czerwcu ze-
szłego roku. Politycy PiS mówili wtedy, że
Tusk wpisuje się w kremlowską propagan-
dę. Ówczesny minister rolnictwa Henryk
Kowalczyk miał zapewniać Jarosława Ka-
czyńskiego, że sprawa zboża jest pod kon-
trolą. I prezes PiS uwierzył. Ale gdy pro-
testy rolników nasiliły się w pierwszej po-
łowie tego roku, Kowalczyka zastąpił Ro-
bert Telus.

Na początku kwietnia do Polski przyje-
chał Zelenski, spotkał się z prezydentem

i premierem. Na konferencji Zelenski za-
pewniał, że omówił z Morawieckim spra-
wy dotyczące rolników polskich i ukraiń-
skich. – Uważam, że w najbliższych dniach,
tygodniach nastąpi ostateczne rozwiązanie
wszelkich spraw – stwierdził.

Jednak w sobotę 15 kwietnia mini-
ster rozwoju i technologii Waldemar Bu-
da podpisał rozporządzenie o zakazie
przywozu z Ukrainy do 30 czerwca ta-
kich produktów rolnych jak zboże, cu-
kier, jaja. Tego samego dnia zostało opu-
blikowane w Dzienniku Ustaw i od ra-
zu weszło w życie. Było sprzeczne z pra-
wem unijnym, bo polityka handlowa na-
leży do wyłącznych kompetencji UE,
a rząd PiS wprowadził te restrykcje, za-
nim – w maju – zdecydowała o nich Ko-
misja Europejska.



Nieoficjalnie od strony ukraińskiej można było usłyszeć, że Zelenski był zszokowany tym, iż Duda, polityk, którego uważał za przyjaciela, nie uprzedził go o tym ruchu ministra Budy. Prezydent Ukrainy miał poczucie, że został wystawiony do wiatru i w oczach współpracowników wyszedł na durnia. Zainwestował w przyjaźń z rządem PiS bardzo wiele. Po wybuchu wojny nie spotkał się ani razu z Tuskiem. W kwietniu, jadąc do Polski pociągiem, swoim ministrom mówił, że zakazuje im fotografować się z politykami polskiej opozycji. Wyjątkiem był przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy Ruslan Stefanczuk, który pojawił się na Campusie Polska Przyszłości. Ale generalnie przedstawiciele rządzącej partii Sługa Narodu od polityków PO stronili. Zeleński uważał, że Tusk jest bliskim kolegą jego głównego konkurenta politycznego, byłego prezydenta i magnata biznesu Petra Poroszenki. Z Platformą utrzymuje bliskie relacje mer Kijowa Witalij Kliczko, który też należy do opozycji wobec Zeleńskiego. Aby utrzymać dobre relacje z Kaczyńskim, prezydent Ukrainy poparł nawet kłamstwo o zamachu smoleńskim, co PiS propagandowo wykorzystywał w Polsce.

No i jeszcze w kwietniu prezydent Duda mówił: „Wsparcie dla wolnej, niepodległej Ukrainy było, jest i będzie w naszym kraju poza politycznym sporem”. I dodawał: „Polaków i Ukraińców łączy wiele wieków wspólnej historii. Wspanialej, ale w wielu momentach także ogromnie trudnej. Popełniliśmy wzajemnie wiele błędów, za które zapłaciliśmy dramatycznie wysoką cenę. Zaborcy i okupanci nieraz próbowali nas skłócić, skierować przeciwko sobie w myśl zasady dziel i rządź. Dziś także próbują straszyć Polaków Ukraińcami i Ukraińców Polakami. Ale ja głęboko wierzę, że to im się nie uda. Dlatego wspólnie wysyłamy dziś jasny przekaz do Moskwy na Kreml: nie uda wam się nas skłócić”. Po czym minister Buda podpisał rozporządzenie uderzające w Ukrainę.

Wtedy Duda jeszcze odcinał się od stanowiska rządu, zaraz po publikacji rozporządzenia miał wysłać Zeleńskiemu sygnał, że nie ma nic wspólnego z tą decyzją i nikt z PiS go o takim ruchu nie poinformował. Mało tego, w czerwcu wyraził nadzieję, że również unijny zakaz, obowiązujący do 15 września, zostanie złagodzony. Powiedział to w Kijowie podczas wspólnej konferencji prasowej z Zeleńskim i prezydentem Litwy Gitanasem Nausėdą.

„Na razie są pewne decyzje [Komisji Europejskiej] i mam nadzieję, że będzie możliwość jak najszybszego złagodzenia tych decyzji, aby umożliwić rozwój wolnego handlu” – tak Duda komentował ogłoszony w maju unijny zakaz importu pszenicy, kukurydzy, rzepaku i słonecznika z Ukrainy do Bułgarii, Węgier, Polski, Słowacji i Rumunii. Zeleński wciąż brał zapewnienia Dudy za dobrą monetę.

Gdy obaj prezydenci spotkali się na początku lipca w ukraińskim Łucku, wydawało się, że relacje nadal są bardzo dobre. – Wraz z Andrzejem oddaliśmy hołd pamięci wszystkich ofiar Wołynia. Cienimy każde życie, pamiętamy o historii i razem bronimy wolności – deklarował Zeleński na nagraniu w mediach społecznościowych.

Początkowo Kancelaria Prezydenta RP przedstawiała to spotkanie w tonie triumfalnym: oto prezydent Ukrainy oddaje hołd ofiarom Wołynia. Spotkanie było zaskoczeniem, bo prezydenci wcześniej o nim nie informowali. Gest Zeleńskiego miał zamknąć usta tym siłom w Polsce, które uważały, że Ukraińcy za Wołyń nie przeprasili.

„Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia; pamięć nas łączy, razem jesteśmy silniejsi” – napisał na Telegramie Zeleński.

A jednak od spotkania w Łucku wszystko zaczyna się psuć. W Pałacu Prezydenckim przebąkują, że spodziewali się po Zeleńskim czegoś więcej, na przykład, że powie, kto tej rzezi dokonał. Wydaje się jednak, że sprawa Wołynia była tylko pretekstem.

Tak naprawdę PiS zorientował się, że wieś jest mocno wystraszona sytuacją na rynku zbożowym, a przede wszystkim tym, że rząd i prezydent tak entuzjastycznie wspierają aspiracje europejskie Kijowa, a tymczasem dla rolników Ukraina z jej potencjałem w roli członka UE jawi się jako olbrzymi problem i konkurencja. W badaniach wewnętrznych PiS właśnie ten aspekt się pojawił. Ponadto wśród części społeczeństwa narastało zmęczenie pomocą Ukrainie i prawdopodobnie dzięki temu przed wakacjami notowania Konfederacji wzrosły, bo część nacjonalistycznych wyborców PiS tam przepłynęła. Zobaczywszy, jak się sprawy mają, politycy PiS zmienili kurs.

Harcownikiem został Marcin Przydacz. Odpowiedzialny za sprawy zagraniczne minister Kancelarii Prezydenta – który startuje z list PiS – na początku sierpnia stwierdził, że „Ukraina naprawdę otrzymała dużo wsparcia od Polski. Myślę, że warto by było, żeby zaczęła doceniać to, jaką rolę przez ostatnie miesiące i lata dla Ukrainy pełniła Polska”. Zastępca szefa Kancelarii Prezydenta Ukrainy Andrij Sibiga stwierdził rozgorączkowany, że to oczywiście, że Ukraina jest wdzięczna Polsce i nie ma powodu, aby głosić takie tezy jak ta Przydacza.

Lawina jednak już ruszyła. PiS zaczął powtarzać, że Ukraina jest niewdzięczna. Było to przygotowanie pod kluczową rozgrywkę we wrześniu i usprawiedliwienie własnej wolty. Gdy w sierpniu Nowogrodzka zobaczyła, że retoryka antyukraińska daje efekty – Konfederacji spada poparcie, a PiS rośnie – postanowiła pójść dalej.

Zbliżał się 15 września, a więc dzień, do którego obowiązywało embargo na import ukraińskiego zboża. Morawiecki już wcześniej zapowiadał, że jeśli Komisja nie przedłuży embargo, to Polska wprowadzi je na własną rękę. Chodziło o ratowanie notowań PiS na wsi i miało wymiar bardziej symbo-

systemu licencjonowania eksportu zbóż. Ukraińcy zadeklarowali, że na razie nie będą składać wniosków o eksport.

Rumunia w odróżnieniu od Polski usprawniła szlaki transferu zboża. Ukraina w ciągu ośmiu miesięcy tego roku wysłała przez rumuński port w Konstancy nad Morzem Czarnym – donosi Reuters – rekordowe 9,2 miliona ton.

Sprawę można było więc załatwić polubownie, ale PiS nie chciał. Nie chodzi tylko o to, że podtrzymał zakaz importu wbrew Komisji Europejskiej. Problemem są same wypowiedzi polityków. We wrześniu Duda ewidentnie zmienił ton na konfrontacyjny wobec Kijowa. PiS wymusił na nim ten zwrot w imię wyborczych interesów.

– Ukraina zachowuje się jak tonący, który chwytą się wszystkiego. My, pomagając jej, mamy prawo bronić się przed uczynieniem nam szkody – powiedział we wtorek 19 września w Nowym Jorku prezydent, komentując spór o eksport ukraińskiego zboża. „Każdy, kto kiedykolwiek brał udział w ratowaniu tonącego, wie o tym, że człowiek tonący jest niesłychanie niebezpieczny; że może pociągnąć w głębinę. Ma siłę niewyobrażalną na skutek obawy osobistej, wpływu adrenaliny i może po prostu utopić ratującego”. Tę wypowiedź błyskawicznie podchwyciły ukraińskie media.

Tego samego dnia Zeleński zabrał głos w czasie sesji ONZ. „Uruchomiliśmy tymczasowy morski korytarz eksportowy z naszych portów. Ciężko pracujemy nad zachowaniem szlaków lądowych dla eksportu zboża. I niepokojące jest to, jak niektórzy nasi przyjaciele w Europie odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora”. Zeleński już wiedział, że zdaniem PiS tylko wierne kopiowanie polityki

Zeleński zainwestował w przyjaźń z rządem PiS bardzo wiele.

Po wybuchu wojny nie spotkał się ani razu z Tuskiem. Swym ministrom zakazał fotografować się z politykami polskiej opozycji.

Aby utrzymać dobre relacje z Kaczyńskim, poparł nawet kłamstwo o zamachu smoleńskim

liczny niż praktyczny, bo z analiz KE wynikało, że zboże od naszego sąsiada nie stanowi już takiego problemu. W Polsce najprawdopodobniej kłopot polega na tym, że magazyny są po prostu pełne zboża, i to naszego, bo rolnicy – za radą ministra Kowalczyka – w zeszłym roku wstrzymywali się ze sprzedażą, sądząc, że cena za tonę wzrośnie. A ona, wbrew zapowiedziom ministra, nie wzrosła, tylko spadła. I się nie podniesie, skoro magazyny są pełne zboża zeszłorocznego, a już następne żniwa za nami. W dodatku ukraińskie zboże nie opuszcza Polski tak sprawnie, jak powinno, bo kuleje przepustowość polskiej infrastruktury. Innymi słowy – lepiej na Ukrainę zwalić winę za własną nieudolność.

Mozna było się dogadać z Kijowem tak, jak zrobili to Rumuni. Ukraina nie będzie wwozić zboża do tego kraju, dopóki obie strony nie uzgodnią

Orbána, uważanego za agenta Kremla, może dać obozowi rządzącemu zwycięstwo.

A jeszcze dwa dni przed tym feralnym wtorkiem, kiedy padły słowa o tonącym i moskiewskim aktorze, Duda powiedział: „Spotkam się w Nowym Jorku z prezydentem Zeleńskim” i ma to być spotkanie „w formule bilateralnej”. Potem twierdził, że to kalendarz nie pozwolił na rozmowę obu przywódców. Prawda jest taka, że Zeleński wyszedł, gdy Duda przemawiał w ONZ, i nie chciał się z nim spotkać.

Potem już lawina potoczyła się wartko: w Świdniku Morawiecki ostro pororował: „Panie Zeleński, proszę nie obrażać Polaków. Polska to dumny kraj. Nie pozwolimy na to!”, a minister rolnictwa Robert Telus odniósł się w Radiu Plus do konfliktu zbożowego: „Jeżeli nie zbudujemy dzisiaj narzędzi, to na pewno Polska się na to nie zgodzi, żeby Ukraina weszła do Unii

Europejskiej”. Jeszcze kilka miesięcy temu taka wypowiedź polskiego rządu była nie do pomyślenia. Andrzej Duda powtarzał wielokrotnie, że Polska opowiada się za jak najszybszą integracją Ukrainy z UE i nie było żadnego „ale”, nie było gróźb zablokowania integracji, gdyby jej warunki nie odpowiadały Polsce.

PiS nie omieszkiał też wyeksponować niedawnego skandalu w Kanadzie. W obecności Zeleńskiego kanadyjski parlament uhonorował Jarosława Hunkę, przedstawiając go jako ukraińskiego patriotę. Tymczasem Hunka był członkiem kolaboranckiej jednostki SS Galizien odpowiedzialnej za masakry Polaków i pacyfikację polskich wsi. Wybuchła awantura, w efekcie której speaker kanadyjskiego parlamentu Anthony Rota podał się do dymisji. O tym, że Hunka będzie na galerii dla publiczności – zapewniał Rota – nie wiedzieli i członkowie kanadyjskiej Izby Gmin, i delegacja ukraińska. Za incydent przeprosił też premier Justin Trudeau, mówiąc przed kamerami, że był to „błąd, który głęboko zawstydził Kanadę”.

Wcześniej jednak rząd polski ruszył do ataku. To, że uaktywnił się ambasador w Kanadzie Witold Dzielski, w tej sytuacji było naturalne, ale zaraz minister edukacji Przemysław Czarnek zaczął mówić o ekstradycji Hunki. Tymczasem liderzy Konfederacji oskarżyli rząd o zbyt delikatną reakcję na skandal, więc PiS się wystraszył, że groźny prawicowy rywal zagospodaruje temat – i za Czarnkiem podążyła była premier Beata Szydło, zamieszczając na platformie X (dawnym Twitterze) sążnisty wpis.

„Okłaskiwanie przez prezydenta Wołodymyra Zeleńskiego i premiera Justina Trudeau weterana SS Galizien w kanadyjskim parlamencie to część szerszego problemu. Kanadyjscy politycy – chociaż nie świadczy o nich to zbyt dobrze – mogli nie wiedzieć, komu biją brawo. Ale czy prezydent Ukrainy nie domyślał się, co w czasie II wojny światowej robił 98-letni »ukraiński bohater«”.

Szydło nie przeszkodziło to, że Hunka nie jest postacią powszechnie znaną, a przedstawiciele Ukrainy nie byli informowani, kto dokładnie będzie na uroczystości – ani że jej ton współgra z narracją Kremla o faszystach z Ukrainy. – Zamiłowanie kijowskiego reżimu do nazistowskiej ideologii nie jest niczym nowym, mówiliśmy o tym od dawna. To, że Zeleński również na stojąco okłaskiwał faszystę, po raz kolejny to potwierdza. Można jedynie współczuć pamięci ukraińskich weteranów, którzy walczyli z faszyzmem, w tym również dziadka Zeleńskiego – powiedział rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow.

Niedługo potem pojawił się następny spin. „Mówi się nieoficjalnie, że ponoć Niemcy i Francja obiecały władzom Ukrainy szybkie wejście do UE, jeśli Kijów pomoże w obaleniu obecnego polskiego rządu” – przekazała korespondentka TVP z Brukseli Dominika Cosić, wywołując burzę. Europosłowie opozycji uznali to za bzdurę suflowaną przez PiS. W tym samym czasie europoseł PiS i były minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski w Wirtualnej Polsce mówił, że „ukraińskie władze chcą zmiany rządu w Polsce”, a Zeleński liczy, że to Tusk zostanie premierem.

– Twierdzą tak, opierając się na tym, co widzę w Parlamencie Europejskim. Jestem szefem delegacji ds. współpracy z Ukrainą, a widzę, że Ukraińcy częściej utrzymują kontakty nie z moją delegacją, nie z Europejskimi Konserwatystami i Reformatorami [grupa zrzeszająca europosłów prawicy, skrajnej prawicy i eurosceptyków], a z politykami Niemiec i Francji. Proszę zauważyć, że partia Zeleńskiego jest członkiem ReNew Europe. Partia Poroszenki jest członkiem frakcji EPP [Europejska Partia Ludowa, skupia przedstawicieli partii konserwatywnych, centroprawicowych, chadeckich i ludowców], grupy zdominowanej przez Niemcy – mówił Waszczykowski, ignorując to, że Zeleński trzymał się od Tuska z daleka właśnie dlatego, że w EPP jest Europejska Solidarność Poroszenki.

Teza, że Kijów dogadał się z Paryżem oraz Berlinem, aby obalić PiS, jest idiotyczna, bo nielogiczna. Konflikt z Ukrainą napędził PiS wyborców, więc raczej pomaga Kaczyńskiemu, a nie szkodzi. Kurs antyukraiński ma być trzymany do wyborów, bo sztab PiS wierzy, że jak się Konfederację wepchnie pod łód, to beneficjentem egzekucji będzie obecna partia rządząca, która zgarnie większość potencjalnych mandatów Konfederacji.

Pomysł na koalicję z partią Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena na razie zszedł na dalszy plan. Owszem, więzi między PiS i Konfederacją są bliskie, ale Kaczyński nie znosi szarej eminencji Konfederacji Przemysław Wiplera, w Konfederacji z kolei znaczącą postacią może być Jakub Banaś, który PiS wręcz nienawidzi, i za śledztwo w sprawie wyludzeń publicznych dotacji oraz podatku VAT, i za próby pozbycia się jego ojca, prezesa NIK. Taka koalicja oznacza więc dla PiS kłopoty, choć oczywiście nie można jej całkowicie wykluczyć.

Nie po raz pierwszy polityka zagraniczna jest wypadkową wewnętrznych interesów PiS. Początkowo zaplecze partii wydawało się trochę zdezorientowane wolą rządu w sprawie Ukrainy. Niektórzy wyrażali przypuszczenie, że to tylko taki teatr na wybory i Kijów jest o tym uprzedzony, a potem wszystko wróci do normy.

Ale to nie jest teatr. Zelenski i Duda nie są już przyjaciółmi. A narracja obowiązująca w rządzie brzmi: Ukraina postawiła na Niemcy, nasi sąsiedzi są niewdzięczni.

„Największym rozczarowaniem jest łatwość, z jaką Berlinowi udało się wbić klin między Polskę a Ukrainę. W Kijowie uwierzono, że przyszłość będzie można zbudować w oparciu o niemiecką hegemonię w Europie. To mrzonki” – powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” szef MSZ Zbigniew Rau. Prowadzący rozmowę bracia Karnowscy nawet się nie zająknęli, że przecież to nie Niemcy wbijali klin, tylko Warszawa z Kijowem pokłóciła się o ukraińskie zboże, a PiS zaostrzył retorykę, aby odebrać elektorat Konfederacji. Ani że sprawę Ukrainy rządzący wplekli w trwającą od dawna, na przemian nieco wycisaną i rozkręcaną kampanię antyniemiecką, też obliczoną na efekt wyborczy bez baczenia, że w obliczu wojny z Rosją powinniśmy mieć dobre relacje z naszymi największymi partnerami na kontynencie. Rau zresztą w tym samym wywiadzie wspomina, że sukcesem polskiej dyplomacji jest ścisła współpraca z USA – zapominając dodać, że koalicja Niemiec i USA jest dziś fundamentem wspólnoty euroatlantyckiej.

Wiecej miejsca sprawom ukraińskim bracia Karnowscy poświęcili w rozmowie z ministrem Przydaczem. Suflują tam tezy, że Polska „rozpieszczała Ukrainę”, a teraz spotkała ją taka niewdzięczność. Przydacz z kolei doradza Ukrainie, by nie stawiała na Niemcy – i nie przeszkadza mu w tym fakt, że przecież Morawiecki w Polsce ogłasza, że my już uzbrojenia naszemu sąsiadowi nie będziemy wysyłać, bo zbroimysię sami (ten przekaz pod wyborców Konfederacji jest zresztą nieprawdziwy, bo kontrakty zbrojeniowe są dalej realizowane), a tymczasem po początkowym lawirowaniu Niemcy dostarczają Ukrainie masę sprzętu wojskowego.

To, że Kijów chce dobrych relacji z Berlinem, w żaden sposób nie wyklucza dobrych relacji z Warszawą. Ale w opowieści prezydenckiego ministra problem ze zbożem to problem z rozpasanymi ukraińskimi oligarchami, którzy chcą więcej zarabiać, a w ich interesie Zelenski składa na ołtarzu ofiarnym przyjaźń z Polską.

Spin o odpowiedzialności Ukrainy za konflikt ma usprawiedliwić zmianę kursu i przekonać trochę zaskoczony twardy elektorat, że to nie wina PiS. A elektorat ma prawo być zaskoczony, bo od wybuchu wojny z Rosją PiS powtarzał, że ktokolwiek cokolwiek złego powie o Ukrainie, jest agentem Kremla, i generalnie zarzuca przeciwnikom politycznym oraz krytykom

sprzyjanie interesom Putina. Tymczasem teraz sam wykonuje ruchy, które cieszą Moskwę, i wzmacnia antyukraiński, przychylny Rosji blok unijnych państw odszczepieńców, takich jak Węgry.

Pytanie, ile w pisowskiej wolcie jest wyrachowania, a ile szczerzej emocji i co naprawdę myślą na Nowogrodzkiej o relacjach niemiecko-ukraińskich.

Józef Orzeł, stary druh Kaczyńskiego: „Ukraina jest jak Polska na przełomie lat 80. i 90.: zachwycona Zachodem, słucha Zachodu, bo uważa, że jest mądrzejszy, i teraz Ukraina stawia na Niemcy jak my w latach 90.”

Józef Orzeł to człowiek, o którym się mówi, że prezentuje opinie Jarosława Kaczyńskiego, bo z nim często rozmawia. Współzałożyciel Porozumienia Centrum, pierwszej partii braci Kaczyńskich, mówił niedawno w uchodzącym za nieformalny salon prawicy i kuźnię wielu pisowskich idei Klubie Ronina: „Ukraina jest jak Polska na przełomie lat 80. i 90.: zachwycona Zachodem, słucha Zachodu, bo uważa, że jest mądrzejszy, i teraz Ukraina stawia na Niemcy jak my w latach 90.”. Orzeł ma rację, Niemcy były promotorem naszego członkostwa w UE, a potem skutecznym ambasadorem Polski we Wspólnocie i dziś Ukraińcy myślą tak samo: bez pomocy Niemiec do Unii nie da się wejść – ale w optyce Zakonu PC to dyskwalifikująca naiwność, jeśli nie serwilizm elit krajów aspirujących, oraz dowód na mocarstwo we zakusy Berlina.

Orzeł nie ma natomiast racji, wyolbrzymiając propozycję Ukrainy, by Niemcy znalazły się w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Zelenski to mówi, bo powiedział to prezydent USA Joe Biden, który dziś trzyma sztamę z Berlinem.

Inna sprawa, że wedle naszych informacji przeciwnicy polityczni prezydenta Ukrainy ostro krytykowali go za wypowiedź w ONZ jako nieadekwatną do sytuacji. Ich zdaniem niepotrzebnie zaostrzył konflikt pod wpływem emocji i wściekłości na Dudę, który w mniemaniu Zelenskiego zdradził ich przyjaźń.

Z kolei polska opozycja zauważa, że rząd PiS tyle zainwestował w sojusz i pomoc Ukrainie, a teraz ta inwestycja zostanie zmarnowana. I tłumaczy, że nie ma nic dziwnego w tym, że Kijów chce mieć dobre relacje z kanclerzem Niemiec.

– Zelenski potrzebuje zgody na integrację z UE od wszystkich państw członkowskich, oczywiście z największym płatnikiem na czele – czyli Niemcami. To będzie naprawdę duże rozszerzenie, takie jak to nasze z 2004 roku, a wtedy miały miejsce dwa szantaże. Grecja powiedziała, że nie godzi się na rozszerzenie bez Cypru, a Niemcy, że nie będzie rozszerzenia bez Polski. Dla nas to było bezcenne. Ukraina chce mieć życzliwość i Polski, i Niemiec, bo potrzebuje obu krajów – wyjaśnia Radosław Sikorski, były szef MSZ w rządzie Tuska.

Główny architekt pokojowego przekazania władzy proeuropejskim demokratom przez związanego z Rosją prezydenta Janukowycza po Euromajdanie w 2014 r. wskazuje jeszcze na inny fakt. W zeszłym

tygodniu Rada UE zgodziła się na przedłużenie o dodatkowy rok, czyli do marca 2025, przepisów o „ochronie tymczasowej” dla uchodźców z Ukrainy. A Polska? Polska usiłowała odwlec tę decyzję, bo Warszawa najpierw chciałaby gwarancji unijnych pieniędzy na uchodźców. Polski sprzeciw był nieskuteczny, bo w tej kwestii nie było wymogu jednomyślności.

Ukraińcy dzięki „ochronie” mogą swobodnie mieszkać, pracować i korzystać z systemów opieki w całej Unii. – Ależ małołkowe było to stanowisko polskiego rządu – kwituje Sikorski.

Ukraińców boli nie tylko sprawa zboża. – Szerzenie narracji o niewdzięczności Ukrainy za pomoc otrzymaną od Polski to jawne kłamstwo – stwierdził Dmytro Kuleba. Szef ukraińskiej dyplomacji ocenia, że to nie spór o produkty rolne, ale właśnie przekonanie coraz większej liczby Polaków o ukraińskich niewdzięcznikach stanowi dziś największe zagrożenie dla relacji Warszawa – Kijów. – Bardziej interesuje mnie walka z tą narzuconą i fałszywą narracją niż kwestia zboża – podkreśla.

Tyle że obóz rządzący w tej grze nie cofa się nawet przed kłamstwem. W Radiu ZET minister aktywów państwowych Jacek Sasin powiedział, że „z tego, co wie”, Polska Grupa Zbrojeniowa nie dostała zaproszenia na ważne rozmowy przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego podczas Forum Przemysłu Obronnego w Kijowie, i umieścił to na liście nieprzyjaznych gestów ze strony Ukrainy.

– Obawiam się, że chodzi o bieżący interes polityczny ze strony władz ukraińskich, które uważają, że w momencie, kiedy toczy się w Polsce kampania wyborcza, lepiej stanąć po stronie Niemiec i odegrać w tej kampanii rolę tego, kto pokazuje, że nie gra na ten rząd – który jest adwokatem dla Ukrainy, tak wiele zrobił dla Ukrainy, dla Ukraińców – tylko jest lepiej zagrać na zmianę władzy w Polsce. Myślę, że to się Ukrainie odbije czkawką – oznajmił Sasin. Po czym w serwisie X przyznał, że skłamał, bo zaproszenie było, tylko PGZ z niego nie skorzystała.

To obnaża tę grę PiS, która toczy się od kilku tygodni. Ale w poniedziałek wieczorem minister Rau kontynuował tę narrację. Zapytany, dlaczego nie uczestniczy w spotkaniu unijnych szefów dyplomacji w Kijowie, odpowiedział, że wśród powodów są również zdrowotne – co w języku dyplomacji sugeruje lekceważenie – po czym dodał, że „w polityce, także bilateralnej między różnymi państwami, mamy okres koniunktury i dekonunktury”. Inna sprawa, że w tym przypadku może chodzić o zwyczajną próbę zatuszowania resortowego niedopatrzenia za pomocą antyukraińskiego wzmożenia – bo resort spraw zagranicznych praktycznie nie pracuje, Raua często nie ma w ministerstwie, wiceministrowie są zajęci swoimi kampaniami wyborczymi, panuje bezhołowie.

Gdy PiS dorzuca do ognia, Wasyl Zwarycz, ambasador Ukrainy w Warszawie, tonuje nastroje. – Kiedy w Ukrainie toczy się wojna i codziennie giną ludzie, cywile i żołnierze, a z drugiej strony tutaj w Polsce idzie kampania wyborcza, to emocje są podniesione siłą rzeczy, ale to nie oznacza, że mamy jakiś potężny kryzys naszych relacji. Musimy sobie nawzajem parę rzeczy wyjaśnić i robimy to bardzo skutecznie. Jest całkowite zrozumienie po naszej stronie i liczymy na takie zrozumienie i po polskiej stronie – tłumaczył w TVN 24.

W trakcie rozmowy ambasadora zapytano o spotkanie Zelenskigo z przedstawicielami firm zbrojeniowych kilku państw i o to, dlaczego nie było tam przedstawicieli Polski. Odparł, że „to już pytanie raczej do strony polskiej”. – Zaprosiliśmy wszystkich z zaprzyjaźnionych krajów, łącznie z firmami z przemysłu obronnego. Polska była wśród pierwszych, którzy dostali to zaproszenie, więc oczekiwaliśmy na jej udział – dodał. Później PGZ wydała oświadczenie, że relacje z Ukrainą są bliskie, współpraca kwitnie i akurat nie było potrzeby, aby jechać do Kijowa.

Kilka tygodni temu były minister spraw zagranicznych w gabinecie Morawieckiego Jacek Czaputowicz wypowiedział kilka ostrych słów pod adresem obecnej polskiej dyplomacji, a wydarzenia, które potem nastąpiły, potwierdziły słuszność tych tez. Czaputowicz mówił, że polityka, jaką prowadzi wobec Ukrainy rząd, a w szczególności wytykanie Ukraińcom braku wdzięczności za pomoc albo żądanie od nich, by zajęli się rozliczeniem zbrodni wołyńskiej w czasie, kiedy prowadzą wojnę o przetrwanie, to „szmalcownictwo polityczne”. Zamiast więc krytykować Zelenskigo za to, że nie wyraził świętego oburzenia z powodu ukraińskiego esesmana, o którego przeszłości nic nie wiedział, politycy PiS powinni skupić się na pomaganiu Ukrainie we wszelki możliwy sposób, warunkiem pojednania polsko-ukraińskiego jest bowiem pokonanie Putina. Czaputowicz podsumował w Polsat News, że „są państwa silne jak lwy, są państwa przebiegłe jak lisy i są państwa jak hieny czy szakale. I my prowadzimy teraz politykę szakali, hien”.

Jedną z osób najlepiej zorientowanych w Polsce w ukraińskiej polityce i relacjach polsko-ukraińskich jest Mirosław Czech. Były polityk Unii Wolności mający dobre kontakty w Kijowie i w transatlantycznych kręgach dyplomatycznych rzuca ten konflikt na szersze tło.

– Historia nie jest nauką ścisłą, podobnie jak politologia, nie można bowiem przeprowadzić eksperymentu, który udowodniałby prawdziwość hipotez sformułowanych przez uczonych lub polityków. A jednak w przypadku stosunków polsko-ukraińskich taki dowód został przeprowadzony. Po wybuchu wojny na pełną skalę 24 lutego 2022 każdy rozumiał, że gdy Ukraina padnie pod naporem rosyjskiej armii, to zagrożona zostanie niepodległość państw bałtyckich, Polski i Czech. Otwarcie o tym powiedział prezydent Joe Biden. A zatem stwierdzenie Piłsudskiego, Giedroycia i Kuronia, że bez niepodległej Polski nie będzie niepodległej Ukrainy, a bez niepodległej Ukrainy nie będzie wolnej Polski, okazało się empirycznie dowiedzioną prawdą. W latach 2015-22 PiS tę prawdę ignorował, prowadził politykę pokazywania pleców Ukrainie, lecz po 24 lutego do nich dotarła i zmienili pozycję. Na chwilę jednak, bo od kwietnia tego roku powrócili na stare antyukraińskie tory. Kampania wyborcza tego zwrotu nie usprawiedliwia, podobnie jak mocne słowa Zelenskigo w ONZ.

Bo, jak podkreśla Czech, rzecz w istocie jest prosta: „Albo jesteś z Ukrainą, albo opowiadasz się po stronie Rosji. Działając na szkodę relacji polsko-ukraińskich, podkopujesz bezpieczeństwo Polski, bo grasz na polu Kremla”. ●

O filmie Agnieszki Holland i książce Mikołaja Grynberga

GRANICE EMPATII

Klasa średnia nie mieszka w miejscach, w których mieszkają imigranci

SZCZEPAN TWARDOCH

Nie jest łatwo pisać krytycznie o „Zielonej granicy” po skandalicznym ataku, który przypuścili funkcjonariusze PiS.

Atak ten oczywiście filmowi w niczym nie zaszkodzi, rozpięcie na pluszowym krzyżu przez ten nieskończony głupi reżim już załatwiło „Zielonej granicy” rekordową frekwencję i bez wątpienia pomaga w recepcji filmu, jednak nie należy bagatelizować obrzydliwości samego faktu i wywołanego tą pustą retoryką zagrożenia, jakie samą autorkę dotyka. Współczuję więc reżyserce, że potrzebuje całodobowej ochrony, i wstyd mi, że prezydent Rzeczypospolitej dosięga nowego dna, nie tylko zajmując się recenzowaniem filmu, którego nie widział, ale jeszcze porównuje go do nazistowskiej propagandy, dowodząc tym samym po raz kolejny, że nawet na sam koniec prezydentury nie stać go ani na powagę, ani na odrobinę nawet dystansu wobec własnego środowiska.

Tym niemniej sztuka jest ważna, ważniejsza niż przedwyborcze konteksty i głuota polityków i trzeba o niej pisać bez względu na to, jakie głupstwa o niej wygadują inni, „Zielona granica” zaś wzbudza mój sprzeciw.

Po świetnej, wstrząsającej pierwszej części filmu uchodźcy stają się pozbawionym podmiotowości rekwizytem, przedmiotem troski wielkomiejskiej inteligentki – i to jej cierpienie, szlachetność i odwaga stają się właściwym tematem, to ona jest prawdziwą ofiarą, niczym Chrystus z szat obnażona. Tak jak dwór czyni króla, tak ją do świętości wynoszą imigranci, których karmi i odziewa, do męczeństwa zaś szykany, których doświadczą ze strony policji, czyli przede wszystkim celebrowana niczym męczeństwo rewizja osobista, co męczeństwem i skandalem wielkomiejskiej inteligentki wydaje się dopiero, gdy dotyka ją samą, chociaż dla części doświadczającej policyjnej brutalności klasy ludowej zwykłą jest codziennością.

Cierpienie i los uchodźców potrzebne są tylko do tego, aby główna bohaterka mogła się nad nimi ulitować, dowodząc swego człowieczeństwa, w przeciwieństwie do mieszkańców Podlasia, którzy człowieczeństwa zdradzają pewne oznaki, dając np. wodę, ale nie mają szans osiągnąć jego pełni, bo po przekazaniu wody dzwonią gdzieś – pewnie po Straż Graniczną.

Niechże więc w zimowej puszczy na polsko-białoruskiej granicy rozpościera się ocean ludzkiego cierpienia, falują w nim ciała tonących w bagnach dzieci i przerzucanych przez druty ciężarnych kobiet, ale ciągle najważniejsze w filmie Holland okazują się postaci grane przez Maję Ostaszewską i Macieja Stuhra. O ileż lepszy byłby to film, gdyby jego twórczyni pozostała z ofiarami, gdyby ograniczyła się do historii uchodźców i – w kontraście – do nieźle opowiedzianej historii strażnika granicznego, doskonale zagrane przez Tomasza Włoska, który w przeciwieństwie do głównej

bohaterki jest postacią ciekawą, bo skonfliktowaną wewnętrznie, złożoną. Klasowe uwarunkowania okazują się jednak silniejsze niż niewątpliwy talent Holland. Dla reżyserki tak naprawdę interesujący są jedynie ludzie podobni do niej samej.

Reżyserka „Zielonej granicy” tak bardzo wierzy w wielkość – mimo śmieszności – swoich bohaterów, że obdarzając ich małymi ludzkimi przywarami, w istocie pozostaje wobec nich bezkrytyczna i przez to ślepa na kabotyńskie tony sceny, w której przemyceni do bogatego domu afrykańscy imigranci odnajdują wspólny język z mówiącą świetnie po francusku polską młodzieżą i wspólnie sobie radośnie rapują, nagle jakby zjednoczeni w młodości i człowieczeństwie. A przecież ci czarni chłopcy nie zostaną w tym domu. Prosto z proszonej kolacji trafiają na samo dno społecznej hierarchii Warszawy, Berlina albo Paryża, będą rozwozić pizzę albo sprzątać śmieci na ulicach, które dzieci ich chwilowych gospodarzy oglądają zza szyb drogich samochodów wiozących ich do jeszcze droższych szkół i uniwersytetów.

Jak to możliwe, że nikt z autorów „Zielonej granicy” nie poczuł tego fałszywego tonu? Czy dlatego, że pozostają wszyscy w liberalnej iluzji, w której systemową redystrybucję bogactwa zastępuje chwilowy odruch serca, jałmużna, datek na WOŚP albo kolacja dla trzech uchodźców? Czy dlatego, że los przedmiotu ich dobroczynności nigdy specjalnie ich nie interesował, bo to nie obdarowanemu dobroczynność ma przede wszystkim służyć, ale poczuciu moralnej doskonałości obdarowującego?

W obliczu kryzysu migracyjnego, wielkich zmian demograficznych w Europie, które nadejdą, w obliczu oceanu cierpienia niewinnych, dla polskiej inteligentki robiącej o tym film i tak najważniejszą okazuje się ona sama. Reżyserka i aktorka, obie społecznie zaangażowane, nadają więc postaci głównej bohaterki własne cechy i uszlachetniają same siebie jej odwagą i cierpieniem, widzą zaś powinien być wdzięczny, że może być tego festiwalu moralnej doskonałości niemyim świadkiem. Nie przez przypadek, jak sądzę, nie ma dobrego polskiego słowa na określenie self-righteousness – nazwane nie mogłoby dłużej pozostawać niewidzialne.

Wszystkie zarzuty szukających „politycznego złota” polityków PiS są przy tym z gruntu nieprawdziwe, film jest wręcz nieznośnie entuzjastyczny wobec Polaków, przynajmniej tych klasowo bliskich reżyserce i nawet postać grana przez Agatę Kulę, która mimo odprawiania właściwych plemiennych rytuałów (świeczki, sądy etc.) okazuje się tchórzliwą mieszczką, jest tylko uwiarygodniającą ten samozachwyt tokenem, odwrotnością „dobrego Niemca” z „Czterech pancernych”, który „złych Niemców” czynił samą swoją obecnością jeszcze gorszymi, bo też dodając odrobinę szarości do czarno-białego obrazu, czynił go bardziej wiarygodnym.

Twórczynie i twórcy „Zielonej granicy” zabezpieczają swój film przed krytyką solidnymi fortyfikacjami. Im mocniej i głupiej atakują film Holland

prezydent, premier i ministrowie, tym fortyfikacje te stają się wyższe i potężniejsze. Bo jak tu krytycznie przyglądać się filmowi, skoro prezydent Duda oglądanie go kwituje hasłem: „Tylko świnię siedzą w kinie”, nawiązując do – swoją drogą zupełnie nieudanej, bo warszawiacy i tak do tych kin tłumnie chodzili – akcji bojkotu niemieckich kin dla Polaków w okupowanej Warszawie.

Drugą, solidniejszą nawet linią fortyfikacji jest to, że bohaterki Holland – podobnie jak bohaterowie książki Mikołaja Grynberga, o której później – na fundamentalnym poziomie bez wątpienia postępują szlachetnie. Tego nie należy relatywizować. Niezależnie od tego, jakie stanowisko zajmujemy w kwestii migracji czy płotu na granicy, moralnym obowiązkiem człowieka jest głodnych nakarmić, spragnionych napoić, nagich przyodziać, podróżnych w dom przyjąć, więźniów pocieszać, chorych nawiedzać, umarłych pogrzebać – że zacytuję „uczynki miłosierdzia wobec ciała”. To w naszej cywilizacji wartości uniwersalne, nie tylko chrześcijańskie – bohaterki filmu Holland spełniają w zasadzie każdy z nich i chwala im wszystkim za to. Tutaj żadnej dyskusji nie ma. Jakie są jednak motywy, z których wypływają te szlachetne uczynki?

W lewicowo-liberalnych kręgach przyjęło się myśleć o imigracji w kategoriach wyłącznie moralnych, jakby stosunek wobec niej pozostawał probierzem człowieczeństwa. Nie przez przypadek w filmie Holland przewija się przypięta na ścianie kartka z napisem „Żaden człowiek nie jest nielegalny”. To popularne hasło wydawać się może jedynie właściwą odpowiedzią na znane nam wszystkim obrazy, czy będzie to tonący w białowieskim bagnie chłopczyk, czy inny, też martwy, wyrzucony na brzeg Morza Śródziemnego.

A jednak hasło „Żaden człowiek nie jest nielegalny” ma też inne konsekwencje. Jeśli uznamy, że „żaden człowiek nie jest nielegalny”, to kwestionujemy sens istnienia granic państwowych – te zaś stanowią podstawowy warunek istnienia suwerennych państw. Taki postulat nie dziwi, kiedy wygłaszają go młodzi anarchości, powodowani właściwą młodością niezgodą na okrutną zasadę rzeczywistości, pragnieniem wyrócenia istniejącego porządku. Czy jednak o to chodzi mieszczańskim czy inteligentkim lewicowym liberalom?

Czy możemy zaryzykować tezę, że lewicowo-liberalny entuzjazm wobec imigracji ma również inne, bardziej przyziemne – nawet jeśli nieuświadomione – motywy? W związanych z tym nurtem mediach często mówi się o tym przecież wprost: „Potrzebujemy ludzi do pracy”. Oczywiście, społeczeństwo się starzeje, jednak warto sobie zadać pytanie, kto potrzebuje „ludzi do pracy” – czy raczej taniej siły roboczej.

Bez wątplenia potrzebuje jej klasa wyższa, ludzie już bogaci, którzy dzięki napływowi imigrantów stać się będą mogli jeszcze bogatsi. Tania siła robocza przydaje się też klasie średniej, jak również wielkomiejskim profesjonalistom, dysponującym dużym kapitałem kulturowym i społecznym, nawet jeśli nie finansowym. To dzięki imi-

grantom nauczyciele akademicki, działacze kultury, aktywiści mogą żyć w istocie ponad stan, w sposób, do którego ze względu na posiadany kapitał kulturowy aspirują, korzystając z tanich przejazdów Uberem, tanich dostaw jedzenia i wszystkich tanich prac, które, gdyby świadczone były przez mocniej osadzonego w społecznej tkance miejscowy proletariatus, kosztować musiałyby o wiele więcej i dla niższej klasy średniej mogłyby pozostawać niedostępnymi.

Czy więc istotnie hasło „Żaden człowiek nie jest nielegalny” jest hasłem lewicowym? Pisz o tym Angela Nagle w tekście „The Left Case Against The Open Borders”, który w 2018 r. ukazał się w „American Affairs”. Autorka przejrzyście wywodzi, jak postulat będący w istocie neoliberalny i drapieżnie kapitalistyczny zawładnął, posługując się moralnym szantażem, myśleniem lewicowym.

Pozostaje się zastanowić, jakie są granice empatii Agnieszki Holland. Czy lęk klasy ludowej przed obcymi jest czymś, czemu można się przyjrzeć z empatią właśnie? Lęk przed obcym i nieznanym jest lękiem, może nie być racjonalny – chociaż racjonalny bywa, pisze o tym Nagle, gdy podaż siły roboczej obniża jej wartość – ale zawsze jest emocjonalnie zrozumiały, jeśli zechcemy się wykazać empatią właśnie.

Pragnienie mieszkania i życia wśród ludzi, z którymi współdzieli się język i kulturę również jest zrozumiałe. Akceptacja imigracji lub jej brak ma bardzo wyraźny kontekst klasowy. Ludziom z klasy średniej imigracja zarobkowa przynosi same korzyści – to niedrogie nianie, sprzątaczkę, ogrodnicy dla klasy średniej oraz tania siła robocza dla klasy wyższej. Klasa średnia nie mieszka w miejscach, w których mieszkają imigranci, przeprowadza się do dzielnic droższych i uniwersalnie białych, do takich też szkół wysyła dzieci, poszukując w istocie tego samego – mieszkania wśród ludzi podobnych sobie – z czego wypływa lęk przed imigracją klasy niższej. Klasa niższa jednak nie może przeprowadzić się do dziel-



FOT. AGATA KUBIS/KINO ŚWIAT



nic drogich, imigranci stanowią też dla niej często konkurencję na rynku pracy. Jednak wobec lęków rodzimej underclass liberalno-lewicowi intelektualiści nie znajdują żadnej empatii – nic dziwnego, że zagospodarowuje je coraz bardziej nacjonalistyczna i ksenofobiczna prawica.

Podobne wątki znajduję w ciekawej i współbrzmiejącej z filmem Holland książce Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce”, składającej się z serii wywiadów z ludźmi pomagającymi uchodźcom. Rozmówcy Grynberga – najczęściej z dużego miasta, obcy na Podlasiu, wcześniej głupio idealizujący „wieś spokojną” – nie mają dla klas niższych z własnego społeczeństwa żadnej empatii. Opowiadają o swoich sąsiadach z nieskrywanym obrzydzeniem, posuwając się do tego, że nie chcą już kupować na targu lokalnych produktów, bo jakże kupować coś od domniemanego rasisty. Całkowicie nieestosowne holocaustowe porównania pojawiają się kilkakrotnie i nie zostają, jak widać, usunięte przez autora książki w redakcji, co samo w sobie wydaje mi się przedziwną nieostrożnością.

Czy okazując komuś pogardę i nazywając go rasistą, walczymy z uprzedzeniami? Czy ktoś nazwany rasistą postanowi się ze swoimi uprzedzeniami zmierzyć, przekroczyć je, czy raczej się w nich utwierdzi? Czemu więc retoryka, jakiej używają Grynberg i niektórzy z jego rozmówców, może służyć, poza li tylko wzmacnianiem ich własnego poczucia moralnej doskonałości? Problem nie polega przecież tylko na tym, że okażemy komuś pogardę, a jemu czy jej będzie przykro. Problem polega na tym, że nie podejmując z klasą ludową autentycznej rozmowy o imigracji – a ta, przypominajmy, dotknie klasę ludową o wiele bardziej niż klasy średnią i wyższą – w której autentycznie zostałyby jej udzielony głos, w której lęki i obawy klasy ludowej zostałyby zaadresowane, liberalna elita sprawia, że klasa ludowa zwraca się ku tym, którzy jej lęki i obawy cynicznie adresują, wzmacniają, utwierdzają w uprzedzeniach. Dowodem na to są utrzymujące się wysoko wyniki sondażowe PiS i Konfederacji w Polsce, AfD w Niemczech czy Marine Le Pen

we Francji. Im więcej „taniej siły roboczej”, tym głosów będzie więcej. Co wtedy?

Bardzo szybko i łatwo szafują rozmówcy Grynberga i sam autor oskarżeniami o rasizm, żeby już nie drażyć kwestii porównań holocaustowych. Są często oburzeni, że obywatele Polski przyjęli kilka milionów Ukraińców pod swoje dachy, a nie wszyscy pomagają imigrantom przekraczającym granicę z Białorusią tak jak oni. Dlaczego? Bo Polacy to rasiści.

Rasista – liberalno-lewicowa inteligencja używa tego pojęcia jak wytrychu oraz w większości kseruje kalki lewicowego myślenia zza oceanu. Mówienie o rasizmie w USA, gdzie ów był systemowy, trwał przez stulecia i do dziś społeczeństwo mierzy się z jego konsekwencjami, bez wątpienia ma sens – czy jednak to samo pojęcie może mieć ten sam sens w Polsce? Systemowym rasizmem w Polsce był rasizm klasowy skierowany wobec chłopstwa i to konsekwencje tego klasowego rasizmu kształtują do dziś strukturę społeczną w Polsce, nie zaś uprzedzenia oparte na kolorze skóry.

Czy takie uprzedzenia w Polsce występują? Oczywiście, że tak, rządząca prawica stara się je wzmacniać, również kserując dyskurs z USA, tyle że prawicowy, skąd jednak rozmówcy Grynberga i sam autor czerpią pewność, że to właśnie konsekwencją rasizmu jest niechęć do pomocy imigrantom przechodzącym przez granicę z Białorusią?

A czy liberalne elity mają jakiś pomysł na to, co zrobić z tym, że również ci, których określają jako „rasistów”, mają prawo głosować? Czy może powinny po prostu, jak rząd w znanym wierszu Bertolta Brechta, zawiedzione postawą współobywateli rozwiązać sobie naród i wybrać inny?

Chciałbym więc poznać plan, jaki przedstawiciele tej formacji intelektualnej mają na przyszłość. Przyszłość bowiem będzie fundamentalnie inna od teraźniejszości. Pisz o tym Stephen Smith w książce „Scramble for Europe”. Biorąc pod uwagę dynamikę przyrostu naturalnego Afryki Subsaharyjskiej, prze-

To dzięki imigrantom nauczyciele akademicy, działacze kultury, aktywiści mogą żyć w sposób, do którego ze względu na posiadany kapitał kulturowy aspirują, korzystając z tanich przejazdów Uberem, tanich dostaw jedzenia i wszystkich tanich prac, które, gdyby świadczone były przez miejscowy proletariatus, kosztowałyby musiałyby o wiele więcej

żywającej największą prawdopodobnie w dziejach ludzkości eksplozję demograficzną, i gwałtowne starzenie się Europy, prognozuje, że w ciągu najbliższych 30 lat do Europy trafi 150 mln młodych Afrykanów – z pożytkiem dla Europy i stratą dla Afryki. To, z czym mamy do czynienia dziś, jest tylko skromną prefiguracją tego, z czym przyjdzie się Afryce i Europie zmierzyć. Smith stawia też sprawę jasno – i scenariusz szczelnie zamkniętej murami z euro i drutów kolczastych „Festung Europa”, i scenariusz niekontrolowanych, otwartych granic są niemożliwe do zrealizowania. Afryka i Europa będą musiały w kwestii kontroli migracji współpracować, zaś europejskie elity będą musiały znaleźć sposób porozumienia z klasami niższymi, dla których imigracja jest zagrożeniem.

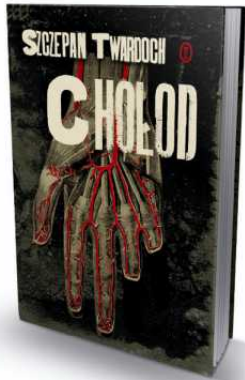
Kilkudziesięciu procent społeczeństwa nie da się tak po prostu scancelować rzuceniem hasła „rasizm” i uznać, że sprawa jest załatwiona. Wiersz Brechta ma sens właśnie dlatego, że nie da się wybrać sobie lepszego społeczeństwa. Obawiający się konsekwencji imigracji ludzie ciągle mogą głosować i jeżeli elity nie znajdą sposobu na rozmowę z nimi, to zostaną zmiecione przy urnie wyborczej i władzę w Europie przejmą formacje ultranacjonalistyczne, które spróbują realizować scenariusz „Festung Europa”, Europy o szczelnie zamkniętych granicach. Który jednak się nie powiedzie, bo powieść się nie może. Po pierwsze dlatego, że Europa potrzebuje imigrantów, bez których system welfare state będzie nie do utrzymania, nie może jednak przyjąć ich zbyt wielu, bo wtedy welfare state również nie będzie. A po drugie, 130 mln zdesperowanych ludzi zatrzymać się nie da.

Nie wydarzy się jednak również scenariusz przyjmowania wszystkich. Gdyby zaś – w co wątpię – próbowano zrealizować go, uciekając się do mechanizmów pozademokratycznych, to można się spodziewać niepokojów społecznych i wybuchu przemocy prowadzących do przewrotów politycznych.

Jak jednak rozmawiać o imigracji z perspektywy książki Grynberga, gdzie z jednej strony mamy ludzi szlachetnych i moralnych, ratujących – słusznie – bliźnich przed śmiercią z wychłodzenia, a z drugiej rasistów, od których porządny człowiek nie powinien nawet kupić miodu? Taka postawa rozmowę uniemożliwia. Empatia, którą bohaterowie książki Grynberga czują i okazują wobec przekraczających nielegalnie granicę imigrantów, powinna obejmować również ich współobywateli, którzy mają prawo się tej imigracji obawiać.

Granice empatii Agnieszki Holland i Mikołaja Grynberga okazują się jednak na to zbyt wąskie. ●

„Chłód”, najnowsza powieść Szczepana Twardocha – podróż przez Jakucję i Kołymę, osnuta wokół wspomnień niejakiego Konrada Widucha – śląskiego komunisty, męża, ojca, żołnierza, ofiary stalinowskich czystek oraz innych ekscesów Historii – w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



WE WTOREK W „WYBORCZEJ”

PISOWSKA LISTA PŁAC

⋮


członek rady nadzorczej PKS Częstochowa **4000 zł**


przewodnicząca rady nadzorczej KGHM ZANAM **5700 zł**


doradczyni wojewody **6013 zł**


wicedyrektor programu satelitarnego TVP Polonia **7859 zł**


wicestarosta kutnowski **8489 zł**


szefowa KRUS w Łęcznej **11290 zł**


Prezes Uzdrowiska Szczawno – Jedlina **23600 zł**


dyrektor wojewódzkiej Dyrekcji Lasów Państwowych **30000 zł**


Prezes zarządu Portu Lotniczego Jasionka **35300 zł**


Prezes Krajowego Rejestru Sądowego **50430 zł**


Prezes spółki Apollo Film **74000 zł**


Dyrektor w grupie PZU **127000 zł**


Prezes Orlenu **201356 zł**


wiceprezes Banku Pekao **215000 zł**

⋮

SPRAWDŹ,
kto i ile zarabia dzięki władzy

 **GAZETA
wyborcza**

FOT. WIKIPEDIA



• Théodore Géricault
„Tratwa Meduzy”, 1818–1819 rok

TU LEŻY DZIECKO ZABITE ZE STRACHU

Latem 2021 r. Aleksander Łukaszenka wyprawił na Polskę, według słów szefa policji gen. Jarosława Szymczyka, zgrupowania doświadczonych w walkach chuliganów i bandytów, które – dodawał jego rzecznik – poprzedzały oddziały kobiet i dzieci. Białoruskie służby miały ich ćwiczyć w rzucaniu kamieniami z procy. Policja nie zdawała sobie sprawy, że przybyszów z Bliskiego Wschodu nie trzeba uczyć posługiwania się procą. Już Dawid pokonał w ten sposób olbrzyma Goliata. Gorzej, że służby graniczne nie miały podstawowej wiedzy socjologicznej na temat zachowania zdesperowanych grup ludzkich, a rząd nie podjął próby politycznego rozwiązania konfliktu.

Komunikaty z pogranicza polsko-białoruskiego – póki nierzadko obrzydliwej hucpy propagandowej rządu nie przyćmiła „operacja specjalna” Moskwy – przypominały raporty z frontu. Podstępny i agresywny wróg atakuje. Ofiarni polscy funkcjonariusze dzielnie go odpierają. Jako formę walki wybierają przepychanie przez granicę. Wielu uchodźców przepędza się po kilka razy. Gdy migranci, wśród których dominują jak prawie zawsze i wszędzie młodzi mężczyźni, próbują przebić się przez granicę, służby odpowiadają użyciem armatek wodnych i zapowiedzią wykorzystania transporterów opancerzonych. Co miałyby to w praktyce znaczyć, nie wyjaśniono; użycie wozów pancernych do walki z tłumem kończy się najczęściej masakrą. Na konferencjach prasowych słyszymy o pokaleczonych pogranicznikach, ani słowa o cierpieniach drugiej strony: głodzie, przemarznięciu, gangrenie, połamanych kończynach i kręgosłupach, nieopatrzonych ranach, wreszcie o kilkudziesięciu ofiarach śmiertelnych, także wśród dzieci.

Nasz bogaty kontynent przyciąga materialnie, lecz nie wchłania duchowo.

Jan M. Piskorski*

Co do tego, kto wywołał ten konflikt, nie ma cienia niepewności. Jednak mimo upływu dwóch lat i wzniesionych tymczasem płotów i zasieków mnożą się wątpliwości względem decyzji podjętych wówczas przez rząd. Jak wskazują meldunki zza Odry, migracji nie zatrzymano, choć trzeba przyznać, że ograniczono jej strumień. Pytanie, czy nie nadmiernym kosztem. Mury, które od lat dzieli polskie społeczeństwo, wyrosły jeszcze wyżej. Do reszty zagubiła się nasza solidarność sumień. Zdaniem księdza Tischnera wyrasta ona z naturalnego, w znaczeniu ponadsystemowego, zmysłu etycznego, który nakazuje udzielić pomocy człowiekowi zranionemu przez drugiego człowieka. Nic gorszego, konstatował w X w. pisarz irańsko-islamski Al-Hamadani, niż odmówić schronienia uchodźcom, którzy uciekają przed złymi władcami, i nie nakarmić „piskląt” skazanych na głód i nędzę.

Wspólnota nie przetrwa wyłącznie jako korporacja nastawiona na obronę i poszukiwanie domniemyanych zbrojczych i zdrajców wewnętrznych i zewnętrznych.

Wspólnota narodowa tym bardziej potrzebuje krytyki, z której wyrasta więź. Jan Długosz w słynnym opisie bitwy grunwaldzkiej poddał ostrej naganę zachowanie polskiego rycerstwa i przed bitwą, gdy po drodze napadło ono na jedno z miast, dokonując rabunków i gwałtów, i zaraz po bitwie, kiedy zamiast zająć się rannymi, których jęk rozchodził się po całej okolicy, przystąpiono do biesiadowania. Wielu można było uratować, stwierdzał kronikarz ze smutkiem, gdyby pomoc w tę zimną lipcową noc przyszła szybciej.

Sprytnemu i niepozbanionemu inteligencji Łukaszence udało się wciągnąć Polskę, niczym dziecko, w bijatykę i zmusić jej służby do nieproporcjonalnego użycia siły. Mądrzej byłoby nie prężyć demonstracyjnie muskuły, lecz działać podskórnie, zwłaszcza że konflikt na granicy polsko-białoruskiej miał początkowo charakter przede wszystkim polityczny, a nie humanitarny. Szło o kilka tysięcy ludzi, tyle, co zmieścić się w jednym większym bloku. Wobec kryzysu demograficznego i braku rąk do pracy warto było umożliwić im złożenie wniosków o azyl, a rodziny z małymi dziećmi, które się najlepiej integrują, przekonać do pozostania w Polsce. Istniało rzecz jasna ryzyko, że strumień ludzki będzie przybierał, ale należało postawić sobie pytanie, czy Łukaszenca na tym zależy. Na wszelki wypadek można było wznieść tańsze i łatwiejsze do rozebrania zasieki, a niechby nawet płot w obecnym kształcie.

Zamiast pomyśleć nad rozwiązaniem, które brałoby pod uwagę i nasze możliwości, i podstawowe normy etyczne, rząd i służby zaperzyły się. Zaczynijmy od języka. Przez kanał La Manche docie-

ra do Wielkiej Brytanii kilkadziesiąt tysięcy uchodźców rocznie, ale nikt poważny na Wyspach nie mówi o nich zbiorczo jako o bandytach. Przykład bardziej drastyczny – malarz włoski Lampedusa, gdzie w ciągu kilku ostatnich dni przybyło więcej imigrantów, niż było ich na granicy polsko-białoruskiej przez cały 2021 r. Żaden szanujący się polityk, w tym Giorgia Meloni, premierka zdawałoby się bliska naszemu Prawu i Sprawiedliwości, nie określa ich mianem bandytów. Nie tylko w języku polskim „bandyta” ma od drugiej wojny światowej specyficzne znaczenie; bywa, że prawdziwym bandytą jest ten, kto innych tak przezywa. Bandziorem można określić Łukaszenkę, który w walce o swoje cele sięgnął po niekonwencjonalne, niemniej znane i poniekąd uznane tymczasem sposoby nacisku. Tylko po co? W polityce emocje szkodzą zupełnie szczególnie, podobnie jak długi język.

Istotę demokracji stanowi większe otwarcie, dotyczy to również granic, których nie broni się bez potrzeby wszelkimi dostępnymi metodami. W niebezpieczeństwie stawia się w każdym razie życie ludzkie nad prawem. Inaczej zrzucano by bomby na łodzie z uchodźcami. Edward Luttwak, amerykański strateg znany z myślenia kontrintuicyjnego, proponował zresztą niszczenie tych łodzi, tyle że u samych brzegów Afryki. W ostateczności lepsze to niż śmierć na otwartym morzu. Można i trzeba się zastanawiać nad europejskim prawem azylu, które, jak pisze niemiecko-irański orientalista Navid Kermani, jest w obecnym kształcie szaleństwem. Skrojonno je na zupełnie inne czasy – zimnej wojny białego człowieka, kiedy każdy uchodźca z wrogiego obozu stanowił błogosławieństwo Boże. Problem w tym, że Polska, obok Węgier, sprzeciwiła się wypracowanemu w pocie czoła porozumieniu dotyczącemu zaostrożenia europejskiego prawa azylowego, tłumacząc to błędnie koniecznością trwałej relokacji uchodźców, podczas gdy chodzi tu jedynie o obowiązek rozpatrzenia niewielkiej liczby wniosków azylowych przez suwerenne służby danego kraju. Wniosek odrzucony oznaczałby readmisję.

Polska w swoim położeniu geopolitycznym musi koniecznie szukać kompromisów i być otwarta na Zachód – stwierdzali wyjątkowo zgodnie Roman Dmowski i Józef Piłsudski w swych najlepszych latach. Rządząca nami prawica wzięła ich sobie na sztandary, ale na tym się skończyło. Nie szuka u nich pomysłu, jak wyjść z naszego zapóźnienia gospodarczego i społecznego, jedynego lekarstwa na masową emigrację zawiedzionych ojczyzną młodych Polaków, których – chciał nie chciał – trzeba będzie zastąpić imigrantami z Afryki i Azji. Szczególnie u młodego Dmowskiego znalazłaby tych propozycji wiele. Pociągają ją marsowe oblicze Piłsudskiego, które skrywa kompletną anachroniczność Marszałka, i coraz bardziej paranoiczny szowinizm Dmowskiego. Obu panów, mimo że wychodzili z przeciwnych stron, zbliżało z czasem coraz więcej: pogarda dla demokracji parlamentarnej, karykaturalna wręcz megalomania, brutalność w sferze nie tylko językowej, typowa dla autokratów obsesja zdrady, koniec końców krew na rękach.

Obok słów w świat poszły zawstydzające obrazy. Polska policja, po raz kolejny w ostatnim czasie, robi dokładnie to, co służby białoruskie po sfalszowanych wyborach na ulicach Mińska – bije. Czasami „swoich”, czasami „obcych”. Łukaszenka może się przez chwilę przedstawić światu wręcz jako patron uciśnionych. Przytuła przed kamerami niezależnych telewizji zapłakane dzieci, które przeganiają polscy pogranicznicy. Niby wszyscy wiedzą, że to wilk w owczej skórce, lecz obrazy lubią się odrywać od realiów. Na pograniczu polskie i międzynarodowe prawo zostaje zawieszono, zabroniono działania wolontariuszom, nawet lekarzom. Także dziennikarze nie

mają dostępu do granicy. Premier Morawiecki wygłasza nie pierwszą „złotą myśl”. Amerykanie przegrali w Wietnamie, bo nie zakazali wstępu dziennikarzom, co znaczy, że okrucieństwo jest tylko wtedy naganne, gdy się je upubliczni. Podobnie przekonywał oficerów SS Himmler w okupowanym Poznaniu jesienią 1943 r. Morawiecki nie zauważył ponadto, że Sowietci w Afganistanie wprowadzili cenzurę i też przegrali. Że okrojone wiadomości są zastępowane przez wyolbrzymiającą rzeczywistość plotkę, wiedział ponoć już Aleksander Wielki. Łukaszenka lepiej rozumie, jak działać w takich sytuacjach. Przede wszystkim nie uderzać w najsłabszych i odwiecznie chronionych – dzieci. Wywołuje to bowiem gorący sprzeciw opinii publicznej i trwale demoralizuje służby. Żaden dorosły pies, stwierdza Konrad Lorenz, nie ugryzie szczeniaka, u większości zwierząt samiec nigdy nie atakuje samicy. Dopiero zwierzęta trzymane w niewoli i odpowiednio tresowane stają się wobec nich agresywne.

Czy w polskich służbach nie odróżnia się zła od dobra? Informacje o potrzebie wsparcia psychologicznego dla pograniczników i ich rodzin, a może też próby samobójcze wśród żołnierzy, sugerują co innego: dezorientację, kulturę posłuszeństwa i strach przed przełożonymi, brak tradycji wewnętrzznego oporu żołnierzy i zwłaszcza oficerów wobec złych rozkazów. Po pierwsze, nie każdy rozkaz trzeba wykonać, po drugie, można go dopełnić na różne sposoby. W sytuacjach wątpliwych pisze się raporty do przełożonych, parlamentarzyśtów, rzecznika praw obywatelskich, wreszcie mediów. Dobry przykład dają oficerowie brytyjscy i francuscy w powojennej Afryce. To dzięki ich relacjom podpisanym imieniem i nazwiskiem ekscesy wojsk kolonialnych wpływały na wierzch. Informacje prasowe o nadużyciach „algerzkiego [czytaj: francuskiego w Algierii] gestapo” czy „kenijskiego [czytaj: brytyjskiego w Kenii] SS”, budziły opinię publiczną i pod jej naciskiem przywracano praworządność. Przeciwdziałanie jest ważne także dlatego, że przemoc w nas wrasta, im dłużej stosowana, tym bardziej. Policjanci i żołnierze wracają do swoich domów i jednostek i niejeden nie potrafi się już od niej uwolnić.

Dyskusje na temat zakresu obowiązującego rozkazu w wojsku i służbach policyjnych trwają co najmniej od XVII stulecia.

Może nie przypadkiem ostatni wielki polski dowódca, który sprzeciwił się wykonaniu haniebnego rozkazu, hetman Stanisław Żółkiewski, żył na przełomie wieków XVI i XVII, w czasach największej potęgi Rzeczypospolitej. Odmówił królowi przeprowadzenia pacyfikacji Moskwy i mimo to trafił do narodowego panteonu, podczas gdy Zygmunt III Waza nie cieszy się dobrą sławą.

Zadziwia również słaby głos polskiego Kościoła w czasie bezwzględnych akcji przeciw uchodźcom na polsko-białoruskim pograniczu. Zabrakło kapelanów, którzy rzuciliby swoje orderzy pod stopy tych, którzy łamali prawo i przelewali krew, jak uczynił po zamachu majowym 1926 r. legionista ksiądz Józef Panas.

Ta inercja dziwi tym bardziej, że rząd faktycznie wykorzystał służby. Pozostawił je same wobec problemu, który on powinien spróbować rozwiązać metodami dyplomatycznymi, zamiast szcuć młodych ludzi przeciw sobie.

Armia brytyjska rozdawała żołnierzom walczącym w Afganistanie tomiki z poezją talibów. Mieli wiedzieć, że po przeciwnej stronie stoją ludzie. Nasz rząd wybrał od razu metodę siłową, co spowodowało eskalację kryzysu. Nie da się upilnować granicy, gdy dochodzi do masowego exodusu. Szczelności nie zapewnią ani najwyższy mur, ani szeroka granica morska. Pominię w tym miejscu rozważania o nagminnym w takich sytuacjach handlu wizami – okazja czyni złodzieja, a w naturze władzy leży korupcja, wiedzieli dobrze już starożytni. Na granicy działają zawodowi szmugle-

rzy, ludzie dobrej woli pomagają uchodzić z pobudek humanitarnych lub dla nagrody w niebie, funkcjonariusze przemykają oko – z litości lub za łapówką. Jest smutną prawdą, że w praktyce służby wylapują najsłabszych i najmniej mobilnych: kobiety z dziećmi, starców, rodziny.

Niezdolność rządu do deeskalacji kryzysu na granicy z Białorusią spowodowała, że przeciągnął się on na zimę i na następne lata. Zima w warunkach pogranicza polsko-białoruskiego jest ciężka. Mamy wciąż w pamięci ówczesne obrazy i uda-

Łukaszenka przytuła przed kamerami niezależnych telewizji zapłakane dzieci, które przeganiają polscy pogranicznicy

wanie oficjalnych czynników, że nie dzieje się nic złego. Fakt, że nie utrwaliły się one w naszych głowach, zawdzięczamy agresji Putina na Ukrainę w lutym 2022 r. Ujmująca spontaniczność przyjęcia ukraińskich uchodźców wiązała się zapewne po części z wyrzutami sumienia. Syryjscy uchodźcy, których od lat odpychaliśmy, też uciekali przed wojną, czasami nawet przed tymi samymi jednostkami rosyjskimi grupy Wagnera. Przynajmniej podświadomie zdawaliśmy sobie sprawę, że jako zbiorowość zawiedliśmy. Czy można mieć pretensje do młodego żołnierza czy policjanta, skoro znaczna część społeczeństwa przymykała oko na ich dylematy na granicy? Społeczeństwo obywatelskie ma ogromną siłę sprawczą. Gdy wkrótce po zjednoczeniu zapłonęły domy azylantów w Niemczech Wschodnich, kanclerz Kohl miał powiedzieć, że rząd nie radzi sobie z sytuacją. Niejako w odpowiedzi na ulice niemieckich miast wyszły miliony, które w pokojowych marszach wskazały mu drogę. Przemoc została opanowana. Lojalność wobec naszych służb wymaga dosadności: nie one są chore, Polska jest chora.

Ściągając na granicę kilka tysięcy uchodźców, Łukaszenka nie spodziewał się, że rezultatem jego decyzji stanie się odgródzenie Białorusi płotami od europejskich sąsiadów. Pragnął najprawdopodobniej uznania przez nich rezultatów wyborów i tym samym nawiązania zerwanych kontaktów. Liczył też zapewne na przywrócenie mocno nadwątłonej równowagi pomiędzy sąsiadami zachodnimi a ciężącym mu panem na Kremlu, mimo że dopiero co pomógł mu przetrwać. Ponieważ prawda jest pierwszą ofiarą wojny, trzeba przypomnieć, że od czasu dojścia do władzy w 1994 r. Łukaszenka lawiruje między Rosją a Zachodem.

Pragmatyzm w połączeniu z dynamicznym ujmowaniem rzeczywistości stanowi fundament polityki.

Najlepiej, gdy wspomaga ją nauka, tyle że musi być rzetelna, przekonywał przed ponad wiekiem konserwatywny historyk krakowski Józef Szujski. Jego śladem szedł Jerzy Giedroyc, zalecając przed każdym kolejnym krokiem chłodną analizę bieżącej sytuacji, gdyż polityka nie lubi stałości. Nie znaczy to, że musimy co rusz zmieniać imponderabilia natury etycznej, społecznej i politycznej, stanowiące podstawę naszego poruszania się w świecie. Do pracy w drewnie i betonie używamy innych narzędzi, mimo że cel może być ten sam – chociażby zamocowanie haka na lampę. Również w rzemiośle politycznym należy dostosować narzędzia do zmieniających się okoliczności. Mówiąc konkretnie, póki na Białorusi trwały masowe protesty po sfalszowanych wyborach z sierpnia 2020 r., póty należało wysłać do Mińska sygnały, że Łukaszenka nie znajdzie międzynarodowego uznania. Odkąd udało mu się stłumić opór wewnętrzny i warunki zewnętrzne uległy diametralnej zmianie, trzeba było przystąpić do nowej gry. Błędem z punktu widzenia polskiej racji stanu jest wrzucanie Białorusi i Rosji do jednego worka. Powinno się raczej próbować skłonić Łukaszenkę do przerwania szlaku uchodźczego i jakiejś formy porozumienia z opozycją. Na pewno nie drogą sankcji, które wypychają go w ramiona Putina. Znakomitym przykładem może być lawirowanie Piłsudskiego między białymi i czerwonymi w Rosji po rewolucji. Ostatnich nie znośli, ale oferowali nieporównywalnie więcej, pozwolił im zatem pobić pierwszych. Gen. Roman Polko przestrzegając przed rokowaniami z terrorystami, zapomniał najwidoczniej o Piłsudskim, by przy nim pozostać. W kręgach dyplomatycznych Europy miano go w 1918 r. za lewaka, terrorystę i złodzieja. W sensie formalnym nie bez racji. A gdyby za rodzaj groźnej przemocy uznać szkoldnictwo moralne w postaci „podrywania podstaw ustroju państwowego przez ulegalizowane gwałty”, jak przekonywał jeszcze w 1908 r. Dmowski, sprawy się dodatkowo skomplikują i nabiorą niezwyklej aktualności.

Kroki podjęte przez białoruskiego autokratę w 2021 r. nie musiały odbywać się pod dyktando Moskwy, choć na pewno o nich wiedziała. Łukaszenka mógł czerpać inspiracje z europejskiej polityki wobec Turcji i Maroka, którym Unia Europejska słono płaci za powstrzymywanie migracji. Miał prawo zakładać, że przestraszona Unia zgodzi się na jego warunki. W podobnym kierunku zmierzają dziś wysiłki europejskiej polityki wobec Tunezji i Libii, rządzonych przez dyktatora względnie lokalnych watażków, którzy w zależności od potrzeb przykręcają i odkręcają kurki z migrantami. Z podobnymi wypadkami będziemy mieli do czynienia coraz częściej.

Wynika to z przemian demograficznych w świecie, gdzie biedniejsze Południe dysponuje nadwyżką ludności, na dodatek młodej, a bogatsza i stosunkowo starsza Północ cierpi na jej brak. Dysproporcja jest gigantyczna i jeśli chcemy uniknąć zbrojnych migrantów, musi dojść do częściowego przynajmniej wyrównania tych zbiorników, najlepiej w sposób w miarę kontrolowany. Wędrówce ludzi na Północ, chciałyby się rzec: odwiecznej, powinien teraz towarzyszyć przepływ kapitału na Południe. Głodny się nie patyczkuje, syci nie przebiegają w metodach obrony.

Ważna w tym kontekście jest też zmiana podejścia do migrantów, od jakiej doszło w XX w. Jeszcze przed dwustu laty cieszono się na każdego gościa z zewnątrz, oczywiście z własnego kręgu kulturowego, bo z innych przybywali tylko niewolnicy. W myśl teorii merkantylistycznej imigrant przynosił krajowi pożytek, zwalczano więc nielegalną emigrację. Dopiero zdominowanie Europy przez ideologię egoizmu narodowego, traktowanego jako nowoczesna forma nacjonalizmu, przyniosło skojarzenie interesu państwa z dobrobytem narodu wiodącego w nim prym. W Europie Zachodniej przejście to dokonało się w wieku

XIX, w Polsce usiłowała je zaszczyć ende-
cja między wojnami.

Pogniewana z całą Europą i anachro-
niczna współczesna polska prawica nie po-
trafiła prawidłowo zinterpretować nad-
ciągającego kryzysu ani przekonać Unii
do próby zastosowania odmiennych środ-
ków. Wybrała machanie szabelką i uwła-
czające mądrości obywatelskiej wezwania
do narodowej jedności. Jak gdyby „do siło-
wego forsowania polskiej granicy” przystą-
piła armia białoruska wsparta przez rosyj-
ską. Tymczasem realnym „przeciwnikiem”
było kilka tysięcy ludzi zagnanych w ko-
zi róg. Za każdą ofiarę wśród nich odpo-
wiedzialność będzie ponosić Polska. Praw-
da, obok Białorusi, ale chcielibyśmy prze-
cież czymś się od niej różnić. Nie unieważ-
nia to także nadużyć polskich rozkazodaw-
ców i wykonawców, którzy – jak pokazu-
je obecna praktyka włoska i duńska – mogą
zostać postawieni przed sądem. Co więcej,
kraje demokratyczne znajdują się na dro-
dze do generalnej zmiany podejścia do ka-
rania polityków.

Władza musi wiedzieć, że działa w ra-
mach prawa, a za jego łamanie odpowie
przed trybunałami, nie tylko Boga i hi-
storii. W naszych ześwieczonych społe-
czeństwach groźba piekła mało kogo prze-
straszy.

Francja zdaje się wytyczać nowe dro-
gi w tej dziedzinie. Po wyroku dwóch lat
w zawieszeniu dla ciężko chorego prezy-
denta Jacques’a Chiraca przyszedł wyrok
długiego ograniczenia wolności dla pre-
zydenta Nicolasa Sarkozy’ego. Skazano
ich i ich współpracowników za przestęp-
stwa sprzed wielu lat dotyczące defrauda-
cji środków publicznych, korupcji i han-
dlu wpływami. Gdyby przyjąć podobne
kryteria, przed sąd musiałaby trafić spora
część polskiej klasy politycznej ostatnich
dwóch kadencji.

Bertrand Russell, autorytet wśród
uczonych brytyjskich XX w., obser-
wując przymusowe przesiedlenia
zaraz po wojnie, pytał aliantów w liście do
dziennika „The Times” z 23 października
1945 r. o różnice pomiędzy zagazowywa-
niem Żydów a wyrzucaniem z domów
kobiet i dzieci, które umierały następnie
z niedożywienia. Można by mieć pretensje
do filozofa, że pominął w tym kontekście
sprawę intencji. Tyle że on nie oskarżał,
zwracał uwagę na dramatyczną sytuację
niemieckich wygnańców w brytyjskiej
strefie okupacyjnej i wzywał rodaków do
podzielenia się z nimi skromnymi racja-
mi żywnościowymi.

Protest Russella nie odzwierciedlał opi-
nii szerszych kręgów społeczeństwa bry-
tyjskiego zajętego lizaniem własnych ran
i zobojętniałego na los Niemców. A jednak
wolno, idąc nie tylko jego śladem, zapy-
tać, czym różni się zabijanie od przepycha-
nia przez granicę z podobnym skutkiem.
Czy nie o to właśnie pyta nas, Polaków i Eu-
ropejczyków, Agnieszka Holland w „Zielo-
nej granicy”? Film wszedł na ekrany w to-
warzystwie skandalicznego zgielku ze stro-
ny bezpośrednio zainteresowanych – rządu
i służb pragnących pozostać poza kontrolą.
Ustami ministrów i prezesa rządzącej par-
tii oskarża się reżyserkę o nazistowską pro-
pagandę, chcąc najwyraźniej zakrzyczeć
prawdę – to ich haniebna nagonka ma tota-
litarny charakter.

Uczymy się w szkole odpowiadać na py-
tanie Norwida: „Czy ten ptak kała gniazdo,
co je kała, / Czy ten, co mówić o tym nie po-
zwala?”. Co więcej, to obywatel jest do kry-
tyki, a ministrowie do słuchania.

Jesteśmy winni lojalność pogranicz-
nikom, którzy nie znaleźli się na grani-
cy z Białorusią z własnej i nieprzymuszo-
nej woli. W żadnym razie nie wolno jednak
odbierać głosu pokrzywdzonym, to pod-
stawowa zasada każdego procesu. Russell
i Holland są niewygodni, bo nie pozwalają
nam się odprężyć w ciepłych domach.
Tym bardziej są niezbędni, gdy oskarży-
ciele traktują sprawy uchodźców i twór-
ców instrumentalnie, jak jednoznacznie

wynika z „teki Dworczyka”. Obywatele da-
ją państwu, i tylko jemu, pozwolenie na ofi-
cjalne używanie przemocy w wierze, że
będzie ono korzystało z niej roztropnie,
w granicach prawa i elementarnej moral-
ności. Zdaje się, że w tym wypadku zosta-
ły przekroczone wszystkie trzy progi. Naj-
wyższa pora zacząć o tym dyskutować. Nie
jestem pewien, czy znajdziemy rozsądną
i bezbolesną strategię migracyjną dla Eu-
ropy i świata, migracje to jeden z proble-
mów odwiecznych i nieodmiennie związa-
nych z napięciami. Brak mi też przekona-
nia do popularnego dziś spostrzeżenia, że
imigranci są zasadniczą przyczyną kryzy-
su zachodniej demokracji. Jest nią raczej
nierówność społeczna i postępujący wraz
z modernizacją indywidualizm, dla któ-
rego nie znajdujemy przeciwwagi. W wy-
padku odartej z mitu i złaicyzowanej Eu-
ropy jest to ponadto sprawa kulejącej toż-
samości.

Nasz bogaty kontynent przyciąga ma-
terialnie, lecz nie wchłania duchowo, brak
mu solidarności sumień, aczkolwiek wo-
bec napaści na Ukrainę zaskakuje jedno-
ścią.

„Tu leży dziecko zabite ze strachu /
Przez Greków” – wołał ustami zrozpaczo-
nej kobiety Eurypides w „Trojankach”,
pierwszym europejskim dramacie uchodź-
czym. Gdy państwo niszczy niewinne ży-
cie, wypowiada wojnę światu, także tym
wszystkim, którzy, choć zawstydzeni, wy-
konują niezrozumiałe i dla nich rozka-
zy. Podczas gdy przerażona ziemia „go-
reje w ogniu, / Wybrzeża morskie / jęczą
jak ptak, co krzyczy nad pisklętami”, dziel-
na kobieta rzuca nam, już nie starożytnym
Hellenom, prosto w twarz: „Szpetny to na-
pis dla Polski”. ●



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Prof. Jan M. Piskorski

● historyk w Uniwersytecie Szczecińskim.
Wydał m.in.: „Wygnańcy. Przesiedlenia
i uchodźcy w dwudziestowiecznej Europie”
(PIW 2010), „Gorzka sól historii. Migracje
i transformacje” (Bellona 2021). W druku
znajdują się „Bitwy o przeszłość. Nauka, poli-
tyka, media, edukacja” (Universitas).

Lojalność
wobec naszych
służb wymaga
dosadności:
nie one są
chore,
Polska jest
chora

Awaria

**Internauci szybko dostrzegli
w sprawie z benzyną analogię
do PRL-u i przerobili zdjęcia
pustego sklepu mięsnego z lat
80., dodając dialog: „Jest mię-
so?”, „Jest, ale mamy awarię
pólek”.**

Michał Rusinek



Wyraz „awaria”
przyplynał do nas
z krajów arabskich
statkiem — nie
wiadomo tylko, czy włoskim, czy
francuskim — w drugiej połowie
XIX wieku. Innymi słowy, do
języka polskiego wszedł z języka
marynarzy. Z początku oznaczał
uszkodzenie statku lub towaru
przewożonego statkiem, a źród-
łosłowem francuskiego „avarie”
i włoskiego „avaria” jest arabskie
słowo „awar”, oznaczające wadę
lub szkodę. W liczbie mnogiej
brzmi ono „awarija” i oznacza
uszkodzone towary. W domyśle:
uszkodzone na skutek nieszczęśli-
wego wypadku na morzu.

Woda to przecież żywioł, sztorm
trudno przewidzieć; towary by-
ły zabezpieczone, ale — zrządze-
niem losu — zostały uszkodzone
w transporcie, czyli uległy awarii.
Nie można nikogo winić za awa-
rię. Można tylko wzruszyć ramio-
nami. Pech. Wola nieba. Jak kto
chce. Słowniki definiują dziś awa-
rię jako „zepsucie się maszyny
lub innego urządzenia technicz-
nego”; zepsucie „się”, a nie zepsu-
cie „przez kogoś”, a więc niejako
samoczynnie, bez udziału osób
trzecich.

Nie ma się co dziwić, że słowo
„awaria” było szczególnie popu-
larne w PRL-u. Awarii co i rusz
ulegały różne elementy peerelow-
skiego systemu, a kartka z napi-
sem „awaria” nie tylko była infor-
macją, że coś nie działa, ale też
znakiem, że za to niedziałanie nie
można nikogo pociągnąć do od-
powiedzialności. Nazwanie jakiej-
kolwiek usterki, uszkodzenia czy
wady „awarią” zamykało jakąkol-
wiek potencjalną dyskusję o wi-
nie. Jeśli planowano na przykład
wyłączenia prądu, ale nie chcia-
no brać za nie odpowiedzialno-
ści, tłumaczyć się z decyzji o nich
i przy okazji wywołać tą decyzją
protestów społecznych, nazywa-
no te wyłączenia „awariami” —
i to magiczne słowo miało spowo-
dować, by nikt nie miał o to do ni-
kogo pretensji. To nie „oni” wy-
łączyli, to samo się wyłączyło. Bo
awarii nie można przecież wy-
wołać. Awarii może coś co naj-
wyżej ulec. Awaria nie zna pod-
miotu, ma tylko swój przedmiot.
A przedmioty bywają przecież
awaryjne.

„Awaria dystrybutora”, „awaria
pompy” — czytamy teraz na wie-
lu stacjach benzynowych Orle-

nu w różnych miejscach Polski.
Oczywiście dystrybutory to urzą-
dzenia mechaniczne, jak każde
urządzenie mogą więc one ulec
samoczynnej awarii, ale pech
chciał, że przy okazji wyciekł (no-
men omen) mail od dyrekcji fir-
my do pracowników stacji. Zale-
ca się w nim, by w razie proble-
mów z dostępnością paliwa wy-
wieszali oni komunikaty o „awa-
riach” dystrybutorów: „Nie nale-
ży używać czerwonych naklejek
z informacją »chwilowy brak pa-
liwa« [...]”. Kategorycznie zakaza-
ne jest eksponowanie jakichkol-
wiek komunikatów z informacją,
że stacja jest nieczynna”. Wszyst-
ko wskazuje na to, że podjęto bo-
wiem decyzję o charakterze po-
litycznym: obniżono cenę paliwa
przed wyborami parlamentarnymi.
Wyższe ceny powrócą zapew-
ne po 15 października, kierowcy
tankują więc na zapas, a że ben-
zyna jest tańsza niż w innych pań-
stwach w regionie (Arabia Sau-
dyjska wprowadziła ograniczenia
wydobycia, Rosja — ogranicze-
nia w eksporcie, cena ropy naft-
owej na świecie wzrosła), tan-
kują ją więc także kierowcy z są-
siednich państw. W efekcie zaczy-
na jej brakować, także dla trans-
portu krytycznego, czyli na przy-
kład karetok pogotowia. Robi się
groźnie. Winę za tę sytuację po-
nosi dyrekcja koncernu, była to
przecież jej nieprzemyślana decy-
zja. Przy okazji uświadomiła nam
owa dyrekcja, że znów żyjemy
w państwie, które nie przyzna-
je się do winy, zamiast więc infor-
macji o chwilowym braku paliwa
(za który ktoś ponieść powinien
odpowiedzialność), na stacjach
benzynowych pojawiają się kart-
ki z napisem „awaria”. Pech. Wola
nieba. Jak kto woli.

Tak to bywa, kiedy chce się ręcz-
nie regulować coś, co powinien
regulować rynek. W sieci poja-
wiają się teraz kolejne zdjęcia
„awarii” oraz kolejne memy: in-
ternauci szybko dostrzegli analo-
gię do PRL-u i przerobili na przy-
kład zdjęcie Chrisa Niedenthala
przedstawiające wnętrze puste-
go sklepu mięsnego z lat 80., do-
dając dialog: „Jest mięso?”, „Jest,
ale mamy awarię pólek”. Politycy
PiS-u zachowują się różnie. Jacek
Osuch, wiceminister sportu, zo-
stał przyłapany na tankowaniu do
kanistrów, natomiast Bożena Bo-
rysz-Szopa próbowała ratować sy-
tuację, fotografując się na tle rze-
komo czynnego dystrybutora i pi-
sząc: „Nie wierzcie w fake news-
y!!!!” (pisownia oryginalna), oraz
zapewniając, że na stacjach Orle-
nu jest nie tylko paliwo, ale też cu-
kier do kawy. Ktoś jednak pręd-
ko zauważył, że zasłania ona sobą
dystrybutor i że ktoś przed nią za-
tankował 49l litrów paliwa. Czyli
albo tankował do czołgu, albo do
bardzo wielu kanistrów. Aż strach
spytać, ile wyspał cukru do kawy.

„Spokojnie, to tylko awaria” —
brzmiał brawurowy przekład ty-
tułu amerykańskiej komedii „Air-
plane II: The Sequel” Kena Finkle-
mana z 1982 roku. Rzeczywiście,
cała historia brzmi jak sequel PR-
L-u. Warto też przypomnieć, że
polski tytuł pierwszego filmu serii
(„Airplane!”, 1980) został równie
brawurowo przełożony jako „Czy
leci z nami pilot?”. I to jest pyta-
nie, które zadajemy sobie już od
ośmiu lat. ●

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



OBAJTEK DYZMĄ

Po powołaniu prezesa Orlenu na kolejną kadencję pora zmienić podręczniki i komentarze do prawa handlowego.

**Aleksander Kappes*,
Michał Romanowski**,
Tomasz Siemiątkowski*****

Wiosną Daniel Obajtek został powołany na prezesa zarządu Orlenu SA na nową kadencję. Powołanie nastąpiło formalnie zgodnie ze statutem Orlenu. W razie potrzeby nadworni prawnicy napiszą kategoryczne opinie prawne o jego prawidłowości, a prof. Andrzej Szumański (współtwórca Kodeksu spółek handlowych) i niezależny („inaczej”) członek Rady Nadzorczej Orlenu doda, że powołanie to stanowi wzorzec, jak powinno działać corporate governance w praktyce.

Następnie wielu prawników biznesu przytaknie. Wszak wskazywali i nadal wskazują, jak wzorcowo były prowadzone prace nad nowelizacją Kodeksu spółek handlowych, której twarzami byli m.in. prof. Szumański, mecenas Radosław Leszek Kwaśnicki oraz prof. Mirosław Pawelczyk.

Daniel Obajtek odkrył kuchnię corporate governance w Orlenie. W wywiadzie dla Onet.pl zdobywa się na szczerość. Przytoczmy fragment:

Dziennikarz: – Lubi pan powtarzać, że nie jest menedżerem z rynku, tylko menedżerem z nadania PiS.

Obajtek: – Bo to prawda. Niczego nie udaję. Nie będę hipokrytą, jak wielu moich poprzedników na tym stanowisku.

Na pytanie, czy prezes PiS zaproponował mu posadę prezesa Orlenu:

– Mogę potwierdzić, że to była polityczna propozycja.

Zatem Roma locuta, causa finita. Na tym powinniśmy zakończyć naszą refleksję nad powołaniem Obajtka na prezesa zarządu Orlenu, nad jego radą nadzorczą oraz nad doradcami prawnymi Orlenu, jak prof. Mataczyński (znany z przejęcia przez Orlen Lotosu, projektowania zmian legislacyjnych umożliwiających przejęcie spółkontroli nad Rafinerią Gdańską przez Saudi Aramco bez udziału rządu RP i służb specjalnych przewidzianego w ustawie o kontroli niektórych inwestycji, ze sprzecznego z prawdą publicznego podawania się za współautora pierwotnej, zabezpieczającej polskie interesy ustawy o kontroli niektórych inwestycji, a wreszcie HR-owiec Orlenu według maili ujawnionych przez portal Poufna Rozmowa), jak mec. Radosław Leszek Kwaśnicki (uzasadniający na antenie TVP, że słynne „lex Koryto” gwarantujące m.in. Obajtкови funkcję prezesa Orlenu do 2027 r. jest dla dobra przyszłych pokoleń) czy wreszcie jak prof. Andrzej Szumański, strażnik corporate governance w wydaniu Daniela Obajtka i Jacka Sasina.

Jako profesorowie prawa handlowego z przerażeniem obserwowaliśmy, jak wywiad Obajtka przeszedł bez większego echa. Wielu pewnie uśmiechnie się z wyższością, mówiąc między sobą, że ci profesorowie są oderwani od rzeczywistości, naiwni lub udają naiwnych. Jesteśmy jednak nie tylko profesorami uniwersyteckimi (choć to wystarczy), ale praktykującymi od dawna adwokatami, którzy od lat 90. starali się wpływać na kształtowanie prawdziwego corporate governance w Polsce. Mammy obowiązek i przywilej przestrzegać przed tego rodzaju „brakiem” hipokryzji,

jak w ujęciu Obajtka, naszych studentów, uczestników konferencji naukowych oraz prac legislacyjnych.

Aprobata części środowiska prawniczego biznesu pod hasłem pragmatyzmu, a de facto relatywizmu uzasadnianego sloganem „biznes nie miesza się do polityki”, jest w istocie przyczynieniem się do akceptacji patologii korporacyjnej. Skoro mamy cenić Obajtka za to, że nie jest hipokrytą, ponieważ oświadczył na łamach opiniotwórczego portalu, że nie jest menedżerem z rynku, ale „menedżerem” z PiS, czas zmienić podręczniki i komentarze do prawa handlowego. Czas zacząć uczyć studentów i aplikantów „prawdziwego” życia – o tym, że prawo spółek nie jest prawem, ale neoprawem. Podręczniki akademickie i komentarze nie mogą być dwulicowe, obłudne, więc może powinniśmy uczyć, że Obajtek – w przeciwieństwie do poprzedników – nie jest fałszywy, dwulicowy ani obłudny. Mówi, jak jest naprawdę, prosto z mostu. Tak wiele kancelarii biznesu zabiega, aby z nim pracować. Zapewne dlatego, że nie jest hipokrytą, że jest szczerzy i pragmatyczny.

A poważnie: Orlen pod wodzą Obajtka, Sasina i ich prawników jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, czego nauczamy od ponad 25 lat.

Przypomnijmy rozwój kariery Obajtka. Jako wójt Pcimia narusza ustawę z 1997 r. o ograniczeniu prowadzenia działalności gospodarczej przez osoby pełniące funkcje publiczne, zarządzając z tylnego siedzenia spółką handlową. Odbywa rozmowy telefoniczne, używając nieprawdopodobnej liczby wulgaryzmów, co normalnie dla prezesa zarządu wielkiej spółki giełdowej byłoby powodem rezygnacji. Zaczyna umiejętnie pozycjonować się w PiS, zostaje dostrzeżony przez samego prezesa. Przytrafia się problem – oskarżenie o korupcję urzędniczą (w Pcimiu) i inne zarzuty karne. Ale sprawa zostaje „szczęśliwie” umorzona. Już po dojściu do władzy matki partii zostaje

zmieniony Kodeks postępowania karnego, który pozwala prokuratorowi wycofać akt oskarżenia na każdym etapie postępowania karnego. Złośliwi twierdzą, że zmianę uchwalono „pod Obajtka”.

Kariera nabiera rozpędu. Kierownictwo Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, następnie Energi SA i dochodzimy już do funkcji prezesa zarządu Orlenu – wielkiej spółki publicznej, w której skarb państwa ma wówczas nie więcej niż 28 proc. akcji, ale statut i odpowiednie porozumienia czynią go de facto akcjonariuszem większościowym.

Obajtek trafia do ekstraklasy państwowego biznesu. Brakuje mu wykształcenia, zadowala się zrobionym naprędce skromnym magisterium w Radomiu i MBA. O znacznej liczbie tytułów, nagród, innych funkcji nie warto wspominać. Wszystkie zostały uzyskane, poczynawszy od 2016 r. Zbieżność czasowa ze zmianą władzy w Polsce zupełnie przypadkowa.

Jeden z nas porównał Obajtka w styczniu 2020 r. do Nikodema Dyzmy. Porównanie okazało się nietrafne. Ów jeden z nas przyznaje dzisiaj samokrytycznie, że nie docenił różnicy między Obajtkiem a Dyzmą. Dyzma robił karierę, udając, że jest kimś, kim nie był. Dyzma był swoistym hipokrytą, nie zaprzeczając, że jest kimś, za kogo go biorą. A Obajtek jest sobą. Nie udaje, że jest kimś innym. Jest taki, jaki był, zdaje się, zawsze. Wójt Pcimia, który zrobił oszalamiającą karierę nie dzięki kompetencjom (nie twierdzi, że ukończył ekonomię w Oxfordzie), ale dzięki politycznym nominacjom.

O bajtek realizuje jedynie słuszną linię partii. Orlen pożera wszystko, oczywiście „w interesie Polski”. W normalnym państwie gospodarki rynkowej państwo jako regulator gospodarki powstrzymuje powstawanie wielkich monopolów. Ale nie żyjemy w normalnym państwie. Orlen przejmuję Energę, Lotos, PGNiG. Po drodze przejął Polska Press.

Nie ma to nic wspólnego z biznesem. Przejęcia służą temu, aby osiągać efekty synergii, a nie by być największym i w każdej branży. Koncernami, które są zbyt duże i zajmują się wszystkim, nie da się efektywnie zarządzać. Orlen mami akcjonariuszy, budując oligarchiczną Kompanię Wschodnioindyjską za ich pieniądze, pozyskując ich przychylność dywidendą. Historia i ekonomiczna analiza prawa dowodzą, że zapłacą za to polska gospodarka i społeczeństwo. Na przykład w nadmiernej cenie gazu i benzyny – co już miało miejsce. Obecnie natomiast, podczas kampanii wyborczej, obserwujemy zaniżone ceny paliwa, co dowodzi, że Obajtek nie podejmuje decyzji jako menedżer spółki giełdowej, ale działa wyłącznie jako funkcjonariusz partyjny.

Komisja Europejska zgodziła się na przejęcie Lotosu przez Orlen. Ale konieczna była sprzedaż 30 proc. udziałów Rafinerii Gdańskiej. Orlen pozornie tylko nie ma wyjścia, bo sam zaproponował taką transakcję KE. Zatem 30 proc. sprzedaje Saudyjczykom za 1 mld 150 mln zł.

Obajtek twierdzi, że nie było innych chętnych (co nie jest prawdą, odmawiał negocjacji z innymi zainteresowanymi). Specjaliści od wycen mówią, że sprzedaż nastąpiła za bezcen. Saudi Aramco żąda przywilejów. Po transakcji jest niby-mniejszościowym współnikiem, ale może blokować aż 18 istotnych uchwał zgromadzenia wspólników. Bez jego zgody Orlen nie przeformuje żadnej istotnej decyzji. Dodatkowo, gdyby Saudi chciało sprzedać te udziały, np. za 10 mld zł Gazpromowi, to Orlen, by temu zapobiec, musiałby przedstawić nabywcę za co najmniej taką cenę.

Transakcja narusza (albo co najmniej obchodzi) ustawę o ochronie niektórych inwestycji z 2015 r. Profesorowie Mataczyński i Szumański twierdzili w Senacie, że COVID-19 szalejący w roku 2022 (sic!) wymusił w interesie Polski rezygnację z procedury (wprowadzonej pierwotnie do ustawy przez jednego z nas), zgodnie z którą tego typu przypadki miały być opiniowane przez 22 najważniejsze instytucje rządowe w Polsce, w tym cztery służby specjalne. W 2020 r. zmieniono ustawę, wprowadzając tryb covidowy, który wyłączał kontrolę rządu i służb specjalnych nad sprzedażą m.in. udziałów Rafinerii Gdańskiej, pozostawiając ją w kompetencji prezesa UOKiK. Oczywiście tylko przypadek sprawił, że nowelizację tę przygotował doradca prawny Orlenu prof. Maciej Mataczyński, zwolennik PiS (który wraz z partnerami swojej kancelarii SMM Legal wspierał z własnej kieszeni kampanie wyborcze tej partii).

Tryb covidowy bezprawnie zastosowano w drugiej połowie 2022 r., a tymczasem stan epidemii zniesiono 16 maja 2022. Bez względu na to, co mówią Obajtek i jego doradcy prawni, rząd Arabii Saudyjskiej uzyskał kontrolę nad infrastrukturą krytyczną.

Infrastruktura ta służy zapewnieniu nam wszystkim bezpieczeństwa w złych czasach. Doświadcza tego teraz Ukraina. Przed pozyskaniem Saudyjczyków „dla dobra” Polski Orlen i Lotos były kontrolowane przez państwo polskie. Po pozyskaniu Saudyjczyków „dla dobra” Polski Rafineria Gdańska, czyli infrastruktura krytyczna, jest de facto kontrolowana, a momentami współkontrolowana przez rząd Arabii Saudyjskiej.

Prawo to kontekst, a nie fasada. Były prezes TVP Jacek Kurski jest znany m.in. z powiedzenia, że „ciemny lud wszystko kupi”. Ale Polacy to nie jest ciemny lud.

Oprócz sprzedaży udziałów Rafinerii Gdańskiej Orlen był zmuszony także do sprzedaży około 400 stacji benzynowych Lotosu (drugi warunek zgody KE na przejęcie Lotosu przez Orlen). Obajtek znajduje nabywcę. Przypadkiem to węgierski MOL, koncern kontrolowany przez Orbána, współpracujący z rosyjskim sektorem paliwowym. W zamian Obajtek nabywa stacje MOL-a, które chwilę wcześniej należały do Łukoilu. I traci prawo do 50 procent produkcji Rafinerii Gdańskiej, które przysługuje Saudi Aramco. Polska nie kontroluje więc infrastruktury krytycznej i o połowę zmniejsza zdolność podażową Rafinerii Gdańskiej. Trudno wyobrazić sobie bardziej drastyczne naruszenie bezpieczeństwa energetycznego Polski.

Obajtek i jego mocodawcy opowiadają, że winę za wszystko ponosi Komisja Europejska, bo wymusiła sprzedaż aktywów Lotosu. To nieprawda – Orlen sam zaproponował KE taki środek zaradczy.

Poza tym KE nie narzuciła Orlenowi przejęcia Lotosu. Nie narzuciła Saudi Aramco jako nabywcy udziałów Rafinerii ani tak skandalicznych warunków transakcji. I wisienska na torcie: z jakichś powodów Orlen odmawia dostępu do dokumentów transakcji kontrolerom NIK, czego legalność powinna zbadać prokuratura.

Pisząc o Obajtku, nie można pominąć roli rady nadzorczej Orlenu. Zasiada w niej Wojciech Jasiński (przewodniczący rady), zarazem poprzedni prezes zarządu Orlenu, który ustąpił miejsca Obajtekowi, bo ten wedle Kaczyńskiego posiada rzadki dar od Boga, a wedle ministra Warchoła jest jak Napoleon Bonaparte. Zasiada w owej radzie prof. Andrzej Szumański, przewodniczący komitetu ds. ładu korporacyjnego, który jako współtwórca Kodeksu spółek handlowych z pewnością zna się na prawie spółek, więc nie może powiedzieć, że nie rozumie, co czyni. Zasiada też adwokat Roman Kusz, dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Katowicach. Dwaj ostatni są, przynajmniej teoretycznie, tak zwanymi niezależnymi członkami rady.

I ta rada nadzorcza dopuszcza się szeregu działań i zaniechań, które budzą zdumienie. Nie reaguje na ujawnione „taśmy Obajtka”, z których, poza wulgaryzmami, dowiadujemy się, że Obajtek, będąc wójtem Pcimnia, zatem sprawując funkcję publiczną, naruszył ustawę antykorupcyjną. Kiedy Obajtek otrzymuje polecenie polityczne, by Orlen kupił koncern Polska Press, skupiający 20 tytułów prasy lokalnej w całej Polsce, rada wyraża zgodę, mimo że z biznesowego punktu widzenia transakcja jest bzdurą. Następnie rada wyraża zgodę na sprzedaż 30 proc. udziałów Rafinerii Gdańskiej za bezcen. Za to nie reaguje, włącznie z jej etykiem prof. Szumańskim, na wyznaczenie Obajtka dla Onet.pl, że jest prezesem z politycznego nadania.

Skutkiem działań Obajtka, zarządu i rady nadzorczej Orlenu jest coś, czego nie osiągnął nikt w Polsce, a mało kto w cywilizowanym świecie biznesu. Norges, jeden z największych państwowych funduszy inwestycyjnych na świecie, zarzucił Orlenowi naruszanie praw człowieka w zakresie wolności słowa, wpisując polski koncern na swoją listę obserwacyjną. Norweski fundusz oparł się na opinii jednego z nas (Michał Romanowski) dotyczącej biznesowego sensu nabycia Polska Press w kontekście idei corporate governance oraz polskiej konstytucji. Niech ujawnią się doradcy Orlenu, biznesowi i prawni, na których – zgodnie z wprowadzoną zasadą business judgement rule (czyli działania w ramach dopuszczalnego ryzyka biznesowego) w ramach niedawnej noweli Kodeksu spółek handlowych Sasina, Kowalskiego, Szumańskiego, Kwaśnickiego i Pawelczyka – powołuje się zarząd i rada nadzorcza Orlenu, argumentując, że nabycie Polska Press jest wyłącznie decyzją biznesową. W każdym razie Norges nie przekonali.

Wpisanie na listę obserwacyjną oznacza ryzyko zamrożenia kontaktów handlowych Norwegii z Orlenem (a więc z Polską, ponieważ Orlen stał się „narodową bestią” jak Kompania Wschodnioindyjska), co dotyczyłoby także sprzedaży Orlenowi gazu oraz wycofania zeń inwestycji Norges. O tym, że obawy związane z przejęciem Polska Press się sprawdziły, niech świadczy to, że gazety tego koncernu dostały instrukcję, aby nie pisać o WOŚP.

Jarosław Kaczyński zapewniał, że Obajtek ma dar od Boga. Kolejna nowela Kodeksu spółek handlowych Jacka Sasina, Janusza Kowalskiego, Radosława Leszka Kwaśnickiego i Mirosława Pawelczyka z pewnością wprowadzi kryterium daru od Boga jako kryterium powołania prezesa zarządu. ●

***Prof. UŁ dr hab. Aleksander Kappes** – na Uniwersytecie Łódzkim kieruje Zakładem Prawa Handlowego WPiA, adwokat. Był członkiem zespołu prawa spółek Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Cywilnego zlikwidowanej przez ministra Ziobrę w 2015 r. Prezydent Andrzej Duda odmówił powołania go do Izby Cywilnej SN z rekomendacji legalnej KRS (sprzed łamiącej konstytucję nowelizacji ustawy o KRS). Autor licznych artykułów o praworządności po 2015 r.

****Prof. dr hab. Michał Romanowski** (UW) – adwokat, profesor prawa cywilnego i handlowego, członek zlikwidowanej Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Cywilnego, obrońca wolnych sędziów – m.in. Pawła Juszczyna, Igora Tulei, Marzanny Piekarskiej-Drażek, Ewy Gregajtys i Ewy Leszczyńskiej-Furtak – oraz kobiet oskarżanych za udział w Czarnych Marszach.

*****Prof. SGH dr hab. Tomasz Siemiątkowski** – adwokat, kierownik Katedry Prawa Gospodarczego SGH, wyróżniony przez „Rzeczpospolitą” za walkę w obronie wolnych mediów (zwłaszcza TVN 24), członek zlikwidowanej Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Cywilnego, pomysłodawca i współautor ustawy o kontroli niektórych inwestycji, zapewniającej bezpieczeństwo korporacyjne Polski (z 2015 roku, którą zdemolowała nowelizacja z 2020 r., tzw. covidowa).

„Siedem szczęść Daniela Obajtka. Biografia” – książka śledcza Pawła Figurskiego i Jarosława Sidorowicza już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



Prezydent

Wczytaj się i nie daj sobą manipulować.
Subskrybuj Wyborcza.pl

wyborcza.pl

FOT. EAST NEWS

Z **JOSHUA COHENEM***,
AMERYKAŃSKIM PISARZEM,
ZDOBYWCĄ NAGRODY
PULITZERA W ROKU 2022,
ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Pod koniec 1959 roku do miasteczka w stanie Nowy Jork przybywa Bencijon Netanjahu, badacz losu Żydów w czasach średniowiecza i inkwizycji. Towarzyszy mu rodzina, w tym syn Beniamin, zwany Bibi, przyszły premier Izraela. Stary Netanjahu okazuje się postacią więcej niż kontrowersyjną i robiącą wokół siebie wiele hałasu. Uważający się za wielkiego naukowca i wybitnego przedstawiciela narodu żydowskiego, jest w rzeczywistości mało poważanym i niechcianym na krajowych uczelniach wykładowcą i radykałem.

Drugoplanowa postać twojej powieści, 10-letni wówczas Bibi Netanjahu, próbuje właśnie rozmontować izraelską demokrację, zniszczyć niezależne sądownictwo i wprowadzić rządy autorytarne. Śledzisz to, co dzieje się w Jerozolimie i Tel Awiwie?

– Oczywiście! Przyglądam się sytuacjom, które mogą świadczyć o tym, że demokracja jest w stanie zagrożenia. Od lat obserwuję to, co dzieje się w Polsce, w której spędziłem kilka lat życia, z przerażeniem patrzyłem na Węgry, a teraz na to, co wyprawia w Izraelu Netanjahu. Plan i metody są ludzko podobne, chodzi o skomasowanie w jednych rękach tak wiele władzy, jak to tylko możliwe. Proces wybijania zębów demokracji, ulubiona obecnie zabawa syna jednego z głównych bohaterów mojej powieści, trwa, a opór, który – jak się zdaje – mocno Netanjahu zaskoczył, nie słabnie. Cały świat jest dziś w stanie rozedrgania, trwa nieustanne przeciąganie liny. Widać to przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam i piszę – to być może najciekawsze laboratorium zmian współczesności.

Kiedy pisałem „Rodzinę Netanjahu”, wielu podejrzewało, że Bibi skończy w więzieniu i będzie to jeden z największych, najbardziej spektakularnych upadków. Tymczasem skleił więcej niż zadziwiającą koalicję i zaczął forsować zmiany systemowe.

To tym bardziej ciekawe i zaskakujące, gdy zna się poglądy jego ojca, Bencijona...

– Stary Netanjahu, słynny żydowski XX-wieczny tulać, był bez wątpienia jedną z tych osób, które uczyniły z Bibiego polityka, dały mu wiarę, że może stać się kimś istotnym w historii kraju i narodu. Ale z pewnością nie było mu po drodze z obecnymi koalicjantami syna, partiami ortodoksyjnymi, wręcz fundamentalistycznymi. Bencijona charakteryzowało myślenie antyreligijne, więc – gdyby nadal żył – musiałby orzec, że jego syn dopuścił się megalomanii. Cóż to za niespotykana współpraca sił rewizjonistycznych ze skrajnie religijnymi! To jak z dwójką kochanków, którzy jeszcze niedawno patrzyli na siebie z pogardą, a dziś wygodnie moszczą się w jednym łóżku i dbają, by żadna ze stron nie wyróżniała pośladowców w podłogę. Czegóż to ludzie nie są w stanie zrobić, by tylko utrzymać się u władzy i nie pójść do więzienia



• Rok 2006, „Bibi” Netanjahu w swoim domu w Jerozolimie z ojcem Ben Zionem

WŁADZA PATRZY W SŁOŃCE

W Ameryce Trumpa rasizm i antysemityzm dawno nie miały się tak dobrze.
Czy to mnie szokuje? Wcale

za przestępstwa popełnione w czasie sprawowania rządów!

Brzmi zaskakująco znajomo tydzień przed wyborami w Polsce.

– Bibi, gdy uprzednio był u władzy, odgrywał rolę wzorowego syna, jego pomysły polityczne były w mniejszym lub większym stopniu realizacją tych, które w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu głosili syjonistyczni rewizjoniści – niekoniecznie popierani w utworzonym Państwie Izrael: Ze’ew Żabotyński, założyciel Legionu Żydowskiego, oraz Bencijon Netanjahu, jeden z jego najbliższych współpracowników, historyk średniowiecza. Tego pierwszego, przypomnę, nazywano faszystą, zarzucano mu, że fascynuje się Mussolinim i jego rozwiązania chciałby wprowadzić w Palestynie. Robił to w kontrze do – między innymi – Ben Guriona, nie więc dziwnego, że jego towarzysze, w tym ojciec obecnego premiera Izraela, nie byli mile widziani w nowej ojczyźnie po 1948 roku. Likud, na którego czele stoi Bibi, uważany jest za spadkobiercę idei Żabotyńskiego tak, jak wcześniej była nią partia Herut, której lider Menachem Begin był pierwszym w historii żydowskiego państwa prawicowym premierem.

Wiemy, do czego doprowadziły poprzednie rządy Netanjahu, jakiego rodzaju napięcia wytworzyły wewnątrz izraelskiego społeczeństwa, jak niebezpiecznie zrobiło się na linii Izrael – Autonomia Palestyńska i na całym Bliskim Wschodzie. Ale tak nerwowo jak dziś nie było jeszcze nigdy. To, co robi, nie ma nic wspólnego z kate-

goriami, jakimi operowaliśmy do tej pory w świecie demokracji liberalnej. To nie jest program polityczny, ale koalicja z religijnym ekstremum, wejście na drogę zadziwiającego mesjanizmu. Premier Izraela uznał, że w imię obroty swoich partykularnych interesów narzuci wszystkim dookoła pomysł na organizację życia społecznego. Skutki tych eksperymentów, o ile to wypali, będą bardziej niż oplakane.

Gdyby to widział jego ojciec, rwałby resztki włosów.

Co w ogóle sprawiło, że postanowiłeś napisać powieść o Bencijonie Netanjahu, a przy okazji pokazać pozostałych członków jego rodziny, w tym mocno niesfornych i źle zapowiadających się synów?

– Wszystko przez Harolda Blooma! Ten wspaniały krytyk literatury w ostatnich latach swojego życia obdarzył mnie ogromnym zaufaniem, wielokrotnie odwiedzałem go w domu w New Haven w Connecticut. Co ciekawe, nigdy się nie przyjaźniliśmy, ale był oddanym czytelnikiem moich książek i postanowił mnie poznać. Był już po osiemdziesiątce, poruszał się na wózku, słabł, ale udało nam się spędzić wiele godzin na rozmowach o literaturze, o wielkich twórcach – od Bellowa po Rotha – których znał, recenzował, którzy w dużej mierze i jemu zawdzięczali swoją pozycję. Harold, zmarły w 2019 roku, zdążył mi opowiedzieć przygodę z Bencijonem Netanjahu i ta historia najmocniej zapadła mi w pamięć, uznałem, że

to pomysł na powieść. Wszystko to, czego Bloom mi nie zdradził, czego już nie pamiętał po 60 latach od tamtych wypadków lub co do czego nie miał pewności, dopowiedziałem sobie i zapisałem w „Rodzinie Netanjahu”.

Przyszła pandemia, miałem sporo czasu. Obłożyłem się książkami o historii Palestyny i syjonizmu. Godzinami czytałem o rewizjonistach, którzy musieli szukać dla siebie miejsca poza Bliskim Wschodem, i o ojcach założycielach Państwa Izrael i dałem się porwać tym opowieściom.

Wśród pierwszych i drugich było wielu działaczy urodzonych na ziemiach polskich.
– Bencijon Netanjahu urodził się w Warszawie. Bardzo wam za to dziękujemy.

A mówiąc poważnie, to fascynujące, że wszystkie te stronnictwa, które kłóciły się między sobą o przyszłość narodu żydowskiego, prędzej czy później operowały też na ziemiach polskich – w ich dawnym lub dzisiejszym rozumieniu. Polska nie tylko była – i wciąż jest – pograniczem między tradycyjnie pojmowaną Europą Zachodnią a Rosją, niegdyś wielkim imperium, ale także dała światu własne, nieco wyśnione podejście do syjonizmu próbujące pogodzić to, co zrodziło się na Zachodzie, z tym, co przyszło z ziem caratu, choćby w wypowiedziach Żabotyńskiego. Ależ to musiały być żarte dyskusje w czasach, gdy wydawało się, że cały proces stworzenia państwa żydowskiego może

przebiec w miarę spokojnie, gdy nikt nie podejrzewał jeszcze, że nadejdzie Zagłada...

Postać Bencijona Netanjahu, gdy Bloom opowiadał mi o jego perypetiach, zdała mi się idealna dla próby stworzenia wariacji na temat powieści o losach narodu żydowskiego w XX wieku. Urodził się w 1910 roku jako Milejowski, był synem rabina, jako 10-latek trafił z rodziną do Palestyny. Trzymał się z dala od religii, poświęcił się nauce, jako syn zagorzałego syjonisty stał się rewizjonistą. Wyjechał do Nowego Jorku w 1940 roku, został jednym z najbliższych współpracowników Żabotyńskiego, który wkrótce potem zmarł. Bencijon przejął schedę po nim, budował środowisko rewizjonistyczne wśród Żydów amerykańskich. Sprzeciwiał się planom ONZ co do podziału Mandatu Palestyny na dwa państwa, był gorącym orędownikiem „Wielkiego Izraela”, którą to ideę z pewnością zaszczylił swojemu synowi Beniaminowi. Wbrew oczekiwaniom nie miał realnego wpływu na rozwój wypadków i gdy w roku 1949 udał się do nowo powstałego państwa, nie odnalazł tam zbyt wielu sojuszników. Ponieważ miał już doświadczenie akademickie – pracował jako wykładowca przed i w czasie II wojny światowej – wrócił do USA i zaczął szukać pracy. Rodzina, żona Cila i trzech synowie, wędrowali za nim. I tak trafili w końcu na Harolda Blooma. I – spróbuję to powiedzieć delikatnie – w bezpośrednim kontakcie raczej nie zrobili dobrego wrażenia.

Dlaczego Bencijon wydał mi się idealnym bohaterem powieści? Cóż, w tradycji europejskiej, a z niej przecież często czerpała proza amerykańska, przyjęło się przedstawiać życie portretowanych osób tak, jak gdyby reprezentowali oni losy całego narodu. Wiadomo, że gdy czyta się Victora Hugo, czyta się o Francji, gdy Lwa Tolstoja, to o Rosji. A w literaturze żydowskiej, tej tworzonej w jidysz, w zasadzie brakowało takiej powieści jak „Nędznicy” czy „Wojna i pokój”. Tłumaczono to faktem, że Żydzi nie mają ojczyzny, więc taka książka jest niemożliwa. Postanowiłem zagrać tą kartą – jako amerykański Żyd napisałem powieść, którą można czytać jako historię współczesnego Izraela i diaspory jednocześnie.

Akcja rozgrywa się na terenie i w okolicy nieistniejącego uniwersytetu, ale część poświęcona wizycie małżeństwa Netanjahu i ich trójki dzieci jest bardzo bliska temu, co zdarzyło się naprawdę i co na własne oczy widział Bloom. Bencijon atakuje Rubena, który jest zwolennikiem asymilacji, i należy przypuszczać, że tak właśnie rozmawiał z każdym amerykańskim Żydem. Bo przecież to zaprzeczenie idei „Wielkiego Izraela”!

– Wydało mi się ważne, by opowiedzieć o przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Był to prawdopodobnie ostatni znaczący moment we współczesnej historii Żydów. Ci, którzy przeżyli Zagładę, i ci, którzy jej nie doświadczyli, stanęli przed wyborem – musieli przejść przez proces stawiania się. Kim chcieli być? Mieszkańcami Izraela? Amerykanami, Australijczykami, obywatelami RPA? Niektórzy, jak wiemy, próbowali stać się Polakami, części się udało. Uważam, że była to wielka i głęboka próba zmiany tożsamości, która do dziś nie doczekała się w literaturze odpowiedniego komentarza.

A po tamtym pokoleniu przyszły kolejne, w tym moje, które zachłyśnięły się nowymi możliwościami, chciały zapomnieć o tragedii czasów II wojny światowej, nauczyły się nowego języka, zasmakowały kapitalizmu i demokracji, nie były zainteresowane prowadzeniem wojny tożsamościowej. Ale też umiejętnie używały kwestii asymilacji jako broni przeciw roszczeniom, rozczarowaniom i traumom przodków.

To właśnie dlatego jedną z najważniejszych dla mnie scen w książce jest ta, w której Bencijon próbuje przekonać Rubena, że zrastanie się z amerykańskim społeczeństwem nie ma sensu, że sobą, prawdziwym Żydem, może stać się jedynie w Izraelu. Najlepiej w tym „Wielkim”. Jak wiemy, to hasło nie chwyciło – trudno dziś wyobrazić sobie Stany Zjednoczone bez żydowskiej społeczności, która wspiera Izrael, ale nie czuje się rozdarta tak jak nasi przodkowie.

Twoja powieść porusza wiele istotnych kwestii, czuć w niej też atmosferę naszych czasów...

– Tak, bo choć akcja rozgrywa się na przełomie lat 50. i 60. XX wieku, to jednak pisałem tę książkę w Ameryce czasów Trumpa, kraju tak dziwnym, że aż niemożliwym do wyobrażenia. Chcąc nie chcąc, przemyciłem coś z teraźniejszości do „Rodziny Netanjahu” – przede wszystkim obraz otumanienia władzą na każdym możliwym poziomie.

Kiedy powstawała ta powieść, prezydent USA wyszedł na balkon Białego Domu i bez jakichkolwiek zabezpieczeń patrzył w niebo na zaćmienie Słońca. Czy można wymyślić lepszą ilustrację tego, do czego doprowadziłyśmy świat?

Jest w „Rodzinie Netanjahu” scena, w której dziekan Wydziału Historii rozmawia ze swoim podwładnym Rubenem Blumem. To zapis upokorzenia, siły, jaką daje władza, najgorszych instynktów, które uruchamiają się w człowieku mającym choć odrobinę przewagi. W tym przypadku jest to antysemityzm, nawet nieskrywany – to Ruben ma zdecydować o tym, czy Bencijon Netanjahu dostanie angaż na uniwersytecie, na jego barkach spocznie odpowiedzialność za jego los. Dziekan bawi się tą sytuacją, rozkoszuje się chwilą, upokorzeniem, które staje się udziałem podwładnego. 60 lat później, w Ameryce Trumpa, te zachowania, te metody kontroli wypełzły na powierzchnię, rasizm i antysemityzm dawno nie miały się tak dobrze. Czy mnie to szokuje? Wcale. Niby dlaczego coś, z czym żyjemy od wieków, a w zasadzie od tysiącleci, nagle miałoby wyparować? Ta wiara w naprawę człowieka, przekonanie, że nagle staniemy się lepszym gatunkiem, jest zabawna.

Ta wiara
w naprawę
człowieka,
przekonanie,
że nagle
staniemy
się lepszym
gatunkiem,
jest zabawna

Kiedy byłem korespondentem prasowym i podróżowałem po Europie, często słyszałem pytanie: jak to możliwe, że w Polsce, gdzie działały krematoria zbudowane przez nazistów, wciąż panoszy się antysemityzm. Łapałem się za głowę, tak bardzo to było naiwne – czy fakt zburzenia pieców i kominów w obozach koncentracyjnych ma oznaczać wyparowanie tych niegodnych postaw? Wolne żarty.

Jest też „Rodzina Netanjahu” w wielu miejscach powieścią niebywale zabawną. Sceny z udziałem Cili, Bencijona i ich trzech synów mogą doprowadzić czytelnika do spazmów śmiechu. To Harold Bloom opowiedział ci, jak bardzo nie potrafili się zachować w jego domu, jak bardzo niewychowani byli bracia Netanjahu i jakich zniszczeń się dopuścili?

– Wyczytałem to między słowami, Harold był zbyt kulturalny, by się skarżyć. Poza tym minęło 60 lat, zostało ogólne wspomnienie. Pozwoliłem więc sobie na pewną frywolność, składając ze strzępków informacji obraz rodziny Netanjahu. Na pewno on, Bencijon, był panem domu, a ona, Cila, była w niego zapatrzona i całkowicie mu podporząd-

kowana. Nad chłopcami, których Netanjahu próbował trzymać krótko, nikt w rzeczywistości nie panował. Bardzo więc możliwe, że niejednokrotnie doszło do sytuacji, którą sobie wyobraziłem na potrzeby powieści – Bibi ochraniający brata, który stara się pozbawić dziewictwa pochodzącą z dobrej rodziny pannę.

Wiem, że to siła sugestii, ale właśnie w tym momencie doszedłem do wniosku, że już jako 10-latek przyszły premier Izraela pokazał swoje prawdziwe oblicze.

– Nie jesteś w tym podejrzeniu osamotniony, zapewniam. Bencijona cechowało niesamowite poczucie wyższości, wierzył, że jest kimś wyjątkowym, synowie – a zwłaszcza Bibi – odziedziczyli po nim tę cechę. Do końca byli ze sobą blisko, niesamowicie zżyci. Stary Netanjahu zmarł 11 lat temu, żył 102 lata. Przez cały czas miał oko na syna.

A wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej niesamowite i przerażające? Że Bencijon nie żyje od ponad dekady, tymczasem jego wizja polityki i historii zaczęła spełniać się na naszych oczach. Myślę, że mało kto jest dziś w stanie przyznać, że demokracja liberalna nadal triumfalnie kroczy przez świat, za to wszyscy przyznamy, że władzę przejmować zaczęli populiści-rewizjoniści, którym marzą się różne „wielkie” państwa, narody, społeczności.

Oczywiście nie sądzę, by Bencijonowi Netanjahu podobały się metody, do jakich posuwają się jego syn i inni populiści – choćby w Polsce – ale cel z pewnością by popierał. I pewnie nawet nie chciałby zauważyć, że retoryka stosowana przez ludzi takich jak Trump, Orbán, Meloni czy Kaczyński wobec uchodźców, ludzi, którzy migrują, jest ludząco podobna do tej, jaką w latach 30. XX wieku stosowano wobec Żydów.

Nie słyszę optymizmu w twoim głosie.

– Słusznie, co miałoby sprawić, że stałbym się optymistą? W Ameryce ludzie mówią na przykład: „Będzie dobrze, nie wybierzemy przecież na prezydenta człowieka, który zapewne trafi do więzienia”. Świat stoi w tej chwili przed tylko jednym ważnym wyborem. I nasza wspólna przyszłość zależy, niestety, od Stanów Zjednoczonych. Liczy się wyłącznie to, kto będzie rządził w Waszyngtonie w kolejnych latach. Jeśli Ameryka odwróci się od Ukrainy, wszyscy znajdziemy się na straconej pozycji. A ludzi takich jak Bibi Netanjahu nikt już nie będzie w stanie zatrzymać. ●

***Joshua Cohen (1980), amerykański pisarz żydowskiego pochodzenia, autor powieści i opowiadań. Laureat Nagrody Pulitzera w roku 2022. Mieszka w Nowym Jorku.**

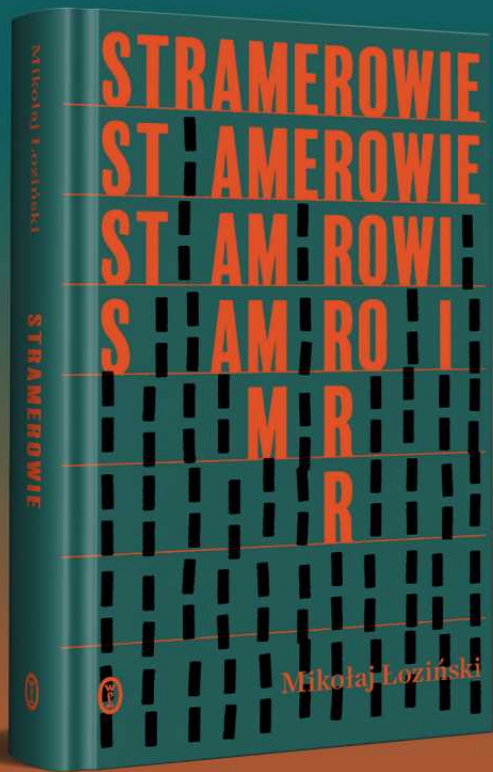
Joshua Cohen, „Rodzina Netanjahu. Wspomnienie przelotnego, a w ogólnym rozrachunku zupełnie nieistotnego zdarzenia w historii bardzo sławnej rodziny”, przeł. Aga Zano, wyd. Agora, 2023



OGŁOSZENIE

70 lat
Wydawnictwa
Literackiego

DALSZE LOSY
BOHATERÓW
STRAMERA.



Wielogłosowa
powieść
o żydowskiej
rodzinie, którą
porywa prąd
wielkiej historii.



facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydliit

NASZA EUROPA

„Jak wizyta w Pompejach”

Dom Gainsbourga do zwiedzania

Wszystko jest tu jak w dniu śmierci legendarnego artysty i prowokatora przed 32 laty. Zadbala o to jego córka, Charlotte Gainsbourg. Nawet o zapach wypalonych gitanesów.

Marc Bassets

EL PAÍS

Aby wejść do paryskiego domu Serge’a Gainsbourga – który został otwarty dla publiczności po raz pierwszy 20 września – należy najpierw przejść przez solidne metalowe drzwi. Po prawej stronie kolejne drzwi prowadzą do salonu. To wejście przypomina służę wiodącą do przestrzeni, w której czas się zatrzymał. Wszystko – a przynajmniej prawie wszystko – jest tam dokładnie takie samo jak 2 marca 1991 roku, w dniu śmierci Gainsbourga, muzyka i poety, który stworzył dziesiątki hitów i nadal stanowi ikonę francuskiej nowoczesności w popkulturze. Gdy jego serce nie wytrzymało jego straceńczego trybu życia, miał zaledwie 62 lata.

Przyćmione oświetlenie, ciemne ściany, fortepian Steinwaya i elektroniczne organy Lowrey, stół pokryty odznakami policyjnymi i kajdankami, ogromne zdjęcie Brigitte Bardot, jednej z jego słynnych partnerek: wszystko to razem tworzy odrealnioną, niemal purnonsensową aurę. „To jak sen” – mówiła o przebywaniu w tym domu Jane Birkin, partnerka Gainsbourga w latach 1969-80, w filmie dokumentalnym „Jane for Charlotte”, który w 2021 r. nakręciła córka obu artystów, aktorka i piosenkarka Charlotte Gainsbourg. „Jak wizyta w Pompejach” – dodała w filmie Birkin, która zmarła 16 lipca. 5 bis rue Verneuil, dwupiętrowy budynek przy cichej ulicy w dzielnicy Saint-Germain-des-Près, był domem Gainsbourga od 1968 r. do jego śmierci. Później został zamknięty na cztery spusty. Przez lata fasada, a właściwie mur oddzielający dom od ulicy został pokryty graffiti robionymi

w holdzie autorowi „Je t’aime... moi non plus” i „Histoire de Melody Nelson”. Charlotte wracała tam od czasu do czasu. Kiedyś myślała o przekształceniu go w rezydencję dla artystów, opcję ewentualnej sprzedaży odrzuciła. Kilka lat temu rozważała nowatorski projekt wraz z architektem Jeanem Nouvelem: przekształcenie domu w rodzaj wielkiej przeszklonej gabloty, która przechodniom pozwalałaby zobaczyć wnętrze z ulicy, jak w domku dla lalek. Raz nawet pomyślała o wprowadzeniu się tam z powrotem. Ale wtedy jej mąż, filmowiec Yvan Attal, powiedział tylko: „Zartujesz, prawda?”. **Świątynia maga popu** Teraz, ponad 32 lata po śmierci Serge’a Gainsbourga i dwa miesiące po śmierci Jane Birkin, Charlotte Gainsbourg odsłoniła wnętrze „5 bis”, jak w skrócie nazywa to miejsce, do tej pory dla pielgrzymujących fanów i ciekawskich znane jedynie z zewnątrz. Teraz

wreszcie każdy chętny może wejść do środka. Co tam zobaczy? Gdy tylko przekracza się próg, staje się jasne, że ten dom to jest również część dorobku Gainsbourga, podobnie jak jego płyty i książki: wygląda jak muzeum z eksponatami dokumentującymi pewną epokę, ale było nim już wtedy, gdy tu mieszkał. Nowe „muzeum Gainsbourga” składa się, oprócz domu, z ustronnej przestrzeni na tej samej ulicy, gdzie działa już od dawna bar nazwany Gainsbarre na cześć jego łobuzerskiego alter ego. „Wpadałam do tego domu, ale nie za często. Na początku było to bardzo bolesne, potem trochę mniej, ale zawsze wiązało się z dużym obciążeniem emocjonalnym” – wyjaśnia Charlotte Gainsbourg grupie dziennikarzy, w tym mnie, przy barze w Gainsbarre. „Wszystko zostało tam zachowane, ponieważ nikt inny tam nie wchodził i prawie nie wpadało tam przez lata światło dzienne. Mówię »wszystko«, bo

„THE NEW YORK TIMES”:

Dlaczego Republikanie spod znaku MAGA chcą zdradzić Ukrainę

Nie chodzi wcale o pieniądze.

Paul Krugman

Rząd USA uniknął w ostatni weekend shutdownu, chociaż być może będziemy musieli ponownie przejść przez cały ten komediodramat za sześć tygodni. Kevin McCarthy, jeszcze wtedy republikański spiker Izby Reprezentantów, zrobił coś oczywistego: wniósł pod obrady ustawę o finansowaniu instytucji federalnych, która mogła przejść tylko głosami Demokratów, ponieważ twarógłowi w jego własnej partii nie zgadzają się na nic rozsądnego. Prowizoryczna ustawa nie zawierała żadnych cięć wydatków, których domagali się Republikanie, z wyjątkiem jednego, ale wielkiego zła: ucięcia pomocy dla Ukrainy. Demokraci zgodzili się na tę ustawę, ponieważ spodziewają się oddzielnego głosowania w sprawie pomocy dla Ukrainy; prezydent Biden oznajmił, że wierzy, iż ma w tym celu porozumienie z McCarthym. Jednak we wtorek spiker Izby Reprezentantów został w kuriozalny sposób odwołany ze stanowiska w wyniku buntu kilku kongresmenów z jego własnej partii – więc trudno powiedzieć, co dalej z amerykańskim wsparciem dla Kijowa. Dlaczego jednak sprawy przybrały taki obrót? Bo skrajni Republikanie są dziś ludźmi, którzy krzyczą: „Jesteśmy wściekli jak diabli i nie zamierzamy tego dłu-

żej znosić!”. Nie poza zamachem stanu nie zdola zaspokoić tego gniewu. Ale McCarthy najwyraźniej uznał, że może uśmierzyć sprzeciw wobec swojej umowy z Demokratami, zdradzając lub przynajmniej udając, że zdradza Ukrainę. To wyraźnie coś, czego chce stronnictwo Make America Great Again. Ale dlaczego? Cokolwiek mogą sugerować pojawiające się tu i tam antyukraińskie głosy, takie jak ostatnio Elona Muska, wcale nie chodzi o pieniądze. Prawicowi twarógłowi, zarówno w Kongresie, jak i poza nim, twierdzą, że są zdenerwowani kwotami, jakie wydajemy na wspieranie Ukrainy. Ale gdyby naprawdę martwili się finansowym obciążeniem, podjęliby choć minimalny wysiłek, żeby poznać realną matematykę. Nie, pomoc dla Ukrainy nie podważa przyszłości Social Security, nie uniemożliwia skutecznego zabezpieczenia naszej granicy z Meksykiem, ani nie pochłania 40 proc. amerykańskiego PKB. Ile faktycznie wydajemy na wsparcie Ukrainy? W ciągu 18 miesięcy od początku rosyjskiej inwazji pomoc USA wyniosła łącznie 77 miliardów dolarów. To może wydawać się dużo. Zwłaszcza w porównaniu ze skromnymi kwotami, które zwykle przeznaczamy na pomoc zagraniczną. Ale całkowite wydatki federalne wynoszą obecnie ponad 6 bilionów dolarów rocznie – czyli pomoc dla

Ukrainy stanowi mniej niż 1 proc. wydatków federalnych (i mniej niż 0,3 proc. PKB). A wartość całej naszej pomocy wojskowej dla Kijowa stanowi mniej niż 5 proc. budżetu Pentagonu. Nawiasem mówiąc, Stany Zjednoczone nie ponoszą ciężaru pomocy Ukrainie w pojedynkę. W przeszłości Donald Trump narzekał, że Europa nie wydaje wystarczająco dużo na własną obro-

dzenia, że w jakiś sposób uniemożliwia ona robienie innych niezbędnych rzeczy, takich jak np. zabezpieczenie granic kraju, są nonsensem. Ludzie spod znaku MAGA nie słyną z podawania prawidłowych liczb, ale wątpię, by nawet oni naprawdę wierzyli, że koszty pomagania Ukrainie są nie do udźwignięcia. A korzyści z udzielania tej pomocy dla broniącej się demokracji

nia się w jakiejś swojej inwazje, że demokracje nie są wcale tak bezbronne i słabe. By pozostać przy najdonioślejszym przykładzie: porażki Rosji w Ukrainie z pewnością zmniejszyły ryzyko ataku Chin na Tajwan. Wreszcie to, co nawet Republikanie zwykli nazywać wolnym światem, zostało wyraźnie wzmocnione. NATO stanęło na wysokości zadania, wprawiając w zakłopotanie cyników i nawet poszerzając się o nowych członków, zaś zachodnia broń dowiodła swojej skuteczności. Są to duże zyski uzyskane przy skromnych nakładach, które zresztą nadal stanowią niewielki ułamek tego, co wydaliśmy w Iraku i Afganistanie. I nie zapominajmy, że to Ukraińcy walczą i umierają, nie my. Dlaczego więc politycy MAGA chcą odciąć Ukrainę od amerykańskiego wsparcia? Odpowiedź jest, niestety, oczywista. Niezależnie od tego, co mówią republikańscy twarógłowi, chcą oni zwycięstwa Putina. Postrzegają okrucieństwo i represje reżimu Putina jako godne podziwu cechy, które Ameryka powinna naśladować. Wspierają niedoszłego dyktatora w kraju, Trumpa, i sympatyzują z rzeczywistymi dyktatorami za granicą. Zasadniczo nie troszczą się oni o stan budżetu czy naszych portfeli, ale po prostu są wrogami demokracji, zarówno za granicą, jak i w kraju. ● tłum. Łukasz Grzymiśławski

Amerykańska pomoc dla Ukrainy stanowi mniej niż 1 proc. wydatków federalnych i mniej niż 0,3 proc. PKB. A wartość całej naszej pomocy wojskowej dla Kijowa stanowi mniej niż 5 proc. budżetu Pentagonu. Więc skąd ten lament skrajnej republikańskiej prawicy?

nę. Jeśli jednak chodzi o Ukrainę, europejskie kraje i instytucje wspólnie podjęły znacznie większe zobowiązania niż my. Warto zauważyć, że większość Europy, w tym zwłaszcza Francja, Niemcy i Wielka Brytania, obiecała pomoc o wartości stanowiącej więcej w ujęciu procentowym ich PKB niż zobowiązania USA. Wróćmy jednak do kosztów pomagania Ukrainie: biorąc pod uwagę, jak niewielką pozycją w budżecie jest ta pomoc, twier-

są ogromne. Pamiętajmy, że przed wojną Rosja była powszechnie postrzegana jako wielka potęga militarna, w której większość Amerykanów widziała krytyczne zagrożenie (i której śpiącą armię wielu Republikanów wskazywało jako niedościgły wzór). Ta potęga została teraz upokorzona. Niespodziewanie udany opór Ukrainy wobec rosyjskiej agresji uświadomił wielu innym autokratycznym reżimom, które mogłyby ulec pokusie zaangażowa-



• Dom przy rue Verneuil, w którym żył i zmarł Gainsbourg, stał się właśnie najosobliwszym muzeum w Paryżu: naraz mogą tam wejść tylko dwie osoby i mogą pozostać w środku przez maksymalnie dziesięć minut. DANIEL PIER/AFP/EAST NEWS

są tam nadal nawet te same zapachy: perfumy Van Cleef, dym gitanesów, woń mocnego alkoholu”.

Wewnątrz zapach nie jest już tak silny, być może zaczyna się rozpraszać, choć w małej kuchni stoją nadal stare przetwory i butelki po ostatnim wypitym przez Gainsbourga winie.

Na wizytę trzeba się zapisać, naraz mogą tam wejść tylko dwie osoby i mogą pozostać w środku przez maksymalnie dziesięć minut.

Dom jest stosunkowo mały, biorąc pod uwagę, że mieszkała w nim tak wielka gwiazda: 130 metrów kwadratowych, ale wydaje się, że mniej – być może dlatego,

że sufity są niskie, korytarze i schody wąskie, a znaczna część wnętrza jest wyłożona ciemnymi dywanami lub wykładzinami i wypełniona meblami i wszelkiego rodzaju przedmiotami, w tym egzotyczną figurą człowieka naturalnej wielkości.

Goście mogą założyć słuchawki, z których sęczy się nagrany szept Charlott - przewodniczki. „Zwykle oglądaliśmy telewizję podczas jedzenia”, mówi głos córki. „Zawsze jadł tym samym widelcem. Myślę, że zwinął go z Maxima”.

Można pójść na piętro i zobaczyć szafę z ubraniami Gainsbourga: jego marynarki i krawaty, ulubiony „mundur” złożony z dżinsów i także dżinsowej koszuli, je-

go białe buty Repetto, zawsze noszone bez skarpetek, nawet jeśli akurat padał śnieg. Obok znajduje się pokój dziecięcy, w którym Charlotte i Serge grywali w gry wideo, oraz mały gabinet, w którym Serge czytał i pisał. Jest tam elektryczna maszyna do pisania, biały IBM i medyczny traktat o patomorfologii, do którego lubił zaglądać. Jest też przyszpilony duży pająk.

Bezwstydną stroną rodziny Gainsbourgów

Przy stole w Gainsbarre Charlotte Gainsbourg przyznaje: „Jest w tym aspekt voyeurystyczny. Moja matka często mówiła do mnie: »Ty podglądaczu«. Nie dziwię się jej. Jest we mnie coś bezwstydne. To dotyczy zresztą całej mojej rodziny. W każdym razie mam wrażenie, że wszyscy i tak wiedzą o moim ojcu wszystko. Więc absolutnie nie mam ochoty zdradzać żadnych dodatkowych sekretów na jego temat”.

A jednak mamy uczucie, że dość bezceremonialnie wkraczamy w jego minione życie, zaglądając np. do łazienki z ozdobnym żyrandolem lub do sypialni, w której przy łóżku stoi flakonik z perfumami Jane Birkin, a na ścianie wisi gobelin ze sceną przedstawiającą chyba akt kanibalizmu.

W nagraniu, którego goście słuchają podczas wizyty, Charlotte wspomina, że czasami, kiedy szła rano do szkoły, mijała się w drzwiach z rodzicami, którzy właśnie wracali do domu po całonocnym pić i clubbingu.

I pamięta coś jeszcze: śmierć ojca w tym właśnie łóżku i to, jak ona, jej siostra oraz ostatnia partnerka Gainsbourga, piosenkarka Bambou, położyli się obok ciała, gdy na ulicy fani śpiewali jego piosenki. Wszystko w tej sypialni pozostało nienaruszone, z opakowaniem gumy do żucia Stimorol, cukierkami lukrecjowymi marki Florent i czekoladkami Smarties, które Gainsbourg miał na stoliku nocnym.

Charlotte przy stoliku barowym mimo wszystko opowiada więcej szczegółów. Wyjaśnia, że dwa dni przed śmiercią ojciec zaprosił ją, by zamieszkała z nim znówu pod adresem 5 bis rue Verneuil. W jednym ze swoich ostatnich wpisów w dzienniku zanotował: „Dać klucze Charlotte”. W tamtych dniach cierpiała z powodu zawodu miłosnego. Ojciec przygotował dla niej pokój, obok łóżka, dla 19-letniej wówczas córki, położył zestaw w swoim mieszkaniu ratunkowy: popielniczkę, paczkę Marlboro Light i pudełko Lexomil.

Wyjaśniając powody otwarcia domu dla zwiedzających, Charlotte Gainsbourg mówi o swoich własnych dzieciach: „Obawiałam się, że jeśli to dalej potrwa, a ja w końcu też umrę, nie będą wiedziały, co z nim zrobić”. Szczegóły dopracowywała przez cztery lata, z pomocą m.in. reżysera Anatole’a Maggiarda i kuratora Sébastiena Merleta. Mówi: „Zdaję sobie sprawę, że to rzeczywiście koniec czegoś, pewnego rozdziału w życiu. I bardzo dobrze”. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

CZY 82-LETNI BIDEN DA RADĘ?

Świat musi być gotowy na Trumpa 2.0

W niedawnym sondażu trzech na czterech Amerykanów uznało, że Biden jest za stary na drugą kadencję.

Timothy Garton Ash

Przez dwa miesiące spędzone tego lata w Ameryce zadawałem tamtejszym dziennikarzom, naukowcom i analitykom proste pytanie: „Kto będzie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych?”. Reagowali zwykle podobnie. Po wyraźnym wahaniu mówili: „No cóż, pewnie Joe Biden, ale...”.

Po czym wymieniali długą listę obaw, częściowo dotyczących głębszych trendów politycznych i społecznych, ale głównie tego, jak stary i wątły wydaje się 81-letni prezydent. Często moi rozmówcy kończyli stwierdzeniem, że byłoby lepiej, gdyby Biden usunął się i pozwolił jakiemuś młodszemu kandydatowi odwrócić argument wieku przeciwko 77-letniemu Donaldowi Trumpowi.

Biden jest dobrym prezydentem. Owszem, odwrót z Afganistanu okazał się chaotyczny, ale z pandemią poradził sobie dobrze i dość dobrze sobie radzi z wojną w Ukrainie. Za jego rządów gospodarka rozwija się dynamicznie, a wydatki publiczne w stylu New Deal przyspieszały zieloną transformację i tworzyły nowe miejsca pracy. Ale jeśli Joe Biden potknie się – fizycznie, psychicznie lub politycznie – podczas wyczerpującego maratonu, jakim jest amerykańska kampania prezydencka, i dopuści do powrotu Trumpa, wówczas tylko za to go zapamiętamy.

Według niedawnego sondażu NBC Trump i Biden idą łeb w łeb, zbierając po 46 proc. głosów. O wyniku przyszłorocznych wyborów może zdecydować każdy z wielu czynników niezwiązanych z osobowością i dokonaniem obu kandydatów. W amerykańskim skrajnie spolaryzowanym świecie medialnym wielu republikańskich wyborców po prostu nie wie, że gospodarka ma się dobrze. Sztuczna inteligencja zwiększy i tak ogromne możliwości dezinformacji, a Władimir Putin tylko marzy o tym, by przechrzyć szalę zwycięstwa na korzyść Trumpa. Wydaje się, że wszelkie inicjatywy „trzeciej drogi” – m.in. pełna dobrych chęci centrystyczna organizacja No Labels i postępowo-ekologiczna kampania intelektualisty i aktywisty Cornela Westa – odbiorą więcej głosów Demokratom niż Republikanom.

Najbardziej martwi Demokratów to, że czarni, Latynosi i inni niebiali wyborcy przenoszą się od nich do Republikanów, a zwłaszcza od Bidena do Trumpa. Można pewnie wskazać socjologiczno-historyczne wyjaśnienia tego zjawiska – podobnie jak dziwnej atrakcyjności samego Trumpa – ale nie ma wątpliwości, że jakąś rolę odgrywa wiek Bidena.

W niedawnym sondażu trzech na czterech Amerykanów uznało, że Biden jest za stary na drugą kadencję – pod jej koniec miałby 86 lat. Tylko połowa ankietowanych wyraziła te same obawy co do nieznacznie przeciwie młodszego Trumpa. Rozmawiałem z czterema osobami, które w ostatnich miesiącach widziały z bliska Bidena. Ich zdaniem ogarnia wszyst-

ko, jak należy, ale daje o sobie znać wiek. Ktoś wspominał, że głos prezydenta zanika pod koniec wypowiedzi do granicy słyszalności.

Wszystko to zostanie bezlitośnie obnażone w relacjach medialnych z kampanii wyborczej trwających całymi tygodniami po 24 godziny na dobę. W 1996 r. na wiecu wyborczym republikański kandydat na prezydenta Bob Dole spadł ze sceny, co przyczyniło się do jego porażki. A był wszak ledwie 73-letnim małolatem funkcjonującym w dużo spokojniejszym środowisku medialnym.

Biden ma jeszcze jedno obciążenie. Ze względu na jego wiek baczna uwaga skupi się na jego zastępczyni, która w pewnym momencie może musieć zająć jego miejsce. A wiceprezydentka Kamala Harris nie jest wielkim wyborczym atutem i niezbyt przekonuje jako potencjalna „przywódczyni wolnego świata”. Zrazu wzbudzała zrozumiałe duże zainteresowanie, jednak odgrywała w Białym Domu marginalną rolę, ma niższe od Bidena notowania i zdaje się niemal nieobecna na arenie międzynarodowej.

Oczywiście Trump też ma kolosalne problemy – przede wszystkim liczne procesy sądowe, które pochłaniają większość jego czasu i kampanijnych funduszy. Jeśli prokurator Jack Smith, oskarżający w głównej sprawie o domniemane nadużycia w wyborach w 2020 r., okaże się tak skuteczny, jak uważają niektórzy, w listopadzie przyszłego roku, kiedy Amerykanie pójdą głosować, Trump może już siedzieć w więzieniu. Co jednak zaskakujące dla obserwatorów spoza USA, mało jak na razie wskazuje, by oskarże-

nia te poważnie zagroziły jego wyborczym szansom.

Rezygnacja Bidena na tak późnym etapie niosłaby oczywiste ryzyko. Niektórzy boją się rozpadu kruchej zgody różnych frakcji Demokratów, jeśli partia będzie musiała szukać nowego kandydata. Inny mój rozmówca, były kongresmen, był innego zdania, przypominając o dyscyplinującym efekcie zagrożenia ze strony Trumpa.

Zgoda. Są jednak z pewnością wiarygodni kandydaci z młodszego pokolenia, m.in. gubernator Pensylwanii Josh Shapiro – który zostałby pierwszym żydowskim prezydentem – gubernatorka Michigan Gretchen Whitmer – która zostałaby pierwszą prezydentką – czy gubernator Kalifornii Gavin Newsom.

Nie tylko obróciliby argument wieku przeciwko Trumpowi – także odmłodziliby wizerunek Ameryki w świecie. My, Europejczycy, patrzymy dziś z konsternacją na iście breżniewowską gerontokrację w Waszyngtonie. Biden – lat 81, Trump – lat 77. Republikański lider senatu Mitch McConnell – lat 81, podczas wystąpienia publicznego zawiesza się na długie sekundy, niczym stary komputer z kiepskim wi-fi. Była przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, startuje do Kongresu po nownie w wieku 83 lat. Zmarła przed kilkoma dniami demokratyczna senator z Kalifornii Diane Feinstein odmawiała przejścia na emeryturę nawet w wieku 90 lat...

Ale jedno jest pewne – tylko Joe Biden i jego żona Jill mogą podjąć tę decyzję. Jeśli tak bę-

dzie, najlepiej, by stało się to szybko – niech młodszy kandydaci mają czas się zadeklarować, zgromadzić wystarczające fundusze, zorganizować kampanię, a potem wybrać jednego spośród siebie wraz z wiarygodnym współkandydatem. – To musi nastąpić przed Świętem Dziękczynienia! – woła jeden z długoletnich obserwatorów amerykańskiej polityki. Czyli najpóźniej za dwa miesiące.

Amerykańscy czytelnicy mogą zastanawiać się w tym momencie: kim jest ten Brytyjczyk, który mówi nam, co robić? Na to odpowiadam: przepraszam, ale nie tylko o waszej przyszłości zdecydować te zmagania.

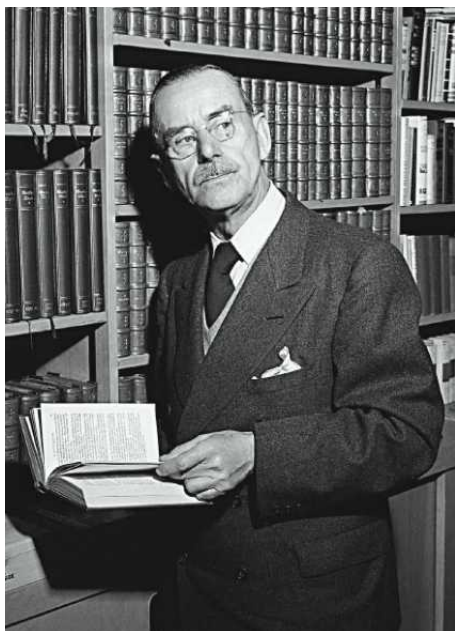
Po tej stronie Atlantyku zbliża się kilka interesujących wyborów. W tym miesiącu kluczowe wybory w Polsce, które mogą zdecydować o przyszłości kruchej demokracji w tym ważnym dla UE kraju. W czerwcu wybory do Parlamentu Europejskiego, które mogą przynieść sukces populistycznej prawicy. Wybory brytyjskie, które mogą sprawić, że po brexicie Zjednoczone Królestwo odzyska coś, co przypomina zdrowy rozsądek. I może nawet wybory prezydenckie w Ukrainie. Ale żadne z tych wyborów nie będą miały takiego znaczenia dla Europy jak te amerykańskie w listopadzie 2024.

Druga prezydentura Trumpa byłaby katastrofą nie tylko dla Stanów. Byłaby to też katastrofa dla Ukrainy, sytuacja alarmowa dla Europy i kryzys całego Zachodu. Czy Joe Biden jest jeszcze w stanie zainspirować świat amerykańskim dynamizmem? ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Adam Michnik poleca

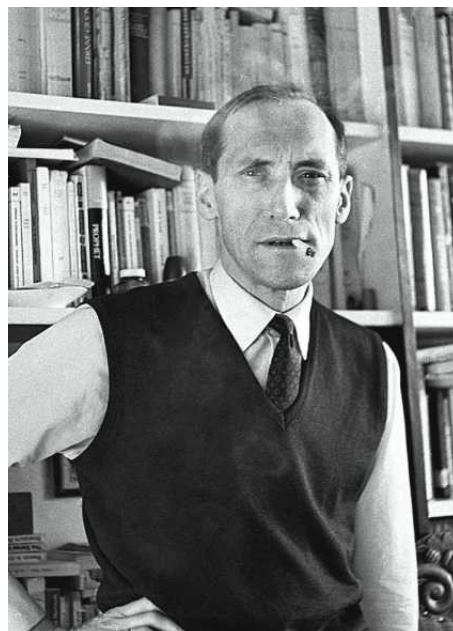
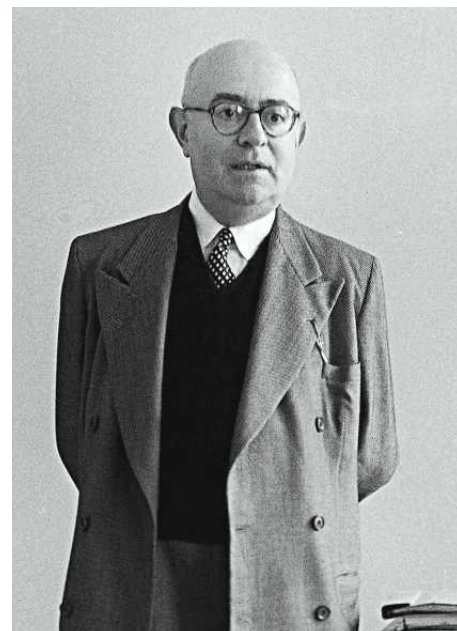
PRZECIEŻ KONFITUR NIE POTRZEBOWALI



• Tomasz Mann FOT. AP



• Theodor Eschenburg FOT. BE&W

• Leszek Kołakowski
FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS• Theodor W. Adorno
FOT. FRANZ HUBMANN / AFP / EAST NEWS

Widzimy ich w Polsce na co dzień i są całkiem liczni. To intelektualiści, bystrzy, dobrze wykształceni, którzy od lat występują przeciw wolności i prawom obywatelskim. Socjologowie z dorobkiem, uznani historycy nagradzani nie tylko przez instytucje władzy, znakomity tłumacz, filozofowie...

Część z nich wybrała kariery partyjne, więc wiernie dostosowują swój głos do partyjnych przekazów. Część, formalnie poza PiS-em, pławi się w udzielanych im przez partię zaszczytach, nie wrzekając się przy okazji profitów finansowych. Ci niepartyjni uważają się wprawdzie za intelektualistów autonomicznych, ale tak się składa, że milczą, gdy PiS niszczy kolejne prawa i wolności czy urzęda nagonki na mniejszości, wypowiadają się zaś przeciw tym wartościom, postaciom, środowiskom czy instytucjom, które w rządzących wzbudzają wrogie reakcje. Niezależnie od tego, co o sobie myślą, są skorumpowanymi duchow poputczikami autorytarnej władzy.

Niegdyś znalazłem, nawet zażyłe, niektórych z tych osób i nie przychodziło mi do głowy, że mogą ulec pokusie firmowania nacjonalistyczno-autorytarnej władzy. Zastanawiam się czasem, dlaczego zdradziły wartości, jakie niegdyś wyznawały. I w przeciwieństwie do osób jeszcze bardziej małostkowych niż ja nie sądzę, by była to tylko kwestia konfitur, o których wiedzą, gdzie są, kto nimi dysponuje i jak po nie sięgać.

Problem jest bardziej złożony, bo ci intelektualiści takich konfitur nie potrzebowali. Inaczej niż liczni piewcy PiS-u o mierznych talentach i rozpanoszonego ego, którym jedynie władza mogła zapewnić karierę, na jakie w swym mniemaniu zasługują. Stąd pakt: ty oddasz nam duszę, my damy ci atrybuty uznania, posady, granty badawcze, nakłady książek, pochwały w rządowych mediach, nieco władzy cennej, zwłaszcza gdy uderza w niepopularne środowiska,

Socjologowie z dorobkiem, uznani historycy, cenieni filozofowie... Dlaczego poparli PiS?

Marek Beylin

wiska, pokazując im, kto tu rządzi, a kto jest marginesem rzeczywistości. Taki pakt uważam tyleż za nikczemny, co zrozumiały. Bo kto mimo ambicji nie ma szans na realne uznanie, łatwiej ulegnie pokusie, by brać od rządzących jego erzace.

Tyle że wspomniani na początku intelektualiści takiego paktu z władzą nie potrzebowali, uznanie dla nich wynikało z ich dorobku, a nie z partyjnego nadania. Dlaczego więc teraz klęczą przed tronem Jarosława Kaczyńskiego, zdradzając również własne intelektualne biografie? Da się wymienić splot rozmaitych przyczyn związanych z resentymentami, światopoglądem, czasem megalomanią czy poczuciem destabilizacji umysłowej i tożsamościowej w błyskawicznie zmieniającym się świecie. Kłopot polega jednak na tym, że w jakimś momencie takich rozważań tak czy owak dochodzimy do granicy, za którą leży czyste psychologizowanie, jałowe i zawodne.

A gdyby dobrać się do tego problemu od innej strony? Tak właśnie czyni Ralf Dahrendorf w eseju „Pokusy wyzbycia się wolności”. Znany, zmarły już socjolog analizuje postawę tych, którzy takim pokusom nie ulegli bądź po okresie ideologicznych zaczadzeń, często młodzieńczych, stanęli po stronie liberalnej demokracji, rozmaicie ją zresztą rozumiejąc.

W tym sensie dzieło Dahrendorfa jest rewersem czy dopełnieniem „Zniewolonego umysłu” Miłosza, eseju o uległości kilku wybitnych polskich postaci wobec totalitarnego komunizmu. Bo o ile Miłosz docieka przyczyn samozniewolenia, o tyle Dahrendorf zastanawia się, co chroniło przed paktem z komunizmem i faszyzmem. Bierze na warsztat przede wszystkim osoby urodzone w latach 1900-10, zmagające się w międzywojniu i w czasach powojennych XX wieku z naporem tych dwóch mocarstwych wówczas ideologii.

Dahrendorf buduje szeroki obóz obrońców demokracji liberalnej. Im szerzej, tym skuteczniej, zwłaszcza gdy wolności kruszej pod naporem tyranii – to przeświadczenie, powzięte z namysłu socjologa i z doświadczeń udziału w demokratycznej polityce europejskiej, jest cenne również dziś. W czasach tożsamościowych wzmożeń, gdy spora część demokratycznych polityków oraz wyborców i wyborczyń nie potrafi akceptować politycznej współpracy z kimkolwiek, kto odstaje od ich własnych światopoglądów bądź ma na sumieniu mroczną przeszłość. W obozie, jaki konstruuje Dahrendorf, jest miejsce dla każdego, kto niezależnie od rozmaitych grzechów i zbłądzeń w końcu stanął twarzą do wolności.

Są w nim klasyczni liberalowie, Raymond Aron, Isaiah Berlin, Karl Popper, stawiający bardziej na wolność jednostki od ingerencji władzy niż na regulację społecznej sprawiedliwości. Bliżsi konserwatyzmowi, żywili nieufność do zbiorowych emancypacji. Tym większą, że uznawali demokrację za królestwo chłodnego rozumu i racjonalności.

W politycznych emocjach, zwłaszcza tych rządzących społeczeństwem, widzieli głównie zagrożenie dla demokratycznego ładu. Co wiązało się z ich doświadczeniem faszyzmu i komunizmu stawiających na irracjonalny fanatyzm. Toteż żaden z nich nie pojął emancypacyjnego i wolnościowego wymiaru studenckiej rewolty na Zachodzie w 1968 r. Uważali te społeczne poruszenia za kolejną inwazję zideologizowanych barbarzyńców.

Jest w obozie Dahrendorfa Hannah Arendt przekonana, że demokracji nie da się oprzeć tylko na rozumie i jednostkowych wolnościach. Jej sens widziała w wielości głosów, dziś powiedzielibyśmy: narracji, stąd uporczywie upominała się o to, by nadać widzialność i słyszalność nieobec-

nym, marginalizowanym i dyskryminowanym grupom społecznym. Ponieważ urodziliśmy się jako ludzie, mamy wszyscy na świecie te same prawa; jesteśmy też od siebie współzależni. Dlatego demokracja jest nieodłączna od solidarności ze słabszymi i społecznie niemymi. A zbiorowe emancypacje stanowią warunek jej dobrostanu.

To myślenie Arendt współtworzyło amerykański feminizm, a dziś bywa przywoływane również w rozważaniach, jak solidarnie zapobiegać katastrofie klimatycznej.

Te wyobrażenia demokracji pozostają w sporze z koncepcjami Arona, Berlina czy Poppera. Akurat bliżej mi do Arendt niż do nich, Dahrendorfovi przeciwnie. Ale i dla niego, i dla mnie nie ma to specjalnego znaczenia. Bo gdy zagrożone jest samo istnienie demokracji – dziś nie tylko w Polsce, lecz także w ogóle na Zachodzie – każdy głos wolności czy też każdy reflektor oświetlający rozmaite demokratyczne wartości i zagrożenia to cenna część naszych batalii, dawnych i obecnych.

Toteż Dahrendorf nie ma problemu, by do tego grona włączyć różniących się od niego światopoglądem demokratycznego socjalistę George'a Orwell'a czy Norberta Bobbio, znakomitego włoskiego filozofa prawa i polityki, „liberalnego socjalistę”, jak sam siebie określał. Jego wydane w Polsce książki: „Prawica i lewica” i „Liberalizm i demokracja”, wciąż są warte lektury.

Ale Dahrendorf sięga szerzej w budowaniu owego demokratycznego sojuszu, dając przykład dobrze rozumianego politycznego realizmu. I niezapiekłego człowieczeństwa, które daje innym sposobność, by stawali się lepszymi. Wychodzi więc od prostej obserwacji, że mało kto pozostaje bezgrzeszny w czasach wielkich zmian i ideologicznych namietności. Wytyka opisywanym przez siebie postaciom rozmaite głupstwa ideowe czy gesty uległości wobec tyranów, konstatając jednak, że najbardziej liczy się to, jak swoje błędy porzucali i za jakimi wartościami finalnie się opowiedzieli.

Przypomina komunistyczną przeszłość pisarza Arthura Koestlera i znanego publicysty oraz psychologa Manësa Sperbera, by tym dobitnie ukazać ich późniejszą liberalną i antytotalitarną postawę. Pisz,

jak wielcy przeciwnicy Hitlera – Tomasz Mann, filozof Theodor W. Adorno czy socjolog Karl Mannheim – poddawali się w początkach nazistowskiej władzy czaro-
wi nowych, wielkich Niemiec.

W 1933 r. Mann wahał się, czy wracać do Niemiec Hitlera. Nie postrzegał tego reżimu jako wrogiego; konstatawał, że różne poczynania nazistów, jak „odżyzdzenie wymiaru sprawiedliwości”, to „żadne nieszczęście”. Problem rozstrzygnął Hitler, uznając Manna za wroga, nad czym wielki pisarz początkowo ubolewał.

Adorno, który nie chciał wyjeżdżać z nowych Niemiec, choć utracił prawo nauczania, wdał się w 1934 r. we flirt z władzą, wychwalając, nie tylko z konformizmu, nazistowską estetykę. A Mannheim, już na emigracji w Londynie, w lecie 1934 r. wyznawał, że Hitler to „poważny, uczciwy człowiek, który niczego nie szuka dla siebie, lecz całym sercem zabiega o to, żeby budować nowe rządy (...) Podziwiamy jego prawość”.

Również Bobbio, który działał w grupie oporu przeciw Mussoliniemu, napisał w latach 30. wiernopoddaniczy list do dyktatora, deklarując oddanie faszyzmowi. Taktyczna mimikra? Lęk przed demaska-

Jak wynika z tej niemieckiej debaty, Eschenburg nie był antysemitą, nie przyczynił się do czyjejkolwiek śmierci. Pozostawał trybikiem w wielkiej zbrodniczej maszynie. Pisząc swój esej, Dahrendorf nie wiedział o tym, ale i tak wahał się, czy umieścić go na liście swych bohaterów. Czy dysponując tymi informacjami, byłby wciąż tak inkluzywny?

Ale ta sytuacja pokazuje również nasz ustawiczny dylemat: kogo z mrocznymi przeszłymi dokonaniai da się aprobo-
wać jako przyjaciela czy obrońcę wolności, tak by nie wprowadzać do niej zamętu? Nie ma żelaznych obiektywnych reguł. Dla mnie warunkiem jest szczere wejście we własne mroki i bezwzględna akceptacja demokratycznych wartości wyłączających jakąkolwiek dyskryminację.

Według Dahrendorfa jego bohaterowie, widziani jako wzorcowi zbiorowość, uwewnętrzniali fundamentalne cnoty liberalne. Odwagę, by walczyć o prawdę, także samotnie, nawet wbrew nastrojom w bliskich sobie środowiskach. Sprawiedliwość, czyli umiejętność życia pośród sprzeczności i konfliktów. Z czym łączy się rozważa, równoważenie zaangażowania i chłodnej obserwacji.

W 1933 r. Tomasz Mann nie postrzegał reżimu Hitlera jako wrogiego. Uważał na przykład, że różne poczynania nazistów, jak „odżyzdzenie wymiaru sprawiedliwości”, to „żadne nieszczęście”

cją? On sam pisał o swoim liście: „żeby ocalić siebie pod dyktaturą, potrzebna jest siła charakteru, wielkoduszość i odwaga, i przynajmniej, że swego czasu, gdy pisałem ten list, tych cech mi brakowało”. I konkludował: „dyktatura korumpuje dusze. Narzuca obłudę, kłamstwo, uniżoność”.

Dodałbym tylko, że wielkoduszość i siła charakteru przydają się także w ocenie takich poczynaniai: hamują pychę skłaniającą do wywyższania własnej moralnej czystości przez nieodwołalne i całościowe potępienie tych, którzy kiedyś zblądzi, choć późniejszymi zaangażowaniami dowiedli swej prawości.

Chodzi mi nie tylko o wspomnianych tu intelektualistów, ale też o plejadę polskich humanistów, którzy w młodości wdali się w komunizm, a później, otrząsnąwszy się z tego zaczadzenia, jawnie występowali przeciw reżimowi w imię demokratycznych wartości. Toteż tylko bałwan pełen pychy może negować zasługi filozoficzne i w obronie demokracji Leszka Kołakowskiego z uwagi na jego młodzieńczy stalinizm. Bądź dokonania tak badawcze, jak w pracy na rzecz wolności Bronisława Baczki, Krzysztofa Pomiana, Jerzego Szackiego bądź Jerzego Jedlickiego.

Są oczywiście sytuacje graniczne. Do grona obrońców wolności Dahrendorf włącza Theodora Eschenburga, prawnika, politologa uważanego za współtwórcę powojennej niemieckiej demokracji. Za hitleryzmu ten konserwatywny liberal daleki od ideologii nazistowskiej postawił na przystosowanie bez oporu. Nie wspierał reżimu, ale koniunkturalnie przystąpił do SS. Jak tłumaczył później, chciał chronić swego żydowskiego partnera w ich wspólnej firmie prawnej.

Nikommu nie zaszkodził, lecz jak ognia unikał kręgów i ludzi podejrzanych dla nazizmu. Nie wierzył w sens oporu i by przetrwać, chciał się roztopić w szarej masie proreżimowego społeczeństwa. Już po śmierci Dahrendorfa w Niemczech wybuchła gorąca dyskusja wokół roli Eschenburga w nazistowskiej aryacji życia gospodarczego, w tym w konfiskatach dóbr żydowskich. Eschenburg, choć napisał autobiografię, nie ukrywając swych konformizmów, o tej części swego życia nie wspominał.

A także to, co najtrudniejsze: namiętny rozum godzący racjonalizm z emocjami. Praktykowane indywidualnie cnoty te immunizują na uległość wobec antydemokratycznych ideologii, a zakorzeniane w zbiorowościach przydają demokracjom liberalnym siły i sprawczości.

Dahrendorf dostrzega oczywiście, że nie wszystkie opisywane przezeń postacie dysponują całą pulą owych cnót. Zarzuca np. klasycznym liberalom, Popperowi i Aronowi, niedocenianie roli emocji w liberalnej demokracji, systemie i tak z natury chłodnym. A właśnie emocje społeczne stoją u podłoża prodemokratycznych ewolucji, także w ramach samej demokracji, i związują ludzi z tym systemem. Dahrendorf powtarza za Dawidem Hume’em, że rozum, również ten demokratyczny, czerpie siłę z namiętności, jak „radość, nadzieja, ciekawość i miłość prawdy”.

Tę swoją gromadę obrońców demokracji Dahrendorf nazywa „erazmianami”. To duchowi spadkobiercy Erazma z Rotterdamu, sławnego renesansowego humanisty. Erazm namiętnie krytykował zabobony i dogmaty wiążące ludzi i rozum. Występował w imię wolności myślenia przeciw opresjom praktykowanym przez Kościół, a jego batalie przyczyniły się m.in. do powstania i rozkwitu reformacji. Jednak Erazm nigdy nie przystąpił do żadnego obozu, nie chciał dać się zamknąć w klatkach zbiorowych wiar i lojalności. Pozostawał, jak pisze Dahrendorf, niezależnym „publicznym intelektualistą”, z natury antyplemiennym.

A przy tym wszystkim Erazmowi daleko było do waleczności, unikał twardych zaangażowań, wystrzegał się słów i gestów, które mogłyby go narażać na represje. Toteż jego spadkobiercy, „erazmianie”, nie muszą być, według Dahrendorfa, specjalnie odważni ani tym bardziej uczestniczyć w czynnym oporze przeciw złu. Ich rola polega przede wszystkim na oświełaniu nam rzeczywistości i dawaniu narzędzi jej rozpoznawania.

Jasne, mogą być waleczni i zaangażowani. Do „erazmian” należy choćby Jan Patočka, czechosłowacki filozof, zawsze niezależny, który pod koniec życia włączył się do działań opozycyjnej Karty 77. W tym gronie są też młodszy Václav Havel i Adam



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Aleksander Błok*

– Spokój i cisza w narodzie?
– Nie. Imperator zgładzony.
Ktoś tam o nowej swobodzie
Gardłuje na wszystkie strony.

– Wszyscy do zrywu gotowi?
– Nie. Kamienieją, czekają.
Ktoś kazał czekać tłumowi:
Chodzą i pieśni śpiewają.

– Kto zatem władzę dziś przejmie?
– Naród na władzę nie czeka.
Obywatelski duch drzemie:
Ponoć ktoś idzie z daleka.

– Kto zacz, pogromca nasz może?
– Ciemny, okrutny, złowrogi:
Mnich ujrzał go przy klasztorze
I oślepl z ogromnej trwogi.

On ku przepaściom ponurym
Ludzi jak stada gna łądem...
Goni żelaznym kosturem...
– Boże! Uchodźmy przed Sądem!
3 marca 1903

*Aleksander Błok - 1880-1921, wybitny rosyjski poeta, dramatopisarz i krytyk. Autor m.in. cyklu „Wiersze o Piękiej Damie”, dramatów lirycznych „Buda jarmarczna” i „Pieśń losu”, poematu „Dwunastu”. Wywarł duży wpływ na twórczość Pasternaka, Cwietajewej czy Achmatowej.

Wiersz za obszernym wyborem wierszy Błoka „Kroki Komandora”, który ukazał się w przekładzie i ze wstępem Zbigniewa Dmitrocy nakładem Wydawnictwa Ostrogi, Kraków 2023.

FOT. WIKIPEDIA

Michnik. Bo niezależnie od swych czynnych zaangażowań są owymi publicznymi intelektualistami, pielęgnującymi liberalne, erazmianie cnoty.

Dziś są one równie potrzebne jak kiedyś, choć obecna stawka jest nieporównywalna ze skalą zagrożeń niesionych przez dawne faszyzmy i komunizm oraz ich zbrodniczości. Te ideologie były masowe i mocarne. Jak notuje Dahrendorf, oferowały odnowienie wspólnotowych więzi, erodujących w nowoczesności, klarowną tożsamość, a komunizm dodatkowo jasną i nieuchronną przyszłość.

Natomiast obecna polska autokracja gnije od samego początku, i to na publicznym widoku. Nie obiecuje też przyszłości – skupia się na obronie mitycznej wyobrażonej przeszłości, nacjonalistycznej i jednolitonarodowej.

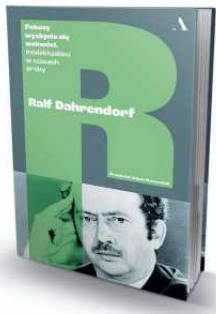
Ideologia PiS-u czy podobne nurty na Zachodzie, choć czerpią rozmaite elementy z faszyzmów i komunizmu, inaczej niż one nie są ekspansywne. Są ucieczkowe. Zarówno PiS, jak i pod tym względem bliżniacza Konfederacja, mówią nam: ponieważ nie zmienimy świata na swoją modłę, wyjdźmy z niego do naszych piwnic. Olbrzymia część publicznej perswazji tych ruchów skupia się więc na tym, jak owym piwnicom przydać powabu i dowieść, że są one bezpiecznym schronieniem przed rzeczywistością. To sedno obecnej rewolty przeciw demokracji, którą Dahren-

dorf, widząc jej początki, nazywał „nowym kontroświeceniem”.

Takie ideologie nie tworzą mocnych pokus dla intelektualistów poszukujących, jak niegdyś, sensu bądź sprawczości. Tym bardziej dziwi mnie grono, które przystąpiło bez zahamowań do polityki PiS-u bądź ją wspiera. Zwłaszcza że ci nasi współcześni znają przeszłość i wiele wiedzą o autorytarnych pokusach i zdradach wartości. Nierzadko sami doświadczyli ich skutków.

Nie da się więc przyznać im dobrodziejstwa nieświadomości, w co się wepchali. Dlatego, jak myślę, nie mają wyposażenia, by stać się w przyszłości „erazmianami”. ●

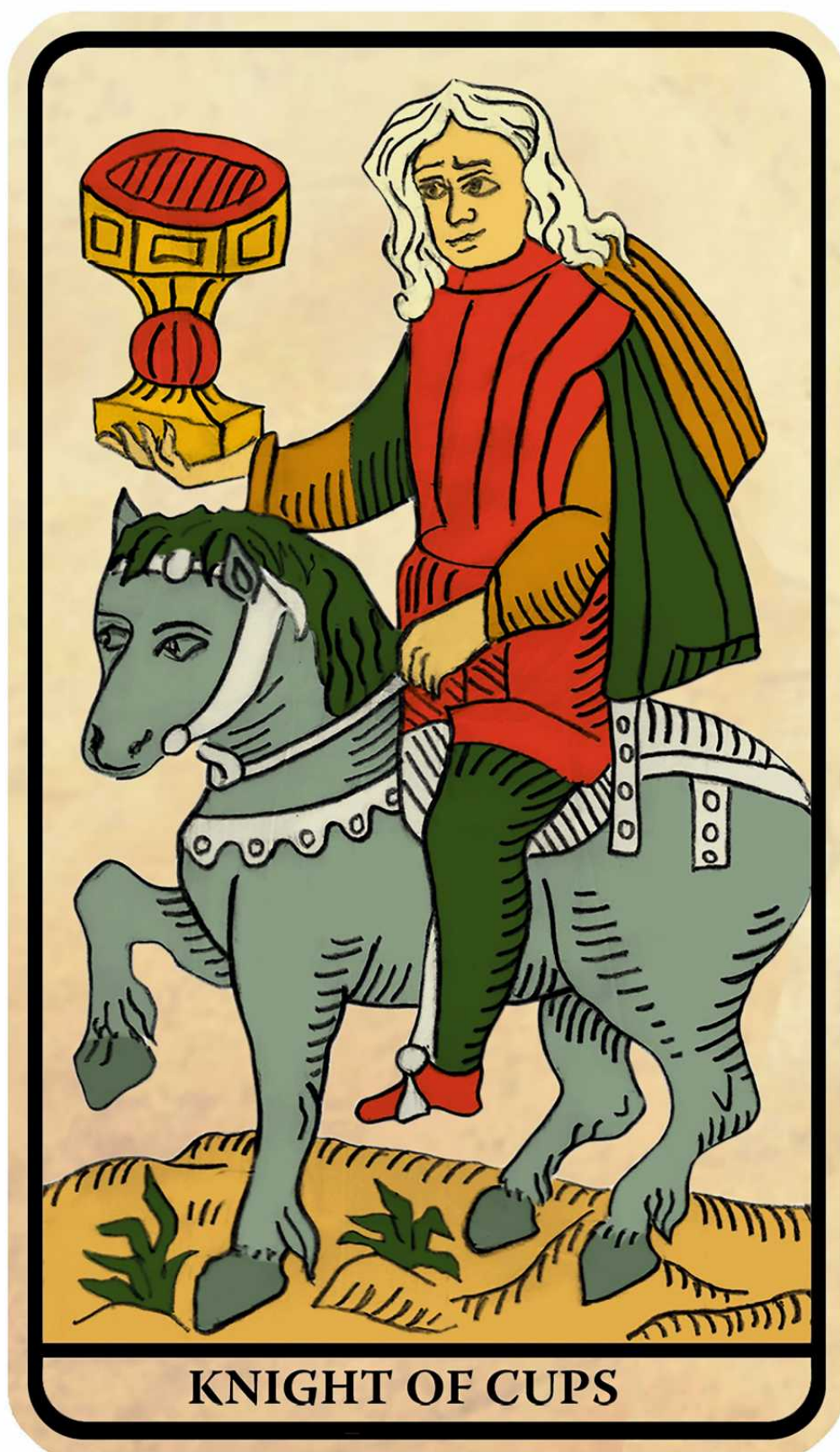
Ralf Dahrendorf, „Pokusy wyzbycia się wolności. Intelektualiści w czasach próby”, przeł. Adam Romaniuk, Wydawnictwo Agora 2022. Książka dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



NADJEŹDŹA KSIĄŻE PUCHARÓW

Filozofka polityki stawia tarota na wybory

Aleksandra Szyłto



FOT. SHUTTERSTOCK

nie tarot kojarzył się z jakimś ogłoszeniem z kolorowej prasy z lat 90.: wróżka, karty, poznasz przyszłość, a pod spodem krem na powiększenie biustu i koktajl na odchudzenie. Albo z kreskówką: stara wiedźma, karty, pajęczyny, kocur, zupa z jadu żmii. Błąd. Okazuje się, że tarota chętnie stawiają filozofki, naukowczynie z Warszawy.

TAROT PSYCHOANALITYCZNY

– Nie znam przyszłości i nie zajmuję się magią – zastrzega dr Ewa Majewska, filozofka i kulturoznawczyni, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego i SWPS, kuratorka wystaw, feministka i aktywistka społeczna. – Tarot to dla mnie forma rozmowy. Nie biorę za to pieniędzy, zazwyczaj dzieje się to w gronie przyjaciół i znajomych, choć zdarzało mi się też postawić karty obcej osobie. Dzisiaj wiele osób ma niezaspokojoną potrzebę bycia wysłuchanym. Bo nawet ni by spotykamy się, żeby porozmawiać, ale tu komuś dzwoni telefon, ktoś włącza Netflixa. A jak jest tarot, to przez ten czas, na przykład przez godzinę, skupiam się tylko i wyłącznie na tej osobie i jej sprawie. Karty pomagają w tym sensie, że są odnośnikami. I tworzą strukturę: z lewej jest przeszłość, tu teraźniejszość, po prawej przyszłość. W teraźniejszości ta karta jest dominantą, a potem jeszcze to, to i tamto. Ja tłumaczę symbole z karty, a druga osoba odnosi to do swojego życia, którego ja nie muszę znać, a na pewno nie znam tak dobrze, jak ona. To są intuicyjne skojarzenia. Często ujawnia się to, co było pochowane, nienazwane, albo nawet dobrze o tym wiedzieliśmy, ale sami przed sobą udawaliśmy, że nie wiemy. To jest czas, żeby zastanowić się nad tym momentem, w jakim osoba jest, nad danym aspektem życia.

Wśród moich najbliższych przyjaciół zajmujących się tarotem jest logiczka od estetyki, logik od Spinozy, kuratorka sztuki. Głównie filozofowie. Nie wiem, czy przypadek. Może ja akurat znam takie osoby. Moje zainteresowanie tarotem zaczęło się od czytania Itala Calvino. Ustawiał karty w prostokąty i pokazywał, jak za ich pomocą można opowiadać i interpretować sztuki Szekspira. Dla mnie karty to też ćwiczenie z opowiadania, w mojej pracy bardzo przydatne. Jako kuratorka wystaw opisuję dzieła sztuki, które też zawierają symbole, bywają abstrakcyjne. Muszę wysłuchać artystę, złapać jego intencję, a jednocześnie nie wejść z butami w jego życie. Potem za pomocą mojej opowieści wprowadzić w świat danego twórcy odbiorców. Tu bywają delikatne granice, między konkretem a wyuczaniem. Tarot moim zdaniem jest właśnie dobrym ćwiczeniem, gdzie mózg pracuje trochę inaczej niż na co dzień – podążamy za intuicją, skojarzeniami, jak w psychoanalizie.

NIE POCIESZAM

Czytając o tarocie, bo kolekcjonuję lektury na ten temat, zauważyłam, że polska wykładnia jest szczególnie ciężka. Jest różnica, czy powiesz komuś: „czuję kryzys”, czy na przykład „widzę niezaspokojoną potrzebę równości, może warto się temu przyjrzeć”. Z drugiej strony znam osobę, która moim zdaniem ma tendencję do interpretowania kart zbyt optymistycznie. Ktoś wychodzi po takim spotkaniu naładowany pozytywnym nastawieniem, ale czy dotarł do jakiejś prawdy o sobie? Ja wolę nie pocieszać. I na pewno nie czytam tarota w sposób deterministyczny: teraz już będzie tak albo tak, dobrze albo źle. Chodzi o zbadanie sytuacji, jaka jest obecnie, i zobaczenie, że są różne drogi wyjścia. Tarot pomaga też zauważyć zmianę. Byłam jakaś przez lata, ale może już taka nie jestem. Mam tendencję do przypinania latek, zarówno sobie, jak i innym. Ktoś poznał mnie dwadzieścia lat temu w określonej sytuacji, więc uważa, że Ewa to jest ta agresywna. A my przecież się zmieniamy, pracujemy nad sobą. Kobieta przyciągała przemocowych partnerów, ale to przecież nie musi determinować jej przyszłości. Może stało się coś ważnego i tamto to już przeszłość.

Najbardziej klasyczne rozstawienie to krzyż celtycki. Karty wybierane są losowo przez zainteresowaną osobę. Czy jest w tym jakaś „magia”? Czy każda karta równie dobrze może posłużyć, by odnieść się do tego konkretnego problemu, tej sytuacji życiowej? Nie wiem tego, to oczywiste. Faktem jest, że zdecydowana większość osób twierdzi, że sesja coś im pomogła dostrzec, przemysleć. Rzadko słyszę, że ktoś zupełnie nic w tym nie zobaczył. Mnie samej się tak zdarzyło. To taki moment, kiedy miałam trudny okres, więc stawiałam karty trzeci raz danego dnia, choć wiem, że to za często. Ale cisnęłam, niech mi się coś wreszcie wyjaśni. I wtedy karty układały się zupełnie bez sensu. Jakby mówiły: dość. I to też jest jakiś sygnał. Czasem trzeba odpuścić, dać czas. Podobnie jak nie chodzi się na trzy sesje do terapeuty jednego dnia.

Raz zdarzyła mi się taka sytuacja: siedzieliśmy ze znajomymi w kawiarni i już kilku osobom postawiłam tarota, nie bardzo więc miałam ochotę na więcej. Ale poszła do mnie obca młoda kobieta i w jakiś taki sympatyczny sposób powiedziała, że patrzyła na nas i czy mogłabym dla niej też. Zaczęłam więc wykladać karty i zrobiło mi się dziwnie, bo jedna po drugiej same najtrudniejsze. Zbierałam myśli i ta kobieta wtedy popatrzyła mi w twarz: „Zle wyszły? Proszę się nie bać, chcę usłyszeć”. I opowiedziała, że ma nowotwór mózgu i zastanawia się, jaką terapię podjąć, bo lekarze dali jej dwie do wyboru, tradycyjną i eksperymentalną. Starałam się po prostu rzetelnie i delikatnie zrelacjonować, co jest w kartach, a ona odnosiła to do swojej sytuacji. Rozważała terapię eksperymentalną nie dlatego, że obiecano jej dłuższe życie, bo takiej obietnicy nie dostała. Myślała o tym, żeby pomóc nauce i ewentualnie innym chorym w przyszłości, skoro dla niej medycyna teraz nie ma ratunku.

Nigdy później się nie spotkałyśmy, nie wiem, jaką podjęła decyzję.

zję i jakie są jej losy. A czy to przypadek, że ona wylosowała najcięższe karty? Poruszyło mnie bardzo, że ona była na rozmawianie o tym gotowa.

UWALNIA SIĘ SZLOCH

Kiedy tarot się nie udaje, to często dlatego, że ktoś nie ma w sobie otwartości, żeby dopuścić do siebie jakąś prawdę. Szczytem był mężczyzna, który zaczął mi przedstawiać karty, bo uważał, że tak będzie lepiej. Powiedziałam: „Słuchaj, nie ma problemu, możesz się nimi pobawić, tylko w takim razie sam”.

Są też osoby, które chcą tarota i jednocześnie bardzo się boją. Krążą czasami tak miesiącami: „A mogłabyś mi? Teraz? Oj nie, teraz to nie, ja jeszcze przemyszę / późno już / następnym razem”. Bo zazwyczaj, jeśli ktoś przychodzi na tarota, to ma kryzys, dylemat. Albo taką sytuację pozornie piękną: spotykam się z kimś od dwóch tygodni i jest cudownie! A w tle: ale czy jest szansa, że to coś innego niż te wszystkie poprzednie związki, które kończyły się cierpieniem? I może trzeba by się przyjrzeć, czy ta osoba jest gotowa, żeby tym razem budować inaczej, a to już niekoniecznie jest proste.

Wiem, że tarot może kojarzyć się z sytuacjami ekstremalnymi: zaginęło nam dziecko, pójdźmy do wróżki sprawdzić, czy ono żyje. Ja na takie pytanie nie odpowiem. W takich okolicznościach spróbowałabym pomóc tym rodzicom posłuchać, jak oni się czują i na czym mogą się oprzeć, żeby się nie rozpaść. Mało czy dużo?

Takiej sytuacji na szczęście nie miałam. Zdarza się jednak, że podczas sesji tarota z człowieka uwalnia się szloch, taki pełny, niekontrolowany. To mi mówi o tym, że ludzie wokół nas noszą w sobie przeżycia, emocje, z którymi się nie zmierzili, czasami poupychali je głęboko. W rozmawianiu pomaga mi system porozumienia bez przemocy, którego od lat się uczę i jestem jego orędowniczką.

KARTY SALVADORA DALEGO

Tarot istnieje od renesansu. Mo-da na niego przymierała i wracała. Autorską talię namalował Salvador Dali sto lat temu, dzisiaj znowu jest powrót. Dlaczego? Można mówić, że czasy kryzysu i niepewności. Że społeczeństwo pozbawione zostało tradycyjnych rytuałów, chociażby religijnych, które spełniały pewne potrzeby. Warto jednak, poza tym, co straciliśmy, popatrzeć na to, co zyskujemy. Żyjemy w czasach, kiedy coraz większą wartość widzimy w rozmowie, byciu wysłuchanym, dawaniu i przyjmowaniu empatii. Tarot jest tego częścią – tłumaczy moja rozmówczyni.

A we mnie podczas rozmowy narasta lekki stres. Ewa Majewska obiecała, że postawi mi karty, żeby pokazać, o czym mówimy. Wymyślam w głowie strategię ucieczki. Kombinuję pytanie daleko ode mnie – sprawdzę, czy tarot działa, a sama postoję sobie bezpiecznie z boku, myślę. Ona wyklada jednak pierwszą kartę, nie czekając, że zwerbalizuję pytanie. Więc karta już jest. I jest jasne, że bez ogródek symbolizu-

je to, o czym jest teraz moje życie. Przypadek?

WIELKIE ARKANA POMAGAJĄ W ROZMOWIE

Agata Czarnacka, filozofka polityki, tłumaczka, działaczka feministyczna i publicystka: – Tarota zaczynałam ustawiać dla siebie. Miałam kiedyś taką sytuację, że zależało mi bardzo, żeby bliska osoba mnie zrozumiała, a nie miałam słów. W mojej opowieści użyłam archetypów Wielkich Arkanów tarota. Trwało to długo, pisałam rok, coś jak dziennik. Karty pomogły mi wyrazić to, czego inaczej nie byłam w stanie wysłowić.

Wielkie Arkana to dwadzieścia dwie najważniejsze karty z talii, ogółem wszystkich jest siedemdziesiąt osiem. Te najważniejsze układają się w drogę życia człowieka, od etapu Głupiec do ostat-

Przychodzą też pary – z pytaniem, czym nam wyjdzie. Tarot nie powie przyszłości, ale może ostrzec przed czymś albo zachęcić do czegoś. Chodzi o to, co jest w nas i ujawnia się w rozmowie

niego – Świat. Zamykają się jednak w kole, więc taki cykl może się też powtarzać. Posługuję się kartami na różne sposoby. Przez kilka lat stawiałam tarota w kawiarni Kulturalna, obecnie jestem na finiszu załatwiania nowego miejsca. Ludzie najczęściej przychodzą z konkretnym problemem: ktoś czuje się wypalony albo ma trudności w relacji. Ale też wtedy, kiedy mają potrzebę opowiedzieć sobie na nowo – przyrzec się, gdzie są, na jakim etapie, co jest teraz dla nich najważniejsze. Archetypami posługiwał się m.in. Carl Jung w psychoanalizie i ja czerpię z tej tradycji.

Przychodzą też pary – z pytaniem, czy nam wyjdzie. Tarot nie powie przyszłości, ale może ostrzec przed czymś albo zachęcić do czegoś. Chodzi o to, co jest w nas i ujawnia się w rozmowie. Już samo sformułowanie pytania ma znaczenie. Jeśli ktoś chce się dowiedzieć z kart, czy ma brać ten kredyt albo ten ślub – to coś znaczy, prawda?

Uważam, że ważne jest, żeby osoba stawiająca tarota miała za sobą już pewne doświadczenie życiowe. Wtedy różne sytuacje nie są dla niej abstrakcyjne, teoretyczne. Takiej osobie łatwiej też unikać prostych, jednoznacznych interpretacji. Podam przykład. Stawiałam karty bliskiej mi osobie, chorej onkologicznie, przed operacją. „Wieża”. Najprostsza interpretacja byłaby: zawali się, czyli źle. Okazało się, że ta osoba pojechała do szpitala i faktycznie wszystko się zawaliło, tylko zupełnie inaczej: bardzo inwa-

zyjna operacja okazała się niepotrzebna.

Czy są osoby, którym trudno stawia się tarota? Są tacy, którzy przychodzą po potwierdzenie, że są ekstra. Są też tacy, które przychodzą znowu i znowu, ale nie słuchają, co im mówią karty. Tarot daje diagnozę, ja chętnie pomogę ją zinterpretować, ale człowiek sam musi ewentualnie zdecydować się na zmianę i wprowadzać ją w życie. Samo chodzenie na tarota nic nie zmienia.

Przeważnie przychodzą kobiety, choć nie tylko. Ale z moich obserwacji wynika, że to one częściej są gotowe wziąć odpowiedzialność za zmianę. Przychodzą młodzi i starzy, głównie ze środowisk twórczych, ale to wynika zapewne z tego, że takie jest moje otoczenie. Często przychodzą osoby po lub w trakcie terapii. Ona rozkłada się w czasie, a mają potrzebę takiego skondensowanego spojrzenia – mówi Agata Czarnacka.

RYCERZ NA BIAŁYM KONIU

Zgodnie z zaleceniami tarocistek nie ma co przesadzać i nie będę tego samego dnia ponownie tasowała kart dla siebie. Pytam, czy możemy postawić tarota dla Polski. Na wybory. Okazuje się, że jak najbardziej.

Pierwsza karta oznacza podmiot, czyli kto pyta. Ustalamy, że podmiotem będziemy my, czytelnicy „Gazety Wyborczej”. Karta wyłożona w tym polu nosi nazwę Umiarkowanie. Agata Czarnacka: – Oznacza rozwój osobisty i duchowy, wewnętrzną równowagę. To dobry znak, świadczy o tym, że może już mniej niż kiedyś boimy się sprzeczności? Zaczynamy rozumieć niuanse szarości. W cyklu archetypów Wielkich Arkan to karta po kryzysie wieku średniego, czyli podmiot sprzedał już to czerwone ferrari.

Karta z lewej oznacza przeszłość: losuje się Król Pucharów. Agata Czarnacka: – Król Pucharów niczego sobie nie odmawia, ma potrzebę permanentnego świętowania. Może chodzi o łatwe rozdawnictwo?

A ktoś inny nie mógłby tego zinterpretować jako symbol bogatych elit III RP? Ktoś, kogo na przykład raziły ośmiorniczki? – dopytuje.

Cóż, tarocistka ma swoje poglądy. Ja te karty czytam tak. Ktoś inny może zapewne inaczej.

Idziemy dalej. Karta u góry to wydarzenie: w tym wypadku wybory 15 października. Los daje kartę zatytułowaną Gwiazda. Agata Czarnacka: – Oznacza nadzieję. Także tolerancję, walkę z uprzedzeniami. W cyklu archetypów Wielkich Arkan to już jest głęboka dojrzałość.

Czwarta karta jest najważniejsza – oznacza wynik. Tu los daje Rycerza Pucharów. Agata Czarnacka: – To taki rycerz na białym koniu, marzenie dziewczycy. Cóż, nazwiska tarot nie poda. Ważne, żebyśmy zwrócili uwagę, że on jest w hierarchii znacznie młodszy od Króla Pucharów, czyli tego z przeszłości. W hierarchii jest Król, potem Królowa, a niżej Rycerz. Kimkolwiek on więc będzie, warto patrzeć mu uważnie na ręce i go pilnować. Bo młody jest... ●

PO PRAWDZIE

Wszystkie bitwy Tuska



Najciekawsze jest nie to, z kim wygrywa, ale z kim przegrywa.

Agnieszka Kublik

Od kiedy latem 2021 r. Donald Tusk wrócił do polskiej polityki „na 100 procent”, toczy bitwy. Przegrane i wygrane. Najciekawsze jest, z kim przegrywa.

Bitwę o jedną listę Tusk przegrał, choć to najlepsza strategia na pokonanie PiS. W naszym systemie przeliczania głosów na mandaty premiowani są ci, którzy potrafią się zjednoczyć. Kaczyński to wie i jednoczy się ze swoimi wrogami na prawicy. Tusk to wie i nie był w stanie przekonać do tego kolegów na opozycji.

Bo ci kwestionują jego przywództwo. Szymon Hołownia starał się zrobić z Tuska starego zgreda, działersa po prostu, ale to Tusk dziś kipi entuzjazmem na wyborczych wiecach, tryska dowcipem i pokazuje, że w wyborczej bitwie jest niezmordowany (także po prostu fizycznie).

Lecz liderzy pozostałych partii opozycji to kwestionują, choć w sondażach przeprowadzanych przez różne firmy i na zlecenie mediów od prawa do lewa to Tusk jest najczęściej wskazywany jako wódz całej opozycji demokratycznej.

Więc Tusk przegrał bitwę z partyjnymi szefami, ale wygrał bitwę o elektorat. W każdym badaniu znakomita większość sympatyków KO, Lewicy, PL 2050 i PSL opowiadała się za wspólną listą. Jeśli nie powstała, to dlatego, że wbrew własnemu wyborcom nie chcieli jej liderzy.

W naszym sondażu obywatelskim to dokładnie pokazaliśmy. Wśród wyborców KO aż 99 proc. chciało jednej listy, PSL – 98 proc., PL 2050 – 87 proc., Lewicy – 69 proc. Średnio wśród zwolenników opozycji demokratycznej akceptacja wspólnej listy była 91-procentowa. To znaczy, że szefowie PSL i PL 2050 obalili wspólną listę wbrew swoim zwolennikom. Których lepiej rozumiał Tusk.

Tusk wygrał też bitwę o marsze. Ten 4 czerwca to był niespodziewany sukces – pół miliona na antyrządowym proteście w Warszawie. Odnioł zwycięstwo 1 października – niemal milion przyjechał do stolicy na zaproszenie szefa PO. Tłumy chciały w tych dniach świętować wraz z Tuskiem nadzieję na pokonanie PiS.

Ale liderzy z Tuskiem, przynajmniej nie wszyscy (bo ci, którzy tam byli, Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń, pokazali klasę), nie chcieli stanąć. Bo w jego cieniu? Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz woleli być „w Polsce”, choć ta Polska akurat tego dnia była w Warszawie na zaproszenie Tuska i na Marszu Miliona Serc chwaliła się, z jakich to miast, miasteczek i wsi pielgrzymuje.

A Tuska czeka kolejna bitwa, najbardziej paradoksalna, bo nie o dominację, tylko o współpracę.

Jeśli opozycja wygra wybory, to będzie sukces w dużej mierze Tuska – jego wiecowe wystąpienia z ostatnich tygodni należą do najlepszych mów kampanijnych. Szef PO nie ma tu sobie równych. Ale po wyborach Tusk będzie musiał przekonać liderów reszty opozycji, że choć jego partia jest najsilniejsza, to wsłucha się w innych, by zaspokoić ich ego i partyjne interesy.

Co będzie niebotycznie trudne, bo te są czasami sprzeczne, jak się dopiero co przekonaliśmy. ●

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów nie-zamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imieliński, Aleksandra Soberzak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTODYSCJA: Dorota Nowacka
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

CO MNIE URZEKŁO

Domy na saniach

FOT. AUTOR

Jechaliśmy na Syberię zobaczyć sektę Kościoła Ostatniego Testamentu, której twórca ogłosił się wcieleniem Jezusa.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

W czasach, kiedy jeszcze wizyta w Rosji nie powodowała wątpliwości moralnych, ten ogromny kraj był niekończącym się zasobem ciekawostek dla turystów gotowych do poszperania po miejscach nieoczywistych. Trzeba było tylko zjechać z głównych tras na prowincjonalne drogi uczęszczane tylko przez autochtonów, którzy żyją swoim lokalnym rytmem z dala od emocji nakręcanych przez moskiewskich polityków.

Kopalnią niespodzianek są niezmiernie przestrzenie Syberii obejmujące kilka stref klimatycznych, kilkanaście stref czasowych i kilkadziesiąt kultur wywodzących się z pradawnych tradycji adaptacji do skrajnie różnych środowisk naturalnych. Do trzech do nich można wygodnie rozgałęzioną siecią kolei transsyberyjskiej, która zapewnia niezwykle przeżycia krajoobrazowe.

Tak właśnie dotarliśmy z Krasnojarska do Kuragino, skąd przed świtem wsiedliśmy w zdezelowany autobus jadący do wsi Pietropawłowska położonej w tajdze nad rzeką Kazyr, która z Tubą tworzy prawy dopływ Jeniseju. Naszym celem było zobaczenie sekty Kościoła Ostatniego Testamentu, która rosła w siłę aż do aresztowania we wrześniu 2020 r. jej twórcy Siergieja Anatoljewicza Toropa, który ogłosił się wcieleniem Jezusa.

Tych, którzy widzą w nim Mesjasza, nazywa się w skrócie wissarionowcami, bo ich nauczyciel przybrał imię „Vissarion”, czyli „Dający życie”.

Ci, którzy nie dostąpili zaszczytu zamieszkania z nim w wyrąbanym w tajdzie Mieście Słońca, osiedlali się w okolicznych wioskach, tworząc międzynarodową wspólnotę kierowaną utopijnym marzeniem o samowystarczalności uniezależniającej od opresyjnego państwa i od całego zła świata. Mają swoje przedszkola, szkoły, domy kultury i oczywiście świątynie, w których się spotykają codziennie o świcie. Nie piją, nie palą, uprawiają ziemię i wzajemnie sobie we wszystkim pomagają. W codziennym życiu kierują się wskazówkami Vissariona, który autorytatywnie rozstrzygał wszelkie wątpliwości – nie tylko moralno-etyczne, ale też praktyczne.

Udział w tej utopijnej „sielance”, która ściągnęła w głąb Syberii kilka (naście) tysięcy przybyszów z różnych krajów, wymagał od nich zorganizowania sobie życia od podstaw, w tym przede wszystkim zdobycia mieszkania, które na samym początku zapewniają współwyznawcy. Ci, których nie stać było na odkupienie gotowego domu z powodu cen windowanych przez napływ imigrantów, musieli zadowolić się tańszym rozwiązaniem, obstawiając dach nad głową u lokalnego cieśli.

I tu tkwi urzekająca niespodzianka, bo realizacja takiego zamówienia wygląda bardzo nietypowo. Na ogół standardem przecież jest, że ekipa budowlana wkracza na działkę, na której pracuje aż do zakończenia budowy. Tamtejsi cieśle wymyślili jednak o wiele wygodniejszy dla nich sposób budowy. Drewniane domy konstruują bowiem wprost przed swoimi własnymi

domami, stawiając je na ogromnych płozach zbitych z całych pni. Dzięki temu pracują u siebie, jak rzemieślnicy, którzy schodzą do przydomowych warsztatów. Nie trzeba się o nich rozpytywać, bo można ich łatwo zlokalizować po wielkich saniach, które leżą przed ich gospodarstwami, czekając na następny obstalunek.

Pracę muszą zakończyć przed zimą, która zmrozi ziemię i pokryje ją grubą warstwą śniegu. Wtedy ciężki ciągnik gąsienicowy przeciąga sanie ze stojącym na nich domem na działkę jego właściciela, gdzie całą konstrukcję ustawia się na przygotowanym wcześniej fundamencie. Wszyscy są zadowoleni. Zamawiający unika u siebie długiej obecności obcych ludzi i bałaganu, jaki powodują. Budownicy zaś pracują właściwie w domu, poświęcając robocie więcej czasu, którego nie traci na dojazdy.

Ten pomysł ma swoje oczywiste ograniczenia. Ciężar i wielkość tak budowanego domu muszą być starannie oszacowane, aby sprostać wymaganiom logistycznym. Konieczność przeciągnięcia domu sprawia bowiem, że nie może być ani zbyt obszerny, ani zbyt wysoki. W dzisiejszych czasach, kiedy wymagania mieszkaniowe bardzo się zwiększyły, takie domki budowane na zrąb z tradycyjnych okraglaków uszczelnionych mchem albo z obrobionej maszynowo w kwadrat kantówki oferują tylko tymczasowe rozwiązanie podstawowych potrzeb lub służą do szybkiego powiększenia już istniejącej powierzchni mieszkalnej.

Mając takie lokum, ci bogatsi mogą spokojnie zrealizować swoje fantazje architektoniczne, ograniczone tylko przez właściwości drewnianego budulca i umiejętności mistrza ciesielskiego. Toteż Pietropawłowska pełna jest niezwykłych projektów, którymi ich mieszkańcy sygnalizują swoje pochodzenie.

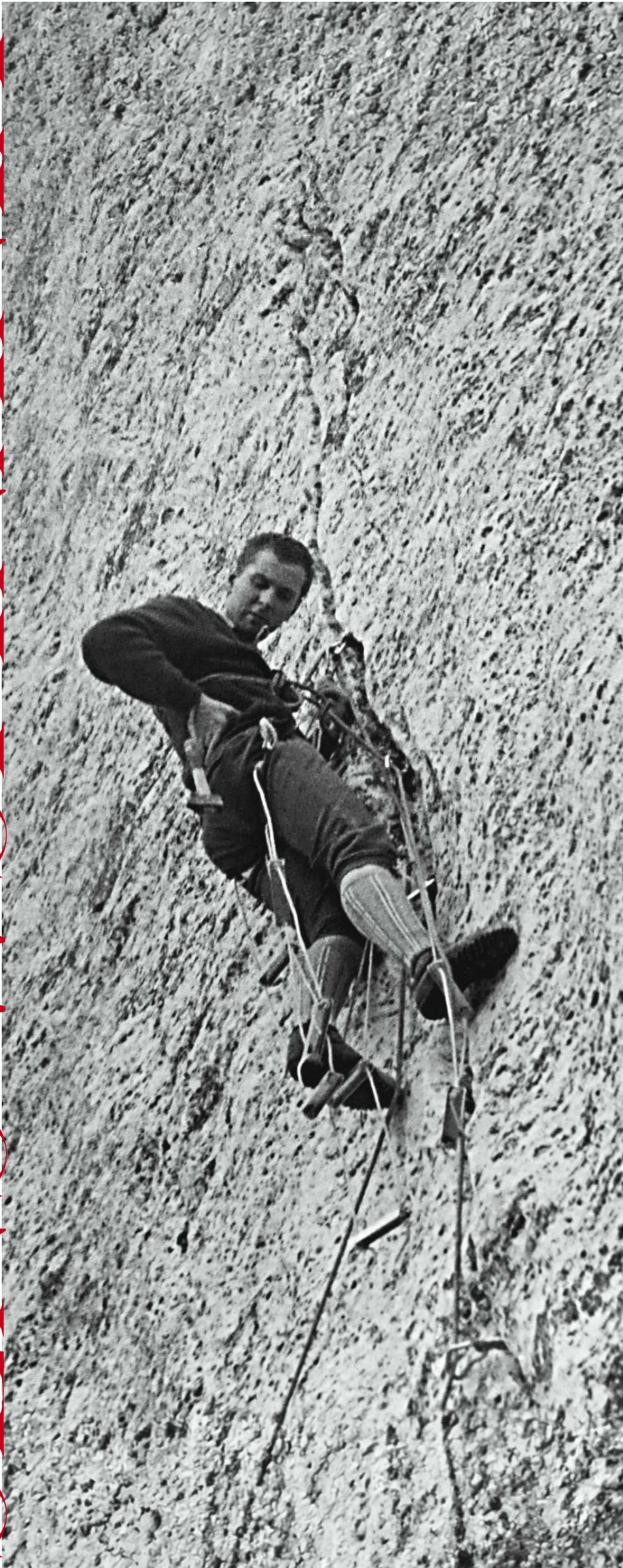
My zamieszkaliśmy przy ulicy Zielonej w niemieckim domu. Postawiła go zamieszkująca w Niemczech wyznawczyni nauk Vissariona, która zamierzała w nim zamieszkać po przejściu na emeryturę. Przypomina on trochę tyrolski pałacyk my-

śliwski, odzwierciedlając jej wyobrażenie o wiejskim luksusie. Niedaleko, przy ulicy Kolchoznej, znajdziemy dom-pagodę, zbudowany przez japońską zwolenniczkę nauk syberyjskiego Mesjasza. Na przeciwnym krańcu wsi, na końcu ulicy Sosnowej, emerytowany kapitan zmanifestował swoją obecność, budując imponujący dom-żaglowiec.

Ta mieszanina tradycyjnej i wyzywającej kulturowo architektury mieszkalnej tworzy krajobraz absolutnie unikatowy, nie tylko w skali ogromnej wszech Syberii. Niestety, dzisiaj można o tym wszystkim pisać tylko w czasie przeszłym. Nie ma dostępnego nie-Rosjanom sposobu sprawdzenia, czy te realia kulturowe są wciąż jeszcze aktualne, ale można przypuszczać, że w otoczonych przez tajgę wioskach wiele się nie zmieniło. Ludzie pewnie wciąż są przyjaźnie nastawieni do przybyszów, dawne tradycje są kontynuowane, a nowe wtręty są skutecznie akomodowane. Tak jak dom-żaglowiec widoczny wciąż na zdjęciach satelitarnych. ●



FOT. ARCHIWUM JANUSZA KURCZABA



• Rok 1961, Janusz Kurczab pokonuje „Drogę przez Pajaka” na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej

Jest w wysiłku, krakersiku i herbacie

Wojciech Fusek

Mistrz Polski w szermierce, olimpijczyk, alpinista, lider himalajskich wypraw – Janusz Kurczab. Obok Jerzego Wojnara jedyny Polak odznaczony złotym medalem „Za Wybitne Osiągnięcia Sportowe”. Autor książek, redaktor naczelny „Taternika”. Czemu podczas pisania biografii tak wyjątkowego człowieka o niezwykłym życiorysie trzeba wpi­erw przypomnieć, kim był, nim się opowie, jaki był?

Schodzę, przyświeca­jąc latarką. Stęchli­zna piwnicz­nego korytarza w bloku na praskim Targówku atakuje noz­drza. Okienka zabite gwoździ­ami i zasłonięte dyktą bronią domu przed szukają­cymi schro­nienia kotami. Wymacany za załomem kontakt daje słabe światło. Wystarczy jednak, by odna­leźć drzwi z numerem 13. W komórce pudeł po sufit. Zestawiam pierwsze. W środku teczki pełne wycinków z gazet, w innym zniszczone skórzane zimowe buty górskie na startym wibra­mie. W kolejnym zdjęcia i slajdy oraz zapisa­ne maczkiem zeszyty. Bagażnik auta z trudem mieści wszystko, co po pobieżnej selekcji za­bieram.

W mieszkaniu pokój zawałam pudełkami tak, że z trudem przeciskam się do biurka. Je­denaście metrów kwadratowych zastawio­ne pamiątkami po jednym z bardziej niezwy­kłych polskich sportowców. Siedemdziesiąt sie­dem lat życia zamknięte w kartonach uratowa­nych przed wilgocią, kurzem i przede wszyst­kim przed zapomnieniem. Przynajmniej taką mam nieskromną nadzieję, gdy siadam do pi­san­ia biografii Janusza Kurczaba.

W kolejnych miesiącach dzień po dniu z Jurkiem Porębskim czytamy uważnie wywia­dy. Kurczab udzielił ich kilkudziesięciu. Trze­ba być czujnym. Czasem w krótkiej rozmo­wie przeprowadzonej na kanwie szermiercze­go turnieju czy wyprawy w Himalaje znajduję ważniejsze dla zrozumienia naszego bohatera zdanie niż w jednym z okolicznościowych wie­lostronicowych wywiadów o karierze wspina­cza i działacza.

„W życiu nie można jednak zdobyć wszyst­kiego. Trzeba wybierać. Ważne jest to, aby wy­bór był świadomy” – mówił w grudniu 1977 ro­ku w rozmowie z Januszem Pacem, dziennika­rzem „Trybuny Ludu”, głównego organu Pol­skiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zaskaku­jące słowa, bo jego całe życie świadczyło o tym, że starał się nie wybierać. Łączył (bez powodze­nia) sport ze studiami i (skutecznie) szermierkę ze wspinaczką, wspinanie z pisaniem.

Jedyny radykalny wybór, jakiego dokonał, to ten między górami a tzw. zwykłym życiem. Na rzecz tych pierwszych, bo przekonywał: „Ci, którzy porzucili góry, chcąc mieć inne wybit­ne osiągnięcia, też wiele stracili, może nawet więcej niż my”. Mówił to, patrząc na swoje ży­cie z perspektywy 40-lotka, który musiał już wi­dzieć kres wielu pasji, jakim się poświęcił.

Czytam po raz kolejny jego książki, które w latach młodości rozbudzały moją fascynację górami: „Filar Kazalnicy”, „Shispare. Góra wysniona”, „Ostatnia bariera”. Tym razem jednak szukam tego, o czym tam nie wspomniał. Na przykład o zamieszaniu wokół zmagania dwóch zespołów w masywie Kazalnicy w 1962 roku, o nastawieniu jego i kolegów do komunistycznego wtedy państwa, o źródłach finansowania wypraw.

Zwracam też uwagę na język, frazę. Z książ­ki na książkę widzę coraz większą spraw­ność w operowaniu słowem, ale nie znajdu­ję fragmentów, w których Kurczab odwoływał­by się do swojego sportowego doświadczenia. A przecież jak żaden inny wspinacz z tamtych lat mógł o sobie powiedzieć, że jest olimpijczy­kiem, wie, co to regularny trening, doping kibi­ców, presja wyniku. Mógłby to skonfrontować z doświadczeniem wspinaczkowym, w którym

występuje napięcie między tymi, którzy taternictwo uznają za sport, a wieloma, dla których jest ono co najmniej „nadsportem” (określenie Jana Alfreda Szczepańskiego), a czasem stylem, wyborem drogi życia albo wręcz quasi-religią.

Z Jurkiem Porębskim przesłuchujemy po kilka razy nagrania naszych rozmów z osobami, które „Jano” – taki miał górski pseudonim – znały. Paradoks polega na tym, że z jednej strony im więcej tych rozmów, tym bohater staje się pełniejszy, ale z drugiej ten kontakt z bliskimi zniekształca perspektywę, wygląda opisywaną postać i grozi zmienieniem biografii w hagiografię.

Listy, których w pudłach było kilkadziesiąt, bywają prawdziwymi łamigłówkami. Autorzy odwołują się do wspólnych, z przeszłych rozmów, przygód, zwad. Kodują je równoważnikami zdań, pseudonimami osób odgrywających we wspomnianych incydentach kluczowe role.

W kilku wypadkach nawet po wnikliwej analizie nie opuszcza nas wątpliwość, czy nasze odczytanie treści nie jest błędne. Co wtedy? Opuścić, podzielić się z czytelnikiem wątpliwościami czy może zawierzyć intuicji i pozostawić bez komentarza?

Intymność niektórych fraz, tematów sprawia, że odkładamy list mieszaną naszą wścibskością. Rozdarci między prawdą a prawem do prywatności opisywanej osoby. A może między pragnieniem napisania ciekawej książki a poczuciem smaku?

Ale skoro zostawił te listy, posegregował, nie zobowiązał, śladem Kafki, jakiegoś własnego Maxa Broda do wypełnienia testamentu, to musiał być gotowy na odkrycie tajemnic. Racjonalizujemy sobie problem.

Z drugiej strony im dokładniej poznawaliśmy Kurczabę, tym czytelniejsza stawała się jego filozofia życiowa, w której pogoń za popularnością, jaką daje sport uprawiany na mistrzowskim poziomie, zdawała się ostatnia na liście motywacji. A może nawet przez moment nie pomyślał, że ktoś będzie chciał opisać jego życie?

Wszak sam nie usiadł do spisania wspomnień, a wielu jego kolegów, często dużo mniej utalentowanych literacko, z nieporównywaną mniejszą liczbą sukcesów czy przygód, zrobiło to bez skrępowania, za pretekst biorąc wejście na jedną lub drugą górę i poza tym wysiłkiem nie mając nic więcej do powiedzenia.

Po miesiącach pracy Janusz, którego niegdyś poznałem osobiście, wzbudzał mój coraz większy podziw. I robiło mi się trochę wstyd, że gdy mieliśmy jeszcze okazję do rozmów, nie doceniałem tego, z jaką wyjątkową osobą mogłem się spotkać.

Ale też z każdym dniem coraz mocniej wracało do mnie pytanie o to, co sprawiło, że ten wszechstronnie utalentowany człowiek z długą listą sukcesów nie jest tak popularny jak wielu jego kolegów. A wspinał się z tymi najwybitniejszymi, liderował przełomowym wyprawom w góry najwyższe i animował jeden z ciekawszych tatrzańskich kręgów towarzyskich lat 70., tzw. klawą wiarę, grupę największych sybarytów w gronie wspinaczy i najlepszych wspinaczy wśród sybarytów.

Był nie tylko instruktorem wspinania, ale też jednym z pierwszych w Polsce dyplomowanych trenerów alpinizmu, członkiem wielu ważnych komisji Polskiego Związku Alpinizmu. Równolegle szermierz, olimpijczyk z Rzymu, wielokrotny mistrz Polski w szpadzie, drużynowo i indywidualnie. Wszystko w latach 60. i 70., gdy ten sport należał do najpopularniejszych w kraju.

I jeszcze pisarz, dziennikarz, naczelny jednego z najstarszych polskich czasopism, ponadstuletniego dziś „Taternika”. Wybitny znawca topografii pasm górskich od Tatr po Himalaje. Wielki miłośnik Włoch, o wiedzy wykraczającej daleko poza hobbyistyczne zainteresowanie krajem.

Tymczasem pobieżna kwerenda po indeksach w polskich książkach górskich pokazuje, że w wielu nazwisko Kurczab pojawia się incydentalnie. Czy można uczciwie opisać historię polskiego taternictwa, nie

wspominając wielokrotnie o dokonaniach „Jano”? Czemu dziś pamiętają go tylko nieliczni żyjący jeszcze znajomi i przyjaciele?

Jego książki lub przewodniki można znaleźć na półkach historyków sportu, zagrzałych czytelników górskiej literatury i bibliofilów, ale w panteonie polskich himalaistów jest schowany głęboko w cieniu Jerzego Kukuczki, Wandy Rutkiewicz, Wojciecha Kurtyki, Macieja Berbeki i Leszka Cichego. A przecież z nimi się wspinał, wielu uczył wspinaczki, kierował wyprawami, na które sam ich powoływał. I choć uznawany za najwybitniejszego obok Andrzeja Zawady kierownika narodowych ekspedycji, nie był nawet w połowie tak znany jak popularny „Lider”.

Na początku lat 70. na zebrania Klubu Wysokogórskiego w czwartek na Jezuickiej przychodziło mnóstwo ludzi, ale wyróżniało się dwóch. Wokół nich skupiała się uwaga.

Andrzej Zawada w żeglarskiej granatowej marynarce i Kurczab z bujną grzywą, póki włos mu się nie przerzedzi, często w spodniach na szelki, trochę w poprzek modowych trendów, ale stylowo ubrany. Normalnie ze sobą rozmawiali. Ale wystarczyło mieć odrobinę wrażliwości czy – jak to

łózkach, dożywszy starości. Obu zabił rak. I tu podobieństwa się kończą.

Zawada cały na zewnątrz, narcystyczny aktor. Lubił narzucać zdanie, starał się dominować. Zawsze mówił: „ja byłem”, „ja zrobiłem”, „ja ci mówię”.

U „Jano” była dyktatura demokracji. Dyskusje, głosowania typujące kolejność dwójek atakujących szczyt. Bardzo rzadko, gdy sytuacja była krytyczna, Kurczab starał się mocnym słowem zbudować dystans, ustawić hierarchię. Zwykle ustępował, próbował negocjować. Dawał szanse wszystkim, dla niego akt wspinania był najważniejszy, ważniejszy niż szczyt.

Był lepszym od Zawady wspinaczem, o ambitniejszym wykazie przejść. Zawada musiał polegać na wykazach przejść, opiniach innych, gdy dobierał skład, choć oczywiście kierował się też przydatnością danego wspinacza.

Kurczab dzięki temu, że z wieloma się wspinał, znał umiejętności kolegów. Spokojny, przewidywalny, opierał decyzje na analizie, dokładnie rozpisывał role, wiedział, kto w którym jest obozie, kiedy pójdzie. To porządkowało wyprawę, choć podobno pozbawiało ludzi inicjatywy.

Czemu więc to Zawada uchodzi za „pierwszego”?

Widział we wspinaczcze dużo więcej niż nadęty balon narodowej tromtadracji. Niż wymachiwanie biało-czerwoną po zdobyciu szczytu.

Ile można jechać na tych zastrzykach z nacjonalistycznej adrenaliny, tych relacjach pełnych patosu?

Jego książki można znaleźć na półkach historyków sportu, ale w panteonie polskich himalaistów jest schowany głęboko w cieniu Jerzego Kukuczki, Wandy Rutkiewicz, Wojciecha Kurtyki, Macieja Berbeki, Leszka Cichego.

Aprzecież z nimi się wspinał, wielu uczył wspinaczki, kierował wyprawami, na które sam ich powoływał

się dziś mówi – inteligencji emocjonalnej, by wyczuć lekkie napięcie.

– Formalna relacja „Jano” z Zawadą była w porządku, ani razu się nie pobili – żartuje profesor Andrzej Paczkowski, oprócz tego, że wybitny historyk, to jeszcze doświadczony alpinista i wieloletni prezes PZA.

„Byli różni, jak to tylko możliwe” – tak zaczyna prawie każdy, kogo pytamy o ten konflikt.

Różni, a tak wiele w ich życiorysach podobieństw, tych znaczących i tych anegdotycznych. Obaj wychowali się bez ojca, w otoczeniu kobiet. I obaj mieli wianuszek adoratorek i fanek, choć ich relacji z kobietami porównać się nie da. Byli towarzyscy i cenili sobie klimat górskich spotkań.

Obu los związał mocniej lub słabiej z Jelenią Górą. Obaj zaczęli przygodę ze sportem od innych niż wspinanie dyscyplin – Zawada był szybownikiem i skoczkiem spadochronowym.

Obaj lubili motoryzację. Obaj przez lata mieszkali na stołecznej Pradze. Inteligentni, obdarzeni poczuciem humoru, umysły ścisłe, ale studiów nie ukończyli. Dopiero trenerskie na AWF w Krakowie.

Obaj kulturalni. Słowo „kurwa” z charakterystycznym reraniem pojawiało się w ustach Zawady sporadycznie. „Jano” też kłął jedynie w wyjątkowych momentach najwyższego wzburzenia.

Co nie bez znaczenia, obu szkolili na kursach taternickich „Palant”, czyli Jan Długosz, wspinacz, który mimo wcześniej śmierci zostawił znaczący ślad na polskim alpinizmie, wyrrywając go z parafialnej zaścianowości.

Obaj mieli znajomych w świecie artystycznym, głównie aktorów i aktorek.

Choć w górach spędzili większość życia, jako jedni z niewielu umarli na szpitalnych

Już start był nierówny. Gdy na ostro zaczęli wyścig, Janusz miał na koncie tylko wyprawę w Hindukusz w 1972 roku, a Zawada doświadczenia z organizacji wyprawy geofizycznej do Wietnamu, ekspedycji na Kunyang Chhish (którą dla celów promocji nazwał Polish Himalaya-Karakorum Expedition), a wcześniej, w 1969, organizował tę na Malubiting North. Nie pojechał, bo – zamieszany w sprawę „taterników” przetrzucających przez góską granicę polsko-czechosłowacką nieocenzurowane informacje z kraju na Zachód i książki oraz czasopisma z Zachodu – nie dostał paszportu.

Po rozmowach z Zawadą jego przyjaciel Jurek Warteresiewicz napisał słynny artykuł pod tytułem „W Himalaje z nami czy bez nas”. I Zawada natychmiast złapał wiatr w żagle, a że był zwierzęciem medialnym, to zrobiło się o nim głośno. Lubił patos i umiał tym patosem grać. Tu biało-czerwona, tam rekord.

– On bez przerwy bił jakiś rekord. Ale to działało na tych partyjniaków z GKKFIT-u – potwierdza profesor Paczkowski. Zawada złożył pierwszą aplikację na zimę, chciał wejść na Noszak.

– Jak przepływaliśmy Amu-darię, to Rosjanie się pukali w głowy: ludzie, gdzie wy idziecie? – wspominał Ryszard Dmoch. Uważali, że wrócimy albo za kilka dni, albo nigdy.

Sukces zaskoczył ekspertów na świecie. I tak na starcie „złotej ery polskiego himalaizmu” Andrzej Zawada zyskał przewagę nad Kurczabem.

Ale jeszcze wtedy „Jano” miał szanse. Choć nie był z natury człowiekiem medialnym, miał kontakty wśród dziennikarzy

jeszcze z czasów szermierki. O żadnym alpinście tyle nie pisano w latach 70. co o nim.

– W „Sztandarze Młodych” był artykuł na pierwszej stronie o zimowym przejściu Wielkiego Filara – wspomina Paczkowski. – Wcześniej pisali tylko, jak się ktoś zabił – żartuje.

Ale to Zawada rozwinął publicystykę radiową i telewizyjną.

Gdy napięcie zaczęło narastać, spotkali się: „Jano”, Zawada, Rysiek Dmoch i Andrzej Paczkowski. W herbaciarni Gong koło Rotundy PKO, próbowali ustalić reguły działania. – Przyjeliśmy zasadę, że wyprawy robią naprzemiennie – opowiada Paczkowski.

Lecz zasada się nie sprawdziła. Pierwsze K2 w 1976 roku przypadło z tego klucza Kurczabowi, bo dwa lata wcześniej Zawada próbował wejść na Lhotse, ale mimo to „Lider” wycinał ludzi Kurczabę i wstawiał swoich kandydatów na K2.

Legendarny Andrzej Wilczkowski mówił o Zawadzie, że na nizinach przypomina gangstera z westernów, a na górze Napoleona, który potrafi złapać sztandar i poprowadzić przeprawę przez most pod Arcole. A w pożegnaniu w „Wyborczej” 26 sierpnia 2015 roku napisał: „Zawada to był najlepszy kierownik wypraw polskich. Był niesamowicie twardy i miał charyzmę. Dlatego był przywódcą, którego wszyscy słuchali”.

A po zimowym Evereście rywalizował już nie z „Jano”, tylko z Wandą, Kukuczką i światem. Pełen charme'u, zalewający rozmówców energią, bitwę o pamięć wygrał dzięki stworzeniu nowej konkurencji – zimowego wspinania – i wylansowaniu jej nie tylko wśród Polaków, ale też w świecie. No i dzięki żonie Annie Milewskiej, która założyła fundację, wydała wiele książek dokumentujących jego działalność i własnych wspomnień z ich wspólnego, niekonwencjonalnego życia. A jako osoba popularna – znana aktorka – miała gdzie o nim opowiadać.

O pamięć „Jano” nie miał kto zadbać.

On sam też tego nie zrobił. Gdyby choć w jednej książce zebrał i uporządkował swoje spojrzenie na wspinanie, dziś świat przyznałby rację jemu.

Kurczab widział we wspinacze dużo więcej niż nadęty balon narodowej tromtadracji. Niż wymachiwanie biało-czerwoną po zdobyciu szczytu. Ile można jechać na tych zastrzykach z nacjonalistycznej adrenaliny, tych relacjach pełnych patosu? Gdy szczytów do zdobycia zabrakło i latem, i zimą, a kolejne rekordy pomału zaczynają się zamieniać w ich parodię – bez tlenu, zimą, a kiedy zima jest zimą, ile metrów od czubka wierzchołek jest już zdobyty, a pierwsze wejście bez koszulki – tak definiowany sens wspinania znalazł się w ślepych zaułku. Czego spektakularnym finałem jest zbiorowy sukces Szerpów na K2 czy ostatnie rewelacje Eberharda Jurgalskiego, który z fotela w swoim domu w Austrii dyskwalifikuje osiągnięcia najwybitniejszych himalaistów.

Dzieła Camusa zabierał ze sobą zawsze. Szczególnie cenił i wracał do „Mitu Syzyfa”. Cytat z tego filozoficznego eseju otwiera jego „Shispare. Górę wyżsioną”. Bliska mu była zawarta tam filozofia absurdu, świata bez Boga i stały wysiłek poszukiwania sensu, który już sam w sobie jest tym sensem. Podobnie bliskie mu były książki Bonattiego, tak samo patrzyli na świat, mocno nim rozczarowani, ale nieustający w ciągłym odkrywaniu. Góry ich zdaniem były jedną z bram do wiecznych prawd i wartości.

– Nie można szybkości przejścia zaliczać do osiągnięć. Jeśli Bonatti pokonał drogę w trzy dni, a ktoś zrobi to w dwa, to nie będzie to żadnym większym osiągnięciem – mówił.

Dzięki wspinaczcze znał swoje miejsce na ziemi, nie tylko w górach. Wspinanie było dla niego sposobem poznawania siebie oraz, przede wszystkim, czystą przyjemnością. W wysiłku, w pokonywaniu trudności, ale i w odpoczynku na szczycie, herbacie w ścianie, krakersiku w ustach widział jego sens.

„Zasady alpinizmu to nie tylko dokonywanie pierwszych przejść, ale też doskonalenie samych siebie” – to jego słowa. Najważ-

niejszy jest wysilek człowieka włożony w bicie rekordu, a nie sam rekord. Ten trud trzeba opiewać.

Piękna filozofia, tym bardziej więc nurtujące mnie pytanie zostaje otwarte. Czemu mnogość talentów nie tylko sportowych, niebanalne życie człowieka otwartego na świat nie wystarczyły, by znacząco rozepchnął się w historii? Może właśnie imponująca wszechstronność była przeszkodą w osiągnięciu absolutnej perfekcji, a tylko taką współczesny świat docenia? A może zwyczajnie miał pecha, wszak Napoleon, wybierając żołnierzy na dowódców, pytał otoczenie, czy kandydat ma w życiu szczęście.

Idealna dla uzasadnienia tej tezy jest wyprawa z 1976 roku na K2, której liderował. Wojciech Wróż i Gienek Chrobak zawrócili 200 metrów przed wierzchołkiem, już po pokonaniu trudności. Błąd, wzięcie niepełnej butli z tlenem, zniweczył wysilek zespołu. Wtedy jeszcze wspinanie na tej wysokości bez wspomagania tlenem wydawało się poza możliwościami człowieka. Kilka lat później stało się warunkiem koniecznym sportowych przejęć.

A może kierownikowi wyprawy zabrakło nie szczęścia, lecz bezwzględności w parciu do zwycięstwa, nie zmotywował wystarczająco kolegów, nie zagrał na odpowiedniej nucie ich ambicji, jak zimą 1980 roku pod Everestem zrobił Zawada, wymuszając atak szczytowy, który wbrew logice zakończył się sukcesem.

Gdy wiek zmusił go do wygaszenia sportowej aktywności, stał się jednym z kluczowych kierowników narodowych wypraw. I zajął się pisaniem.

Jego pierwsza książka zapowiadała, że rodzi się talent. 30-stronnicowa broszura wydana w 1976 roku miała formułę budźdłki taternickiej, specyficznej wypowiedzi literackiej konstruowanej na podstawie wspinaczkowych doznań na konkretnej drodze.

Piszący budźdłki starał się opisać nie piękno i wyjątkowość gór, ale pokazać je jako tło zmagania człowieka z przyrodą podczas wspinaczki. Są one nie jak w prozie młodopolskiej źródłem natchnienia i zachwytu, podmiotem, pretekstem do pokazania literackiego kunsztu, ale jedynie górskim boiskiem. W budźdłce samo wspinanie, finezja wytyczenia drogi, z czasem styl jej przejścia stają się rodzajem wypowiedzi artystycznej.

Pojawiła się jeszcze w okresie międzywojennym. W numerze czwartym „Taternika” z 1929 roku w artykule „Z aktualnych zagadnień taternictwa” Jan Alfred Szczepański

definiował koncepcję współczesnego piękna Tatr – nieawangardowego i nienowoczesnego, ale połączonego z taternickimi dokonaniami.

Była to reakcja na twórczość Młodej Polski. Pokolenie „kapliczki straceńców” – Szczepański czy później Wawrzyniec Żuławski – zepchnęło z piedestału klasyków literatury tatrzańskiej ucieleśnianych przez Tetmajera z jego opisami przyrody.

W tym przewrocie trzeba szukać korzeni powojennej literatury wspinaczkowej. I tej skrzącej dowcipem, balansującej na granicy między pisarstwem a grafomanią, jak słynne „Miejsce przy stole” czy „Atak rozpacz”, i tej hermetycznej, gdzie autor stara się wzbudzić zainteresowanie jedynie środowiska, nie rozwija pseudonimów, nie tłumaczy slangowych określeń, nie osadza opisywanych dróg w szerszym kontekście gór ani historii, bo nie trzeba, wtajemniczony czytelnik wie i bawi się zgadywaniem, o kim mowa, złośliwościami czy ekshibicjonizmem opowieści.

Do budźdłki sięga literatura opisująca wysilek wspinaczki i ta prowincjonalna, wyprawowa, sprawdzająca obłączenia góry do opisywania zakładania obozów, kursowania między nimi, zmagania z pogodą, której autor często był przekonany, że sama obecność w egzotycznych dla czytelnika miejscach jest wystarczającym powodem, by zabrać mu czas opisem dochodzenia do kolejnych obozów.

W „Filarze Kazalnicy” opis przyrody „Jano” redukuje do kilku zdań. W centrum jest taternik, jego wysilek, lęki, relacje związanych linią, a nie szczyt do zdobycia. Krótkie zdania budują napięcie, pozwalają czytającemu wczuć się w wysilek wspinających się ludzi.

Druga książka, „Shispare. Góra wyśniona”, też spotyka się z dobrym przyjęciem recenzentów i czytelników. Kurczab sięga po warsztat reportera, tworzy narrację, wychodzi poza opisy wspinaczki.

„Próbuję tłumaczyć, że okres aklimatyzacji ma swoje prawa, roztaczam przed nim wizję korzyści płynących z regeneracji sił w komforcie bazy. Nic nie skutkuje. Do wysuwanych przez Herberta najprzeróżniejszych racji dołącza się jego partner z jednej liny Heinz Borchers. Upieram się nadal. I wtedy Herbert rzuca we mnie pociskiem argumentu »nie do odparcia«: cóż odpowiem, gdy nas zapytają w Monachium, coście robili tyle czasu w Pakistanie? Na co zmarnowaliście tysiące naszych marek? Musimy teraz pracować, a nie objąć się!

Tracę na chwilę panowanie nad sobą i wybucham. Mam gdzieś tych waszych pro-

tektorów! Nie księgowi zdobywają góry, tylko my, i nie będziemy im się wyliczać z każdego dnia! A w ogóle to »keine Diskussion«!

Wchodzę do swojego przedziału mieszkalnego i zapalam papierosa. Po chwili już żaluję, że się uniosłem. Wprawdzie Herbert zaczynał już pleść od rzeczy, ale nie trudno się domyśleć jego intencji”. Tak starał się oddać klimat bazy, przy okazji wiernie przedstawiając własny charakter.

Alle Janusz ma pecha jako autor. Wszystkie jego książki dotyczące konkretnych akcji i ekspedycji ukazują się z dużym opóźnieniem. Dwa, cztery lata po. Tak też jest z „Ostatnią barierą”. Gdy wszyscy już zapomnieli o dramatycznej porażce na K2, pojawia się subiektywna opowieść Kurczaba o wyprawie.

Musiał się źle czuć, gdy biorąc do ręki egzemplarze sygnałne, wiedział już, że słowa wstępu są nieaktualne, drogę Polaków poprowadzili do końca Amerykanie, potem kilka innych osób weszło na szczyt. K2 straciło nimb niedostępności i wspaniałą opowieść o heroizmie czyta się z nieporównywalnie mniejszym podziwem i napięciem.

Może dlatego porzucił beletrystyczne wprawki i poszedł w stronę niemal encyklopedycznego opisu, rezygnując z literackich prób.

Takie pisanie wymaga wiedzy, cierpliwości, opanowania warsztatu kronikarza i archiwisty. Rzetelność budzi podziw i wdzięczność historyków. Dlatego Małgorzata Kielkowska „Na szczytach Himalajów” wymieniła jako opus magnum Janusza i zarażeniem najlepszą z jego książek. A nie ma lepszego eksperta niż ona. Wraz z mężem taternikiem i alpinistą wydali bezlik encyklopedycznych opracowań dotyczących gór świata. Z Kurczabem, Józefem Nyką i światowej sławy znawcą Hindukuszu Jerzym Walą stanowili kwintet polskich speców od topografii i historii gór.

Wydane w 1983 roku przez Sport i Turystykę 460-stronicowe opracowanie „Na szczytach Himalajów” rozeszło się do ostatniego egzemplarza mimo 25,5 tys. sztuk nakładu i wysokiej ceny. W książce, którą w Polsce Ludowej udawało się kupić jedynie po znajomości i spod lady, jest masa mrówczo zebranej wiedzy, milion faktów.

To pierwsze polskie tak dokładne opracowanie dotyczące wszystkich ośmiotysięczników. „Jano” ze Zbigniewem Kowalewskim opisują podział i geologię Himalajów, historię ich odkrywania i taktykę dużych wypraw, które wtedy zdominowały te góry. Relacjonują chronologicznie, szczyt po szczycie, historię podbojów, włącznie z opisami

wejść sportowych, czyli nowymi drogami, na boczne wierzchołki. Zamieszczają rozdział o wspinaniu kobiecym, co w tamtych mizoginistycznych czasach było zaskakujące; no ale Polki należały do prekursorów górskiego feminizmu.

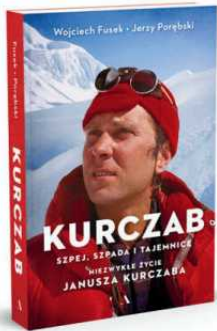
Lecz czytanie „Na szczytach Himalajów”, podobnie jak „Polskich Himalajów” napisanych przez Kurczaba pod koniec życia, dostarcza niewiele emocji. Nie ma tam rozliczenia z pasją wspinania ani z ludźmi je uprawiającymi, nie ma wspinaczkowego credo.

Gdy się czyta książki i artykuły „Jano”, jego notatki, listy, widać, że był rozpięty między dwoma namiętnościami. Płynącą z duszy potrzebą pisania o wspinaniu i promowania gór jako miejsca magicznego oraz blokującą go niechęcią do ujawnienia głębszych emocji. Tłumił jakiegokolwiek odruchy pisarskiego ekshibicjonizmu, chowając się za faktami, suchym opisem przyrody, reporterskimi relacjami.

A przecież książki górskie, które przechodzą do historii, pokazują nie tylko przyrodę, moźół wspinaczkowego wysiłku, ale też klimat międzyludzkich relacji, ich złożoność potęgowaną przez szczególne warunki bytowe, narastający strach, zmęczenie, tęsknotę za bliskimi i zwiększającą się niechęć do towarzyszy skazanych na to samo, ale też współzawodnictwo, potrzebę sukcesu, zazdrość i radość spowodowaną osiągnięciami innych. Spektrum emocji rodzących się w wysokogórskim katalizatorze.

By to dostrzegać, zanotować marznącymi palcami w namiocie, potem odtworzyć i ujawnić światu, trzeba mieć nie tylko pisarską pasję oraz ciut więcej siły niż odpoczywający już w namiocie koledzy, ale też ekshibicjonizm, którego „Jano” był pozbawiony. ●

„Kurczab, szpada, szpej i tajemnice. Niezwykle życie Janusza Kurczaba”. Książka Jerzego Porębskiego i Wojciecha Fuska już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



OGŁOSZENIE

Wydawnictwo
Agora

MICHAŁ KOKOT

ODSLANIA KULISY AKCJI SZYTEJ NA

POLITYCZNE ZAMÓWIENIE

” To świetna książka. Świetnie napisana, z chirurgiczną precyzją. Pokazuje, jak zaraza idzie od góry na dół.

ADAM MICHNIK

Pegasus, izraelski program służący do inwigilacji szpiegów i terrorystów, został sprzedany rządowi PiS, a ten wykorzystał go przeciwko politycznej opozycji. Cały ten haniebny proceder opisał Michał Kokot w znakomitej książce „Polska na podsłuchu”. Przeczytajmy ją.

JAROSŁAW KURSKI

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

1RP

OGŁOSZENIE 34248366

eprasa.pl 4b26a2fe2b

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA



weekendówka
73

SZWEDZI W WARSZAWIE

Autorką wielu haseł jest **Anna Żabińska**

Byli w Polsce jeden, jedyny raz. Przylecieli 47 lat temu, właśnie 7 października (roku 1976, dla niżej podpisanego szczególnego, bo wówczas przyszedł na świat), by nagrać koncert dla Studia 2 – programu, który bił wówczas rekordy popularności, realizowanego przez Mariusza Waltera.

Przyjazd grupy ABBA – bo o nich rzecz jasna mowa – był wydarzeniem bez precedensu. Nie tylko dlatego, że była niezwykle popularna na całym świecie. Szwedzcy muzycy pojawili się w Warszawie, by nagrać koncert tuż przed premierą swojej płyty „Arrival”. Na krążku, który wyszedł cztery dni później, 11 października, znalazły się takie hity jak „Dancing Queen”, „Knowing Me, Knowing You”, „Money, Money, Money”. A oni zagrali je przedpremierowo w Polsce...

Właśnie „Dancing Queen” otwierał koncert – Agnetha i Frida miały zejść z wysokich, sześciometrowych schodów pozbawionych balustrady. Zeszły, choć na początku się bały. Koncertu na żywo wysłuchało i zobaczyło około 100 osób, głównie pracowników TVP z rodzinami. Sam zapis koncertu pokazano w telewizji publicznej 13 listopada 1976 roku.

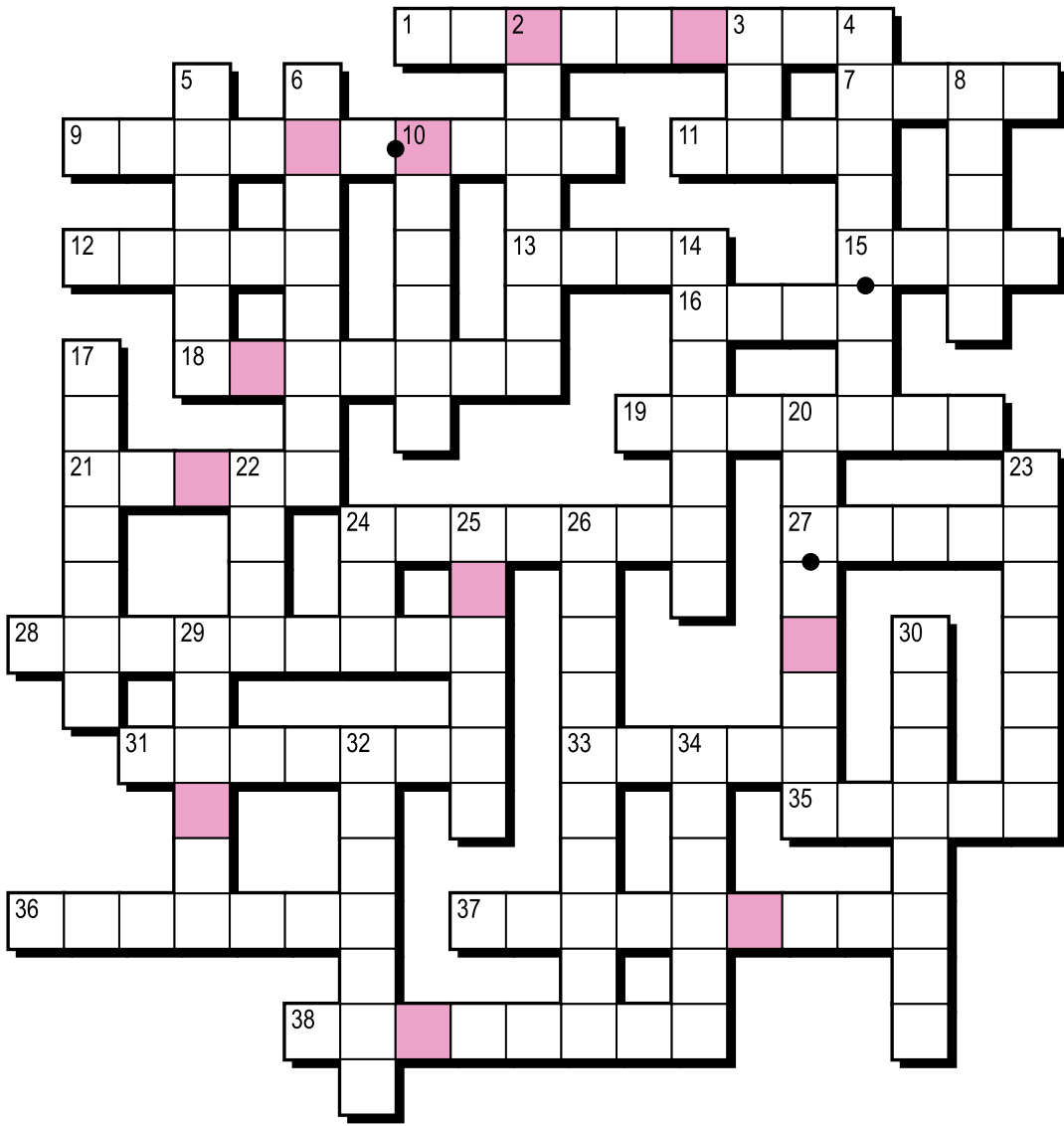
ABBIE smakowała polska wódka (dziewczyny raczyły się nią podczas konferencji prasowej), podobały się scenografia koncertu i profesjonalizm polskiej ekipy realizacyjnej, a Agnetha, która przyleciała dzień wcześniej – taką ponoć miała umowę z mężem Björnem Ulvausem, że nigdy nie będą latać razem, by w razie jakiegś katastrofy ich córka nie straciła obojga rodziców – zrobiła zakupy w stołecznych domach towarowych.

Swego czasu, kiedy do Polski przylecieli Rolling Stonesi (1967), jedna z legend narysłych wokół tego koncertu mówiła, że zespół za honorarium, 600 tys. zł, kupił cały wagon wódki. Miała rzekomo wypełnić cały wagon, ale kiedy towar dotarł do Wielkiej Brytanii, cło okazało się tak wysokie, że przesyłkę odesłano do Polski.

W przypadku ABBY zapłacono ponoć wagonami zielonego groszku. Na pewno za to zespół zachował prawa do sprzedaży zarejestrowanego materiału na cały świat poza Europą Wschodnią, bo tam dystrybuować koncert mogła tylko Polska.

Wspomnień tego koncertu co roku, w okolicach 7 października pojawia się bez liku, a my postanowiliśmy przypomnieć o nim właśnie naszą „Weekendówką”. Bohaterką dzisiejszej krzyżówki będzie zatem ABBA, a o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Annę Żabińską, redaktorkę „Wyborczej TV” i wielką fankę szwedzkiej supergrupy. Do dzieła! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 72 z 30.09:

Poziomo:

- 4) kantata 7) smola
- 8) plujka 11) Starbucks
- 12) Tchibo 13) Inka
- 14) Hanna 15) barista
- 17) szatan 19) kawa na ławę 21) Dylan
- 23) alkaloid 24) wypicie
- 25) Afryka 28) Sanah
- 31) paczka 33) aktorka
- 35) standard
- 36) pianka
- 37) aromatyczność

Pionowo:

- 1) Poparzeni Kawą
- 2) podstawa 3) palarnia
- 4) kawiarka
- 5) Nosowska 6) Arabia Saudyjska 9) Jacobs
- 10) luvak 16) nazwisko
- 17) Sędzia 18) mokka
- 19) kolor 20) whisky
- 22) neska 26) fazenda
- 27) latte 28) Sati
- 29) neon 30) heban
- 32) Anatol 34) ideał
- 36) plon

HASŁO:
MACCHIATO

ABBA

Hasła Anny Żabińskiej oznaczono inicjałami (AŻ). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** stolica kraju Abby
- 7)** nazwa szwedzkiego zespołu, która ma coś wspólnego ze słowem „kajak” (AŻ)
- 9)** propozycję z tej piosenki doprecyzował później utwór promujący film „Moulin Rouge!” (AŻ)
- 11)** polski zespół, którego nazwa powstała tak samo jak nazwa Abba
- 12)** „Dancing ...”, piosenka dedykowana królowej Sylwii
- 13)** imię w tytule utworu „...”, Pretty Ballerina”

- 15)** imię jedynego członka zespołu, który nie urodził się w Szwecji (AŻ)
- 16)** taneczny ... piosenki
- 18)** Kylie, nagrała cover piosenki 12 poziomo
- 19)** Cliff, nagrał cover piosenki „Lay All Your Love on Me”
- 21)** muzyka kojarząca się z piosenką „Gimme! Gimme! Gimme!”
- 24)** kraj, który ma na koncie aż siedem zwycięstw w konkursie Eurowizji (AŻ)
- 27)** niejedna poprzedzi koncert
- 28)** nazwisko Benny’ego
- 31)** duet Vince’a Clarke’a i Andy’ego Bella (minialbum „Abba-esque”)
- 33)** piosenka
- 35)** omiotana reflektorami
- 36)** ... Fäلتskog
- 37)** wytwórnia, która wydała zbiór wszystkich nagrań studyjnych zespołu

38) „Mamma Mia!” i „Chess”

Pionowo:

- 2)** światowe ..., niejedno w historii Abby
- 3)** „... do wolności”, piosenka zespołu
- 4)** z Meryl Streep w roli Donny i piosenkami Abby w tle
- 5)** Abby – w 1 poziomo
- 6)** w piosence Abby meksykański rewolucjonista, u Lady Gagi jeden z byłych kochanków (AŻ)
- 8)** imię eksmęża Anni-Frid Lyngstad, współtwórcy zespołu (AŻ)
- 10)** tytuł ostatniego albumu grupy
- 14)** płyta z piosenkami „Knowing Me, Knowing You”, „Money, Money, Money”
- 17)** w utworze „Hang Up” wykorzystwała motyw z piosenki „Gimme! Gimme! Gimme!”

- 20)** The ..., zespół, w którym występował Benny w latach 60.
- 22)** w 2018 r. wydała płytę „Dancing Queen” z coverami Abby
- 23)** oszałamiająca ... zespołu
- 24)** The Beatles – „Help!”, Abba – ?
- 25)** „The ... Takes It All”
- 26)** singiel promujący 6. album zespołu, bardzo popularny w krajach hiszpańskojęzycznych (AŻ)
- 29)** szwedzka grupa rockowa popularna w latach 80.
- 30)** utwór, dzięki któremu Abba wygrała w 1974 r. Eurowizję (AŻ)
- 32)** Björn ...
- 34)** „... Muriel”, film, którego bohaterka uwielbia piosenki Abby

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

weekendówka

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE 34225722